



John W. R.

84303

Szyrmer Ludwik

BIBLIOTEKA ZAŚCIANKOWA.

TOM III.

POWIEŚCI NIEBOSZCZYKA PANTOFLA.

Z PAPIERÓW PO NIM POZOSTAŁYCH

WYBRANE I OGŁOSZONE PRZEZ

ELEONORĘ SZYRMER.

[pseud.]

J.A-2

WYDANIE DRUGIE.

TOM PIERWSZY.



Cena kop. 75.

PETERSBURG.

NAKŁAD I Druk BOLESŁAWA MAURYCEGO WOLFFA.

1860.

BIBLIOTEKA I NASCITKOWA

POWIĘSZA

NIEBOSZNYKA PANTOFIA

Z TAPIEROW. PO NIM POROSTAZCH

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury,
po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Petersburg 28 Maja 1860 roku.

Cenzor, Radca Stanu, OBERT.



203554

PETERSBURG

WYDAWCA I DROKARZ WYDAWCA WILHELM WOLFF

1860

PANTOFEL.

HISTORJA MOJEGO KUZyna.

PANTOFEL.

HISTORJA MOJEGO KUZYNIA.

Il est difficile de décider si l'irrésolution rend l'homme plus malheureux que méprisable.

Il coûte moins à certains hommes de s'enrichir de mille vertus que de se corriger d'un seul défaut... ce vice affaiblit l'éclat de leurs grandes qualités, et empêche qu'ils ne soient des hommes parfaits.

LABRUYÈRE.

FAMILJA, czyli zbiór wszystkich naszych krewnych, podobna jest do biblioteki. Rodząc się na świat, człowiek znajduje już przygotowaną dla siebie tego rodzaju bibliotekę i stopniowo się z nią znajomi. Na pierwszej półce stoją dwie święte dla niego księgi, Stary i Nowy Testament — to ojeiec i matka. Dalej z porządku dzieła zbawienne, moralne i pożyteczne — to dziadek, babka, stryj i stryjenka, wuj i wujenka. Dalej w mniejszym formacie dzienniki serca — bracia i siostry. Nareszcie w odleglejszych półkach, *Rozmaitości*; książki różnego formatu i wydania: nowe i stare, dobre i złe, przyjemne i nudne, filozofja i mazurki — to obszerny oddział kuzynów i kuzynek. Katalog téj biblioteki ciągle się przemienia, dla tego, że *czas*, obojętny jój bibliotekarz, mało zważając na gusta dziedzica, nieustannie jedne dzieła wyrzuca za okno, a drugie jakieś stawia na półkach. Jest to najniegrzeczniejszy pedant ze wszystkich bibliotekarzy, których miałam honor poznać, i do tego taki tajemniczy w swych działaniach, że mając znaczną bibliotekę, pra-

wie nigdy nie można dopytać się własnych swoich książek; nie można nawet wiedzieć dokładnie wiele ich się posiada. Szczególniej trudno poznać *Rozmaitości*. Ot, ja naprzykład, dotąd nie mogę poznać się z tą półką, na której, jeśli się nie mylę, znajduje się więcej stu tomów różnego kształtu, wydanych w kilku polskich prowincjach. Udało mi się przypadkiem poznać tylko jedno dzieło, lecz egzemplarz miał tak niepozorną powierzchowność, że bez pomocy bibliotekarza nigdybym nie poznała prawdziwej jego wartości.

Każdy ma swoje dziwactwa; ja kiedy co opowiadam, lubię zwyczajnie zacząć od końca. Takowa forma opowiadania ma w sobie coś tajemniczego, poetycznego, i może daleko więcej zająć, jak wszelka inna systema. Zresztą dziś nie godzi się inaczej ani mówić, ani pisać. Od czasu wynalezienia romantyczności w Europie, wszystkie powieści, drammy i poemata zaczynają się od końca, a przynajmniej ze środka; dla czegożbym ja miała was, kochani moi czytelnicy, pozbawić tej przyjemności, do której zapewne jesteście przyzwyczajeni? Nie myślę być nowatorką, niech mnie Bóg od tego zachowa! Zacznę swoją powieść od końca. Słuchajcie jeżeli łaska.

Miałam wówczas ośmnasty rok. Mieszkałam w Witebsku przy rodzicach. Wszyscy moi godni kuzynowie siedzieli sobie gdzieś tam w lasach o sto mil od nas, i nawet na bale nie przyjeżdżali do Witebska. Dziwna rzecz! myślałam sobie często, co oni też tam robią? Jak to musi być smutno i nudno żyć w takiej odległości od Witebska! Wszak tam pewno nie ma żadnych zabaw, oprócz jarmarku!... Zgroza bierze pomyśleć o takim życiu.

Raz wieczorem, dumając o nadchodzącym balu, siedziałam samotna przy oknie z robotą, to jest, zawiązywałam węzełek na rogu chusteczki, mając zamiar zbadać przyszłość w bardzo ważnym przedmiocie. Chciałam los zapytać: czy tak? czy nie tak? *to be, or not to be?* O! to była scena w guście Hamleta. Na dworze jesienny deszcz lał jak z wiadra, i pędzony gwałtownym wiatrem, bębnił trwogę na wszystkich szybach. Na ulicy ciemno; w pokoju tylko mdłe światło dwóch świec opuszczonych od ludzi. Wiatr hucał w kominie, kot chorobliwie chrapał pod kanapą, słowem, wszystkie *accessoria* tchnęły wyraźnie romantycznością. Kto sobie życzy, może się często tak bawić w Witebsku. Kto ma choć zdziębłość weny, zostanie niezawodnie poetą. Co do mnie, pewnie nie mam żadnej zdolności do rymotwórstwa, bo myślałam jedynie o wę-

zełku. Właśnie chciałam go wyciągnąć, w tém drzwi się otworzyły z wielkim łoskotem. Żydówka Szejna, z pokolenia Efraim, jenerałna faktorka naszego domu, wbiegła do pokoju i krzyknęła przeraźliwym głosem:

— Panientke! a panientke! aj wej, co to za hore!

— Co takiego?— spytałam przełęczniona, wstając z krzesła.

— Co takiego!... Och! i howoryć i mówić strasno co takiege! I chore i scascie! i wy nicegie nie znacie, a do was prychodzie z dalekiege krewny u horod!...

— Kto przyszedł? pewnie przyjechał?

— Herstu?... och! przyjechał! a jak jemu przyjechać, kiedy on nie majeć butów? a bosyj, panientke, aj wej, taki bosyj, co niech Bóg bronić!... a mizernyj i biednyj, pital się u moich bachores, gdzie wase mieszkacie? Panientkes! a bachores prywieli jeho do Sejny, a Sejna, choć on *goim*, dała jemu gugieli i sama pobieżyła do was. A sto? woźmiecie? oh! wierno woźmiecie jego!...

Będąc pewną, że rodzice moi nie odmówią przytulku żadnemu z krewnych, kazałam żydówce przyprowadzić nieznanomego. Mimo-wolnie łzy stanęły mi w oczach.

— Ech, cegie tu płakać? Zidziowie więcēj biednyje, a nie narekajuć. Bóg wam da scascie. Uch! dla cegie Bohu was nie lubieć? wy takaja dobraja panientkes! Kikste! uwidzicie, wsistko będzie dobrze, i nieprzyjacielam wasym na wielkie złość będzie.

Ostatnie słowa znaczyły, że Szejna skończyła mówić, taki bowiem epilog zamykał wszystkie jēj dyskursa. Istotnie powiedziawszy swój ulubiony *finis bonus*, wybiegła z pokoju jak opętana.

Sala w której przed chwilą siedziałam samotna, napelniła się niebawem. Ojciec, matka, młodsza moja siostra Helena, i nawet ospali bracia mieszkający na górze, zebrałi się na przyjęcie nieznanomego kuzyna. Nikt się nie domyślał, ktoby to mógł być. Ojciec głęboko zamysłony chodził po pokoju, tarł sobie czoło, niby machinalnie pomagając pamięci wywoływać wspomnienia, i nareszcie zawołał napół z żalem, napół ze śmiechem:

— A to pewnie pan Wincenty W***. Gotówbym się złożyć, że to on.

Rzeczywiście okazało się, że domysł był trafny. Pan Wincenty, obdarty, biedny, bosy, wszedł do sali, ale tak naturalnie, z taką spokojnością na twarzy, z taką szlachetną nawet dumą, że nikt z nas nie tylko nie myślał o śmiechu, lecz przeciwnie, wszyscy tknięci najwyższą litością, zbliżyli się do nieboraka. Wziąwszy oj-

ca za rękę tak spokojnie, jak gdyby się wczoraj z sobą widzieli, kuzyn nasz wyznał otwarcie, głosem wprawdzie stłumionym, ale bez wszelkiej uniżoności, że straciwszy majątek, siły, a nawet odwagę do zarobienia sobie na kawałek chleba, szuka teraz przytułku u krewnych; że ci, do których się udawał, odmówili mu, a od nas czeka odpowiedzi. Rozumie się, że był natychmiast przyjęty, посаdzony między ojcem i matką, i zarzucony pytaniałni. Pan Wincenty był kiedyś w ścisłych stosunkach z papą, ale potem ożeniwszy się, przepadł gdzieś w Kaliskiem i siedm lat nie dawał o sobie żadnej wiadomości. Widzieliśmy wszyscy, że ten człowiek był niepospolicie uczony, i dla tego nie zdziwiło to nikogo, kiedy przy wieczery, rozczulony dobrém przyjęciem, pan Wincenty prosił rodziców, żeby mu pozwolili okazać swoją wdzięczność przynajmniej poświęceniem się dla dzieci, dopełnieniem i wykształceniem tej edukacji, którą do tego czasu odebrały.

— Otóż masz! — szepnęła mi do ucha wesoła moja siostrzyzka — jeszcze jeden nauczyciel! — i zaczęła go baczniej obserwować jak książkę przed wydaniem lekcji. Obserwacja była dość krótka. Powoli lekki uśmiech zaczął się formować na jej ustach, oczki zaś iskrzyły się dzieciinną radością, nachyliła się znów do mnie i rzekła z cicha: — Leosiu! spojrzij tylko na niego; on nie ma wcale professorskiej miny. Założę się z tobą, że to *Pantofel*. Ach! jak to wesoło będzie pobawić się z tym kuzynkiem! — Istotnie pan Wincenty miał tak komiczną fizjognomję, że litując się nad jego losem, trzeba się było mimowolnie śmiać z powierzchowności. Doświadczenie potwierdziło przenikliwą przepowiednię Heleny. W samej rzeczy ona robiła mu codziennie tysiąc psot, tysiące najzabawniejszych figlów, ciągle wychodziła z posłuszeństwa, i najpoważniejszego człowieka mogła doprowadzić do śmiechu, opowiadając o nim anekdoty. Zresztą ta swawola nigdy nie psuła dobrej między nimi harmonji, bo Helena, jak wszystkie osoby wesołego charakteru, miała najlepsze serce. Co do mnie, tyle jestem winna temu panu Wincentemu, że niepodobna mi o nim wspomnieć obojętnie. Był to człowiek słabej woli, śmieszny, dziecienny; ale kto go bliżej poznał, zapominał o tych niedołężnościach, cenil go i czuł dla niego prawdziwą przyjaźń. W poufałym dyskursie nie można było się oprzeć porywającój, pełnej światła i zapału wymowie; pełen wiadomości, jedyny do rady, łagodny i słodki w obejściu, zawsze spokojny, zawsze gotów każdemu się przysłużyć. Szacunek, który mu okazywałam, był zapewne przyczyną tego, że z całej fa-

milji mnie najwięcej lubił, moim losem najwięcej się zajmował. Nie miałam prawdziwszego przyjaciela. On oświecił mój rozum, rozszerzył pojęcia, ukształcił serce. Jemu winnam wiele zdrowych i czystych zasad moralności, i wszystkie moje wiadomości w naukach i literaturze. Nie mogę go inaczej nazwać, jak ojcem duchownym. Przychodzi mi na myśl zdanie jakiegoś autora, że między mężczyzną i kobietą nie może być przyjaźni. O mój Boże! nie byłoby to wcale niepodobnym, gdyby mężczyźni taką drogą, jak pan Wincenty, starali się o kobiecą przyjaźń. Ale, niestety! ta droga szlachetna, moralna, pokazująca prawdziwą cywilizację, nie wiem czy kiedy przypadnie im do smaku. Nie chodzą po niej *lwy* i *tygrysy*. Ci panowie przyzwyczaili się uważać młodą kobietę za dziecko, za istotę lekkomyślną, z czułym sercem, ale z głową pustą, słowem, za piękne cacko, z którym czasami dobrze rozpędzić nudy umysłu albo nudy serca. Bawią nas jak umieją, pochlebiają ile weny starczy, zajmują fraszkami, często nawet umyślnie wpajają nam zdrożne zasady, psują nas i zaślepiają.... i zdaje im się, że takim sposobem zasługują na miłość i przyjaźń kobiety! Słusznie powiadają, że miłość jest ślepa; zdarza się bowiem nieraz, że kobieta kocha człowieka, którym wszyscy pogardzają, którymby się brzydziła, gdyby go mogła z zimną krwią rozpatrzeć. Ale przyjaźń niewieścia ma więcej oczu jak Argus, patrzy dalej jak ostrowidz, nie ludzi się niczem, i dla tego bywa bardzo rzadka. Panowie *lwy* i *tygrysy*! raczcie naśladować Pantofla.... jeśli możecie.

Pokój jego prochom! cierpienia tej chorowitej duszy już się skończyły. Już on przestał być Pantoflem. W papierach, które po nim zostały, znalazłam tę autobiografię, którą teraz ogłaszam. Może ta spowiedź słabej duszy posłuży komukolwiek z mężczyzn za pożyteczną przestrożę, i może wzbudzi w czytelnikach litość nad tym, który całe życie był igrzyskiem obojętności swych bliźnich. Później, w miarę możności, będę wydawała inne jego pisma.

AUTOBIOGRAFJA PANTOFLA.

I.

Niemaż przedmiotu, o którymby ludzie więcej rozprawiali, jak o *charakterze*. Nie przechodzi dnia, żeby najlepszy nawet człowiek nie wziął na język kilka *chodzących charakterów* i nie potępił ich albo nie pochwalił, podług swojego widzi mi się. Gdyby ten przedmiot rozmowy usunąć jakim cudem z towarzystwa, byłaby to najokropniejsza plaga dla świętych salonowych zgromadzeń. Osoby słyszące dziś z dowcipu, przenikliwości i znajomości świata, straciłyby swoją wziętość, nie miałyby o czém mówić, zostałyby bez głosu, jak starożytne pomniki w pustyniach Egiptu. Dziwna to jednak rzecz, że człowiek zwyczajnie najwięcej lubi dysputować o tém, co najmniej rozumie, albo co zupełnie nie może być zbadaném. W młodych jeszcze latach, słysząc nieustannie powtarzane słowo: *charakter*, pytałem wielu rozprawiaczów o jego znaczenie. Pytałem prawie do połowy mego życia. Nareszcie widząc, że mi odpowiadają albo zupełnie nie stosownie, albo głośnym tylko wystrzałem słów, nie wyrażających żadnej myśli, albo nakoniec pytając mnie nawzajem, jak można tego nie rozumieć? sam nad tém zacząłem dumać. Prawdę powiedziawszy, było to cokolwiek późno. Zegar mego życia (jak mówią romantycy) wybił już 30 lat, a ja, nie pojmując co znaczy *charakter*, nie wiedziałem, czy mój był przyzwoitym lub nie. Nie mogę sobie wybaczyć téj opieszałości. Kto wie, może i teraz przy schyłku życia pojęcia moje nie dość się jeszcze ustaliły. Mogę się mylić, ale zdaje mi się, że *charakter*, jest to postać, w której dusza człowieka objawia się w prywatném

i społeczném życiu, albo krócej, jest to nasza moralna fizjognomja. Charakter człowieka wypływa z wzajemnych stosunków między jego rozumem, czułością i wolą. Musi to być jakaś potrawka z mózgu, serca, i jeśli się nie mylę, krwi, żółci i t. p. Ale mniejsza o to, zostawmy tę kwestję filozofom salonowym. Ważniejszém jest daleko pytanie, jakim sposobem charakter stopniowo się kształci w człowieku? albo co najwięcej wpływa na nadanie dziecku i rozwinięcie w niem tych głównych przymiotów duszy, które, cechując go później między ludźmi, nigdy się w niem nie wygładzają? Bywają ludzie weseli i smutni, szczebiotliwi i milezący, odważni i lekliwi, rozrzutni i skąpi, czuli i zatwardziali, powolni i popędliwi, rozumni i głupi.... Powiedzcież mi, z kąd się biorą te sprzeczności, kiedy rodząc się na świat zdajemy się być wszyscy jednakowi, i tak podobni do siebie, jak młode kureczęta? Nie mogę zgodzić się z tymi, którzy utrzymują, że w dziecku znajduje się już zarodek charakteru człowieka. Jest to fatalizm niezgodny z naszą religją, odejmujący nam wolę, dający każdemu zbrodniarzowi prawo uważać siebie równie niewinnym, jak wilk, który z natury ma popęd do zjadania owiec, jak cegła, co upadłszy z dachu, zabija kogokolwiek na ulicy. Nie sędzę także, żeby wszystko mogło zależeć od wychowania, ponieważ równie troskliwie wychowane dzieci mają później różny charakter, i kto był w młodości otwarty, często w starości bywa skryty. Nareszcie najmniej wierzę tym, którzy mówią, że okoliczności, towarzystwo lub doświadczenie kształcą nasz charakter. Czyliż rozum i wola na to nam tylko dane, żebyśmy całe życie doświadczali wszystkiego? żebyśmy dziś nie wiedzieli jak będziemy myśleć jutro? żebyśmy od kolebki do grobu nie szli prostą drogą, lecz odbijając się to na prawo, to na lewo, jak piłka, nad którą student robi doświadczenie sprężystości? Wielkie to jest zaiste słowo: *doświadczenie*, ale pytam was, czy ten tylko bywa skąpy, kto był blizki umrzeć z głodu? albo ci tylko mają kamienne serca, którzy byli zdradzeni w najśodszych swoich uczuciach? Zapewne każdy zaprzeczy temu. Od czegoż więc zależy charakter? Mnie się zdaje, że od żadnej z wyżej przytoczonych przyczyn wyłącznie, lecz od wszystkich razem, to jest, od natury, wychowania i okoliczności społecznego życia. Ja tak myślę, ale nie narzucam nikomu swego zdania; widzę tylko, że to pojęcie charakteru dość trafnie stosuje się do dziwacznej mojej biografji. Zobaczycie sami.

Pierwsze chwile mego życia były napełnione większém cierpie-

niem, aniżeli to, które jest udziałem każdego dziecka. Matka poczęła mnie w smutku po stracie najstarszej córki, i ostatnie miesiące przepędziła w ciągłej niespokojności o życie męża, a mego ojca, który z półkiem poszedł na wojnę. Fałszywa wieść o jego śmierci przyspieszyła chwilę mego wyjścia na świat; lecz niestety! urodziłem się tak słabym i nędznym, że długo powątpiewano, czy zostanę przy życiu. Oto wpływ natury, oto pierwsze fizyczne przyczyny, z których uformował się zarodek mego charakteru. Smutek matki przelał się we mnie wprzód, nim mogłem poznać świat i ludzi. W wątlém i chorowitém ciele, przy tak delikatnych i drażliwych nerwach, jak te, które odebrałem z przyrodzenia, mocna dusza nie mogła, że tak powiem, zapuścić korzeni. Nie bez przyczyny zaeni nasi ojcowie powtarzali: *Mens sana in corpore sano*. W samym poranku życia bystro rozwinęła się we mnie jakaś smętność, bojaźliwość, uczucie własnej niemocy, zbyt uczona wstydlivość, słowem, wszystkie przymioty ludzi dobrych i tkliwych, lecz słabych i niemających żadnej woli. Nie miałem nawet charakteru żaka! Do kilku lat przyjmowano mnie za dziewczynkę. A matka moja, zaślepiona przywiązaniem bez granic, nazywała mnie gołąbkim, aniołkiem; cieszyła się, płakała z radości, że syn jój ma taki cichy i słodki charakter; dziękowała Bogu, że mnie nie stworzył szaleńcem, i widziała w tem rękojmię przyszłego mego szczęścia. Jak ona gorliwie, jak pieczołowicie śledziła każdą moją żądę, każdy kaprys, każde poruszenie! jak skwapliwie tłumiała każdy wybuch męskiej duszy, która i w dziecięciu nawet ma swoje namiętności, swoje wybryki!... Biedna kobieta! O, gdyby wiedziała, jak nędzną rolę gotowała mi w społeczności!...

Najzbawienniejsze usiłowania przynoszą często złe owoce, gdy im nie towarzyszy rozwaga. W zdroju nawet macierzyńskiej miłości może być trucizna dla dziecka. Matka moja, będąc bardzo nabożną, starała się z niemowlęcych lat zaszcześcić we mnie religję. Święty, chwalebny był jój zamiar; pobudki najczystsze; tylko wykonanie było zbyt skwapliwe i nicostrożne. Nie radząc się osób duchownych, a poddawszy się jakiéjsz bojaźni; ażebym nie był obojętnym w wierze, mówiła mi na nieszczęście daleko więcej o Bogu karzącym występki, jak o miłosiernym ojcu wszystkich grzeszników. Nauki jój napelniały mnie strachem. Naturalna bojaźliwość mego charakteru jeszcze więcej się powiększyła. Nie mając pojęcia o występkach, sądziłem, że za każdą dziecinną swawolę czekają mnie wieczne męki piekielne, i będąc nieźrałym żakiem, nieraz ze

drzeniem i trwogą myślałem o śmierci i sądzie ostatecznym. Z drugiej strony smętność moję podsycaly i rozwijały często rozmowy z matką o niebezpieczeństwach, w których się znajduje ojciec, wspólne nasze łzy i szlochania, samotność domowa, brak równych ze mną lat towarzysza, odludne przechadzki i tysiąc innych okoliczności. W szóstym roku życia najwięcej mnie zajmowały lasy, wody, dzikie miejsca, exekwie, pogrzeby, a szczególnie cmentarze. Ludzi widywałem niewiele, i tym nie pozwalano mi się naprzykrzać dziecięcą rozmową. Zresztą byli to ludzie wzrosli, poważni, nie dla mego towarzystwa. Woląłem być samotnym albo z matką.

Taki był stan mojego charakteru, kiedy ojciec z krzyżami, ranami i dymissją powrócił z długiej wojny na łono familji. Przyjazd jego, zamiast sprawić mi radość, napełnił mnie strachem, i przyznam się, że nie mogło być inaczej. Matka zawsze tak dobra i łagodna dla mnie, nagadala mi tyle o uszanowaniu dla ojca, o posłuszeństwie i drugih obowiązkach synowskich, przygotowywała mnie tak solennie jak mam przyjąć rodzica, że ujrawszy przed sobą tego człowieka, mimowolnie zadrżałem. Pierwsze to wrażenie zostało we mnie na zawsze, i z czasem jeszcze się powiększyło. Ojciec mój był mąż srogiego i nieugiętego charakteru; samowładny w familji, jak komendant w oblężonej twierdzy, chociaż w istocie bardzo dobrego serca, i nawet łagodny, kiedy jego maxymy nie stawały mu na przeszkodzie. Kilka razy zdarzyło mi się dostrzedz łzę w jego oku, lecz w takich razach natychmiast zwracał twarz w inną stronę i zaczynał drugą rozmowę, ażeby nikt nie widział go rozrzewnionym. Podług jego zasad, mężczyzna nigdy w życiu nie powinien płakać, chyba korząc się przed Bogiem i żałując za swoje grzechy. Smutek ziemski i radość, jako rzeczy przemijające, mogą wyprzeć z kolei zwyczajnej spokojności tylko słabą duszę, dziecko albo kobietę. Zdawałoby się, że zapatrywanie się na takiego męża, powinno było obudzić we mnie samodzielnny charakter, lecz na nie-szczęście stało się przeciwnie. Nie będąc zdolnym pojąć pięknej strony charakteru zacnego mego rodzica, a porównyując go zawsze z tkliwą moją matką, bałem go się coraz więcej. Nieznacznie ta bojaźń rozciągnęła się w ogólności na wszystkich dorosłych mężczyzn.

Wkrótce potem zamieszkała u nas starsza siostra mego ojca, podeszłych lat panna, i ni ztąd ni zowąd zrobiła się moją guwernantką. Nie mogę o niej wspomnieć bez przestachu. Najsroższy bakalarz jest daleko więcej pobłażający, niż stara panna. Mój Boże!

czego też ja nie wycierpiałem! Za każdym mojem poruszeniem następował morał, za każdym odezwaniem się, przestroga. Mówiła tak wiele, tak prędko i tak różnotonnym głosem, że turkot młyna albo tartaka byłby dla mnie daleko znośniejszym. I rodzice moi nie byli wolni od jej kazań; a cóż ja biedny chłopiec? Godziny nauk były jedynem mojem szczęściem i odpoczynkiem. Lękałem się odejść od książki. Naturalnym skutkiem tego było, że uczyłem się gorliwie, zdolności moje rozwijały się bystro, wszyscy nauczyciele byli ze mnie kontenci. Nie dziwnego! wszak to był jedyny mój tryumf w domu. Temu zbiegowi okoliczności i lasce Bożej, która nawet w strapieniu rzuca ziarno pociechy, winienem zapewne zapał do nauk, który potem nigdy mnie nie odstępował wśród najboleśniejszych zawichrzeń mego życia.

Nie pojmowałem wcale, jakie zdrożności w mojem postępowaniu najwięcej zastraszały ciotkę; widać jednak, że musiała dostrzedz we mnie wielką skłonność do zarozumiałości, najwięcej bowiem mówiła mi o tém, jak nieprzyzwoicie młodemu chłopcu szczebiotać w obecności starszych, mieszać się do ich rozmowy, odzywać się ze swojem zdaniem i t. d. O! ta wymowna kobieta aż nadto oduczyla mnie od téj wady, jeśli istotnie ją miałem.

Po kilku miesiącach pieczołowitego jej nadzoru zrobiłem się cichy i skromny, jak baranek. Gdyby nie lekcje i kiedy niekiedy rozmowa z matką, byłbym zapomniiał mówić; zostalały mi tylko zdolność *odpowiadać* jak najkrócej na zapytania. Słowem, wychowanie domowe pod sterem ciotki coraz więcej czyniło mnie podobnym do maszyny. Pytano mnie: czy chce jeść? pić? spać? i t. d., i nie chciało mi się ani jeść, ani pić, ani spać, dopóki mnie o to nie spytano. Nie miałem żadnej żądzy, żadnej woli. Dziwna rzecz, że to ojeu się podobało. Doświadczywszy w służbie i w prywatnem życiu wielu nieprzyjemności z powodu żywego charekteru, nie tylko nie potępiał mojej powolności, lecz przeciwnie, jakby zmówiwszy się z ciotką, wzbraniał mi wszelkiej swawoli, tyle właściwej dziecinnemu wiekowi. Kierowano mnie zupełnie na uczonego Niemca. Dla skuteczniejszego zachowania méj duszy od dumy, zabroniono mi rozkazywać służącym, i w razie potrzeby, kazano jak najgrzeczniej prosić ich o każdą usługę. Ludzie ci prosić, nie okrzესani, nie pojmując celu tego postanowienia, a widząc mnie pokornie błagającego o każdą drobnostkę, powoli odmówili mi zupełnie szacunku; pogardzali mną, przestali zwracać uwagę na moje prośby, i często nie mogłem u nich wyżebrać szklanki wody dla

napicia się! Upokorzony, zdeptany w prochu, wylewałem smutnie gorzkie łzy w zakątkach rodzicielskiego domu. Ojcu ani ciotce nie śmiałem wyjawić swych cierpień, a matkę — a matkę moję tak mocno kochałem, ona i bez tego tyle ubolewała nade mną, że nie chcąc powiększać jęj żalu, wołałem przed nią taić całą moję nędzę. Towarzysz młodości byłby dla mnie skarbem, ale nie miałem żadnego, bo ojciec bynajmniej nie życzył sobie, ażebym zabierał znajomości ze *swawolnikami*.

Kiedy takim sposobem pierwiastek woli ulatniał się coraz więcej z męj duszy, a tkliwość rozwijała się w sercu jak samotny kwiat na pustyni, w zamian tego umysł mój, jak już mówiłem, czynił olbrzymie w naukach postępy. Ojciec sam posiadał bardzo obszernie wiadomości i był pierwszym moim mentorem, ale nie przestając na tém, dobrał mi prawdziwie oświeconych nauczycieli. W 14 roku życia, mogę powiedzieć bez chluby, byłem więcej ukształcony, niż wielu innych w 28. Wszakże znajomi zupełnie temu nie wierzyli, i nie można było brać im tego za złe. Kto z nas chętnie uwierzy, żeby człowiek, chodzący w łachmanach, miał znaczny kapitał u siebie w domu albo w banku? chociaż każdy zgadza się, że to być może. Ja zupełnie byłem podobny do takiego bogacza. Przytłoczony pokorą, skrepowany bojaźliwością, nie śmiałem ust otworzyć w przytomności obcych ludzi. Kiedy mnie pytano: gdzie się znajduje Petersburg? milezałem, jak gdybym nigdy nie słyszał o tém mieście. — No, cóż? — mówiono mi — czy nie w Austrii przypadkiem?... — W Austrii — odpowiadałem zeicha, nie dla tego, żebym nie znał geografji państwa rossyjskiego, ale dla tego, że mi łatwiej było powtórzyć cudze słowa, niż odezwać się z własną odpowiedzią. Ojciec, znając moje wiadomości, unosił się gniewem. Po kilku takich scenach zmiarkował nareszcie, że charakter mój zbyt miękki, i wtedy gorliwie zaczął mnie przerażać na męczyznę, lecz już było zapóźno. Uwagi jego, którym towarzyszyła zapalczywość lub zbyt ostre sarkazmy, tém mocniej przygniotły mnie do ziemi.

Zostawał jeszcze jeden środek — wychowanie publiczne. Choć z odebraną edukacją mogłem wstąpić prosto do uniwersytetu, jednakże ojciec, nie chcąc mnie wysyłać zbyt daleko od domu, a pragnąc, żebym choć rok przepędził między młodzieżą, oddał mnie do konwiktu. Okropna to była chwila, kiedy pierwszy raz ujrzałem się w zupełnie obcym dla mnie towarzystwie! Cała ta zgraja młodzieży śmiałej, wesolej i swawolnej, w mgnieniu oka odgadła

mój charakter i tysiąciami figlami zaczęła mi doskwierać. Wszystkie te szalone głowy pracowały nad tém, jakby mi dokuczyć, i coraz nowe wynajdywały psoty. Cały pierwszy tydzień byłem podobny do zajęcia tylko co przyprowadzonego z lasu i puszczonego w ogrodzie młodym pieskiem na zabawkę. Każda wolna od nauk chwila pozbawiała mnie spokojności i przynosiła mi gorzkie łyzy i cierpienia. Lecz jak nie w świecie długo nie bawi ani dzieci, ani ludzi, to towarzysze moi, nacieszywszy się, porzucili nareszcie bezbroną ofiarę swego szyderstwa, wzgardzili mną i prawie zapomnieli, że jestem na pensji. Czasami tylko, kiedy im brakowało innej rozrywki, wracali do mnie na chwilę, pomęczyli, i znów był pokój. Już wtedy będąc igraszką całej pensji, cierpiąc tyle obelg, wpadłem na myśl: że mężczyzna bez siły fizycznej, a szczególnie bez charakteru, jest nędzną, godną litości istotą. Sprawiedliwość tej myśli potwierdziło całe moje życie.

Między wszystkimi memi towarzyszami był tylko jeden, co się dość łagodnie obchodził ze mną, a przynajmniej daleko lepiej niż drudzy. Nie pamiętam już z jakiego powodu, ale raz w poufalej rozmowie Albert nazwał mnie przyjacielem. Mój Boże! to jedno słowo uczyniło na mnie tak słodkie wrażenie, obudziło w mém sercu tyle szczęścia, tyle rozkosznych wzruszeń, że mimowolnie rzuciłem mu się na szyję, oblałem go łzami, całowałem, drżałem cały z radości. Ja — samotny, odepchnięty, wzgardzony od wszystkich, miałem nareszcie przyjaciela! Za wszystkie moje męki, za łyzy wylane skrycie, Bóg miłosierny zsyłał mi nakoniec nagrodę, przewyższającą najsmielsze nawet wzloty mojej wyobraźni. W tej chwili gotów byłem oddać życie za Alberta; kochałem go więcej niż matkę. Nigdy goręcej nie modliłem się do Boga jak w ten wieczór.

Był to miesiąc przed półrocznym egzaminem. Albert nie posiadał wielkich zdolności, owszem, głowę miał tępą, ale był to chłopiec ambitny, chciało mu się koniecznie stanąć wyżej od swoich kolegów. Nieznacznie zaczął rozporządzać moim czasem, dawał mi swoje poszyty do przepisywania, temy do zrobienia, matematyczne zagadnienia do rozwiązania, budził mnie w nocy, ażebym tłómaczył mu to, czego nie rozumiał, zajmował mnie na spacerze, słowem, przemienił mnie w swego gubernera. Nie tylko że nie widziałem w tém nic złego, ale owszem przywiązywało mnie to jeszcze więcej do niego. Słodko mi było pomyśleć, że mogę być pożytecznym swemu przyjacielowi. A przytém byłem spokojny od napaści drugich kolegów, co także nie mało znaczyło. Błogie te

chwile pierwszego szczęścia w życiu zbyt krótko trwały. Mozolna praca nad Albertem nadwreżyła słabe moje zdrowie, ciągle siedzenie i bezsenność przed samym końcem egzaminu wpędziły mnie w gorączkę. Nie widziałem, jak mój Albert publicznie odebrał nagrodę. W infirmerji dowiedziałem się, że stanął wyżej ode mnie i odebrał pierwszy wieniec. Kochałem go tak mocno, że moja miłość własna bynajmniej tém nie była obrażona; przeciwnie, pomysłność przyjaciela, do której tyle się przyłożyłem, daleko mi była miłszą, niż gdyby spotkała mnie samego.

Przyszedłszy w połowie do zdrowia, wypisałem się natychmiast z infirmerji, ażeby prędyj być znowu z Albertem. Pobiegłem do niego i chciałem mu się rzucić na szyję; ale jakież było moje zadziwienie, kiedy mnie przywitał jeszcze gorzej niż inni towarzysze! Ledwie nie zemudlałem z bolesti. Widziałem, że wszystko się skończyło między nami. Albert dawno już rozerwał tę czarującą nitkę przyjaźni, na której trzymało się moje ulotne szczęście. Koledzy szydzili z niego, że się dorobił nagrody przez pomoc istoty, którą gardziła cała pensja, i Albert, jak każdy samolub, obrzył się przeciw prawdzie. Żeby się otrząsnąć z tego krzywdzącego domysłu, wybrał najprostszy, chociaż najhaniebniejszy środek — postanowił mnie więdyj od innych prześladować. Nie dziwicie się temu; tak postępują nie tylko dzieci, ale i ludzie dorośli. Taką monetą płacą się zwykle długi wdzięczności. Dawny mój przyjaciel zrobił się najzaciętszym moim wrogiem. Wypiłem z jego rąk gorzki kielich! Kto się nie wychował między młodziezą, nie pojmie nigdy tych cierpień, których słabe i ciche dziecko może doświadczyć od mocnego i złośliwego, a nieodstępnie dybiącego za nim w tropy. Byłem jakby w rodzaju warjacji. Nie wiem jak mogłem wytrwać pierwszy tydzień zapamiętałości Alberta. Potém przyzwyczaiłem się powoli, a on téż powoli ochłonał z gniewu. Pierwszy ten zawód w najśłodszych moich uczuciach sprawił na mnie tak mocne wrażenie, że odtąd zwątpilem o przyjaźni. Zdało mi się, że jestem zbyt upośledzony, zbyt niższy od innych ludzi, ażeby ktokolwiek mógł się do mnie przywiązać. Chodziło mi tylko o to, żeby mnie cierpiano. Stałem w pokorze na równi z indyjskim parią.

Złośliwość Alberta nadała mi przydomek, o którym niepodobna mi tu zamilczeć. Jeden z młodzieży, biegając po podwórzu, znalazł gdzieś stary pantofel i rzucił nim na Alberta. Dawny mój przyjaciel, który teraz ciągle myślał o tém, jakby mi dokuczyć,

podskoczył z radości, obaczywszy brzydki chodak. Zły duch podszepnął mu oryginalną myśl do nowej psoty. Na moje nieszczęście cała pensja była na dworze. Albert uwiązał chodak na sznurku, zebrał ogromną zgraję młodzieży, i cicho podkradłszy się do mnie z tyłu, powiesił mi go na szyi. W mgnieniu oka otoczyli mnie jego współnicy, on mnie trzymał za ręce, a cała banda, skacząc w okóło, zaczęła krzyczeć przeraźliwie: — Pantofel! Pantofel! a witajże nam, witaj, wielki nasz Pantoflu! — Na miejscu solennie uradzono, ażeby ten przydomek zastąpił odtąd moje nazwisko. Takim sposobem zostałem mianowany na godność Pantofla, którą miałem honor piastować całe życie.

Istotnie, od tego czasu nazwisko moje zostało prawie zapomnianem na pensji, a nazywano mnie prosto Pantoflem. Ja sam pozwoli tak się do tego przyzwyczaiłem, że kiedy kto zawołał: — Pantofel! — odzywałem się, wiedząc, że mnie wołają. Kiedy słyszałem to słowo wymówione z cicha, odwracałem się nieznacznie w tę stronę, i starałem się podsłuchać, co o mnie mówią, bo to znaczyło zwyczajnie, że mi chcą zrobić jakiego figla. Nareszcie własne nazwisko stało się dla mnie do tego stopnia obcym, że często, kiedy professor zapytywał pana W***, nie zwracałem na to żadnej uwagi, dopóki obok siedzący towarzysz nie trącił mnie łokciem, mówiąc: — No, Pantofel, wstańże, pytają ciebie. — Zresztą te przyzwiska są rzeczą bardzo pospolitą w naszym narodzie. Nic dziwnego, że się do nich przyzwyczajamy, bo kto z nas w szkołach nie miał przydomku? kto ich nie wymyślał dla swoich kolegów i profesorów? W dojrzałym nawet wieku znajomi nasi odbierają przydomki: filozofa, marzyciela, lisa, szarmana, totunfackiego i t. d. Często, jako znak przyjaźni lub łaski, nazwiska kończące się na *ski*, wykręcamy w poufalej rozmowie na *us*, i nikt się o to nie gniewa, co w innym kraju byłoby uważane za ubliżenie. Robię te uwagi dla tego, żeby się nikt mocno nie martwił, jeśli go kiedy nazwą Pantoflem.

Czas idzie szybkim lub wolnym krokiem, ale ma przynajmniej tę cnotę, że się nigdy nie zatrzymuje na miejscu. Ten długi rok pobytu na pensji skończył się nareszcie, i w *jeden piękny poranek* ujrzałem się znowu w domu moich rodziców... takim samym niedolegą, jak z niego wyjechałem, gorszym nawet, bo wróciłem *Pantoflem*. Czy to, mówiąc jak turcy, Diwy napisały mi na czole to nazwisko, czy też podobno rodzic mój dowiedział się wprzód o tém, że mi dano ten przydomek, dość, że stary wojak, zaledwie

spojrzawszy na mnie, za ledwie mnie przywitawszy, odstąpił kilka kroków w tył, i napół z gniewem, napół z żałością zawołał: — Święty Antoni Padewski! cóż to za Pantofel! Szkoda czasu i pieniędzy!

Miał rację. Jedno i drugie było napróżno stracone, a synek miał wkrótce zacząć siedemnasty rok. Potarłszy sobie czoło, pochodziwszy po pokoju, ojciec rzekł do mnie: — Już ja teraz sam zaczęję aepana edukować po wojskowemu. Zahartuję ja ciebie, mój ołowiany dziadku! Będiesz mi waszeć większym zuchem, niż ułani pierwszego pułku, w którym miałem honor służyć. A były tam zuchy nielada, mospanie! Przygotuj się. — Dobra moja matka zbladła, ciotka nawet się przestraszyła. Istotnie zaczął swoje dzieło niebawem, lecz lekarstwa, któremi spodziewał się zahartować mój charakter, były tak niewłaściwe, doży tak nieumiarkowane i skutki ich tak gwałtowne, że ta kuracja ledwie mnie do grobu nie wpędziła. Obecność moja w domu zamiast radości, pokryła wszystkie twarze smutkiem i zakłóciła zwykłą spokojność familji. Ojciec coraz więcej przekonywał się o tém, że późno zaczął prostować moje wady, i sprawiedliwie obawiał się, że zostanę na zawsze takim, jakim byłem. Ta mocna dusza oburzała się na samą myśl, że potomka rodu W***skich, znanego powszechnie z szlachetnego i nieugiętego charakteru, będą kiedyś nazywać *Pantoflem!* — W ciągu trzech wieków, mówił mi często prawie ze łzami, nie było ani jednego pantofla w naszym rodzie; żaden członek naszej familji nie uniżył się nawet do tego, żeby swoje stopę oszpecił pantoflem; ani ja, ani moi służący nie noszą pantofli, a wacpan chcesz swoje nazwisko, tę drogą spuściznę przodków, którą odebrałeś czystą i bezszelkięj zmayı — to nazwisko, mówię, chcesz przemienić na Pantofel; bo wierz mi, tak cię będą zawsze nazywać, jeśli nie nabiezesz więcej charakteru. — Matka, to nie pojmując, żeby powolność moja mogła mieć złe skutki, płakała na srogość ojca, to znów wierząc ślepo wszystkim jego przepowiedniom, wylewała łzy nademną, jak nad zgubionym człowiekiem. Siostry, widząc smutek rodziców, szłochały od rana do wieczora; nawet sładzy domowi nie mogli patrzeć na mnie bez rozrzewnienia. Co się wtenczas działo w mém sercu, tego najwymowniejsze pióro nie jest w stanie opisać. Tkliwość moja oburzała się na ojcowskie postępowanie. Myślałem sobie, że obcy ludzie mogą mnie prześladować bez przyczyny, dręczyć mnie i uragać się nademną; ale ojciec, chociażby dla najzabawniejszego celu, nie powinien być tyranem swojego syna, wle-

wać mu truciznę w serce i deptać go nogami w błocie. Okropne to były dumy, ale stokroć okropniejszą była myśl, że ja, ja jeden stałem się przyczyną smutku całej familji, że matka moja czuła, dobra moja matka, od łez i zmartwień widocznie upadała na zdrowiu! Być zabójcą matki!... być występniejszym od Kaina!... na samo wspomnienie o tém, krew to lodowaciała w moich żyłach, to gwałtownie rzuciła się do głowy. Zdawało mi się, że mózg mój roztopiony piekielnymi ogniami, wzdymał się, burzył, kłębił się pod czapką, jak fale potoku przedzierając się pomiędzy skałami. Myślałem co chwila, że głowa moja rozpęknie się jak bomba i kawałki jój rozlecą się we wszystkie strony. Inny dostałby może pomieszania, lecz umysł mój był daleko mocniejszy od ciała — wpadłem tylko w niebezpieczną gorączkę.

Marzenia gorączkowych bywają rozmaite. Czasami natura, jakby litując się nad cierpiącym, kształtuje w obłąkanój wyobraźni tak czarujące, tak cudowne obrazy szczęścia, obudza w duszy tak słodkie przecucia lepszego życia za mogiłą, że człowiek po téj fantastycznój dramacie choroby, przychodząc do zdrowia, żałuje swojego obłąkania, jakby rzeczywistój straty. Ja nie miałem w boleściach i téj osłody — dusza moja i ciało razem chorowały. Najdziwaczniejsze widma imaginacji, jakby całą zgrają wywołane z piekła, snuły się ciągle przed moimi oczyma; a znajdując się w tym niepojętym stanie, który zajmuje środek między czuwaniem i snem, albo jeszcze ściślej mówiąc, między życiem i śmiercią, próżno wysiłałem się wyjść z tego bolesnego letargu. Z tych okropnych scen gorączkowej fantazji, jedna dotąd nie zatarła się w mojej pamięci. W ciszy nocnej zdało mi się widzieć śmiertelnie chorą matkę na łóżku, niedaleko od tego, na którém sam leżałem; obok niej stał wielki ścienny zegar, na którém zamiast skazówki, poruszał się zwolna szkolny pantofel, a przy zegarze stał Albert, i pokazując na niego palcem, mówił mi z dzikim uśmiechem, że gdy pantofel dojdzie do 12, matka moja skona. O Boże! już 10, już 11, już prawie wpół do 12, matka moja coraz więcej blada... już zamknęła oczy... już nie daje żadnego znaku życia, a złowieszczy pantofel ciągle postępuje naprzód! Chcę się zerwać z łóżka, żeby go zatrzymać, żeby go wyrzucić za okno, a niemoc nie pozwala mi paltem nawet poruszyć!... Albert głośno, dziko, jak szatan się śmieje.... Wtém gęsta pomroka zalega cały pokój, wszystko niknie przed memi oczyma, i po niejakiem czasie wszystko znów zaczyna się od początku.

Staraniem doktorów, a jeszcze więcej troskliwością matki, doprowadzony do zdrowia, wkrótce potem wstąpiłem do uniwersytetu. Na nieszczęście, kilku moich towarzyszków z pensji wybrało ten zawód, i przydomek mój zrobił się głośnym. Nowi moi koledzy oddali sprawiedliwość młodzieży, która mnie tak trafnie nazwała, dodając jednak, że Albertowi pomógł przypadek, a oni i bez przypadku wpadliby na tę myśl. Jakkolwiek bądź, od tego czasu zawsze i wszędzie nazywano mnie już *Pantoflem*, i dziś, kiedy to piszę, kuzynka moja Helena, najlepsza dziewczyna, wesola jak koteczka, przebiegła przez pokój, pytając na wiatr: — *Ma chère Pantoufle! que faites vous de bon?* . . . — Po mojej śmierci zamiast grobowego napisu swawolnik jaki położy może pantofel na mojej mogile. Wtedy niezawodnie nawet ci, którzy czytać nie umieją, powiedzą: — Tu leży Pantofel. — Ale wracając do tamtego czasu, wiadomo wam już, moi czytelnicy, że byłem przyzwyczajonym do tego przydomku, i wszyscy, co mnie otaczali, jakby dla skrócenia, często, bez żadnej złośliwości, nazywali mnie *Pantoflem*. W Warszawie ludzie w tym domu, w którym mieszkałem, pokazywali każdemu, kto pytał o *Pantofla*, drzwi mojego pokoju; na prowincji poczytliwion obojętnie przynosił mi listy adressowane do wujmci pana Wincentego *Pantofla*. Ja sam żartami nieraz tak się podpisywałem. Jedne tylko kobiety okazywały mi powierzchowną grzeczność w rozmowie, ale uśmiech i spojrzenie aż nadto dobrze wyrażały to, czego nie wymawiały usta. Mężczyzna nędzną zaiste gra rolę, kiedy przez niedostatek rozumu staje się igraszką kobiet; ale daleko więcej godzien litości ten, o którego rozsądku nie wątpią kobiety, lecz zapominają! Najszacowniejsze przymioty, ukryte w *Pantoflu*, niczem są dla nich, i jeśli kobieta zwróci uwagę na takiego mężczyznę, to tylko dla tego, żeby pobawić się z nim jak z figlarnym szpicem. Głupiemu zdaje się, że wszystkie kobiety szalenie się w nim kochają; rozsądny głęboko czuje swoje uniżenie.

Każdy przyzna zapewne, że gdyby był na miejscu mojego ojca, to niełatwoby się domyślił, jaki obrać dla mnie zawód w społeczeńści. Bóg uwolnił moich rodziców od tego ciężkiego obowiązku, powoławszy ich obojga do wieczności jeszcze przed wyjściem moim z uniwersytetu. Strata ojca dotknęła mnie bardzo mocno, ale śmierć matki była dla mnie nieporównanie bolesniejsza! To było prawdziwe dla mnie nieszczęście. Od tej chwili, jak została wdową, przywykłem pieścić się myślą, że wkrótce będę mógł zupełnie się poświęcić dla tej, która, oddawszy ziemi męża i siostry moje,

zdawało się dla tego tylko została na tym świecie, że ja jeszcze żyłem. Serce matki jest tajemnicze źródło miłości; czerpajcie z niego ile chcecie; jeśli tylko nie wszystko weźmiecie, natychmiast znów będzie pełne! Każda matka patrzy na swoje dziecko, jak owa starożytna Sybilla na swe księgi — im więcej ich ginie, tém droższe te, co zostają. O! wiele szczęścia, wiele pociechy, wiele użytecznych rad, przytłoczył ten kamień, pod którym spoczęły jej prochy! Jestem pewny, że gdyby los był mi ją zachował, mniejbym był spotkał cierni na drodze życia.

Na jej mogile łudząc się słodką myślą, że dusza matki będzie na mnie miliej spoglądała z lepszego świata, i może mnie natchnie zbawienném postanowieniem, zacząłem rozmyślać o swojej przyszłości. Smutne to dumy, kiedy młodzieniec zastanawia się nad tém, co z sobą począć? Majątek pozostały po rodzicach był zbyt szczupły, ażebym się mógł obejść bez urzędu; ale jaki wybrać zawód? oto była wielka zagadka. Do duchownego stanu nie czułem powołania, do wojskowego Pantofel nie może mieć pretensji; na innych drogach były także przeszkody; zostało mi więc tylko starać się o urząd cywilny. I w tym zawodzie przewidywałem, że mój nieszczęśliwy charakter będzie mi nieustanną zawadą dla przyzwoitego wypełnienia obowiązków; żeby więc według możności umniejszyć niebezpieczeństwo, poświęciłem swoją miłość własną, wyrzekłem się wszystkich wygod, jakich podług moich zdolności należało mi się spodziewać służąc w Warszawie, i postanowiłem zająć skromne miejsce na prowincji. Najwłaściwiej dla mnie byłoby oddać się naukom; ale wiadomo każdemu, że ten zawód więcej może przynieść chwały, niż chleba; nie mogłem więc poświęcić mu się wyłącznie.

Nie będę opisywał urzędowania mojego w różnych miastach Polski, albowiem wszystko, cobym mógł w tym względzie powiedzieć, zawiera się w kilku słowach — wszędzie byłem Pantoflem, i nigdzie nie mogłem długo utrzymać się na miejscu. Urzędnik bez charakteru podobny jest do człowieka śpiącego; może on mieć i zdatność, i uczciwość, i gorliwość, ale jakież z nich użytek? Smutny mój przykład niechaj przekona każdego młodego człowieka, że dla piastowania publicznego urzędu niedość być uczonym. Kilka dzieł napisanych przezemnie w tym czasie ziomkowie dotąd cenią, a każdy żyd, który znał w Węgrowie komornika W***go, mówi zapewne i teraz: — *Ech! jaki to bul Pantofel!* — Traciłem jedno miejsce po drugim, i z całą moją uczonością byłbym doszedł do

nędzy, gdyby niebo niespodziewanie nie przemieniło mojego losu. Bogaty stryj, którego ledwie znałem, straciwszy żonę i syna jedy- naka, umarł wkrótce po nich i zapisał mi cały swój majątek w Ka- liskiem.

W ciągu dziesięciu lat przerywanego i ze wszystkich wzglę- dów nieszczęśliwego urzędowania, znajdowałem tylko pociechę w naukach i literaturze. O, ileż słodkich chwil przepędzałem w ciszy mojego gabinetu nad badaniem tajemnic natury, albo w smętnych dumach o świecie idealnym, o ludziach wymyślonych od poetów, o sercach tkliwych, bijących dla miłości, przyjaźni, prawdy, sławy, i przepelnionych temi wielkimi uczuciami, które tak rzadko spo- tykamy w towarzystwie! Strudzony pracą śpieszyłem za miasto na samotną przechadzkę do lasu, gdzie melancholiczny szum drzew przemawiał do méj duszy tajemniczym głosem przyrodzenia; koły- sałem się w czólnie, samotny na wodzie, i błądziłem bez celu przy świetle księżyca. W towarzystwach bywałem rzadko, bo czegoż tam miałem szukać? Zapraszano mnie najwięcej dla tego, że spo- tykałem prawie wszędzie dawnych kolegów i znajomych mojego ojca; lecz w salonach jedni gardzili mną, jak prawdziwym panto- flem, drudzy, wiedząc z gazet i księgarskich katalogów o moich dziełach, a chcąc pokazać swoją uczoność, nudzili mnie najniedo- rzeczniejszymi dysputami. Jest rodzaj ludzi, nad których nie znam nie nieznośniejszego w świecie; pełno ich teraz wszędzie, zaczyna- jąc od salonu do skromnej izby szlachcica. Nie wiem prawdziwie jakby ich nazwać. Oni oświeceni dla tego, że mają mniej lub wię- ciej wiadomości w naukach, i nieoświeceni dla tego, że często nie wiedzą i nie pojmują tego, czego się uczą dzieci w szkołach po- wiatowych; oni lubią oświecenie, ponieważ czytają w gazetach wszystkie naukowe nowości, i nie lubią oświecenia, albowiem nie rozumiejąc żadnej gałęzi ludzkich wiadomości, nie starają się przez gorliwą pracę nabyć dokładnego pojęcia o każdym przedmiocie; oni zrozumieli bez granic dla tego, że rozprawiają stanowczo o tém, czego zupełnie nie pojmują, i powolni, albowiem często wie- rzą największym bredniom. Ci panowie tyle przekonani o swojej mądrości, tak zawzięcie gotowi sprzeczać się, tak głośno dowodzić, i tak snadnie sobie wymyślają cytacje z dzieł napisanych w języ- ku, którego nie posiadają, że nikomu nie życzę w przytomności drugich osób pokusić się z nimi na dysputę, jeśli nie chce, ażeby go wszyscy przyjęli za wielkiego nieuka. Jak często zdarzało mi się słyszeć tysiąc nedorzecznych zdań o charakterze poezji Göthe-

go, od człowieka, który z całego niemieckiego języka rozumie tylko *gut morgen*, a tłumaczeń nie czytał. Ledwie uwolnię się od tego pana, przychodzi drugi, niepojmujący dobrze arytmetyki, i powiada z przekąsem, że teraz odkryto wiele omyłek w matematycznych i fizycznych wynalazkach Newtona, że ten Anglik Newton był sobie bezbożnik i prowadził rozwiązłe życie; za to Pitagoras był zupełnie inny człowiek i niepojęte cuda robił za życia. . . . A tam zbliża się do mnie jeszcze jeden jegomość i hurtem rzuca w błoto wszystkich francuzkich poetów. Powiada, że cała francuzka literatura, o której sądzi z dwóch bajek Lafontena, przeczytanych w polskim tłumaczeniu, nie nie warta dla tego, że Racine, Corneille, a szczególnie Voltaire, naśladowali Niemców. Powiedźcie im kilka nazwisk holenderskich pisarzy, a zobaczycie, że natychmiast będą rozprawiać o całej holenderskiej literaturze. Dla nich dosyć wiedzieć nazwiska, żeby rozumować, tak, jak niektórym się zdaje że dość mieć cegły, ażeby zbudować panteon. Najtrudniej jednak wstrzymać się od śmiechu i litości nad tymi uczonymi, kiedy mędrkują sobie o historii. Sądziłibyście, że to prawdziwa historia pomieszania zmysłów w człowieku, gdyby ten człowiek nie mówił tak stanowczemi wyrażeniami, jak starożytne wyrocznie. Dla niego nie nie znaczy zdecydować, że Aleksander W. był czworonożnym zwierzęciem, z długimi uszami, że Annibal był podły, Richelieu cieły, Karol XII pijak, a bliższym od nas mężom dostaje się jeszcze lepiej. Jakież tym panom dać nazwisko? jeszcze raz przyznaję się, że nie wiem! tego tylko jestem pewny, że sprzeczać się z nimi równie użytecznie jak dysputować z młynem. Ja, przy zbyt miękkim charakterze, nie śmiałem nigdy prostować cudze błędy lub niedorzeczne zdania; słuchałem cierpliwie wszystkich bredni, często potakiwałem im mimowolnie, lecz uwolniwszy się od przytomności rozprawiaczów, oburzałem się w duszy na swoją uległość, czułem się upokorzonym; zdawało mi się, że słuchając powolnie takich dyssertacji, krzywdzę sam siebie, i daję prawo ludziom oświeconym uważać mnie za głupca.

Istotnie moi znajomi nie mogli mieć innej o mnie opinii.

Nie dość że mnie takim sposobem dręczyli i unizali, ci panowie starali się jeszcze pozbawić mnie imienia oświeconego człowieka, które mi się słusznie należało, i dla tego nie tylko upewniali wszyscy, że głowa moja zupełnie pusta, ale wymyślając najdziwaczniejsze zdania, rozsiewali je pod moją firmą. Ci panowie jednak brali mnie nieraz na stronę, zaczęli umyślnie wpół głosu

dysputować ze mną o jakimkolwiek przedmiocie, a nakradłszy podstępem dosyć myśli w mój głowie, za kilka minut, z ważną miną stojąc w kółku słuchaczy, wydawali ten łup za swoją własność głośno i stanowczo. Niektóre moje rękopisma przepadły u mnie, sam nie wiem jakim sposobem, a potem wychodziły na świat drukowane bez mój wiedzy i pod cudzym imieniem. Przywłaszczyciel z grzeczności przysyłał mi jeden egzemplarz w podarunku.

II.

— Panie Pantofel!

— Słucham pani.

— Czy pan nigdy nie był zakochany?

— Przeciwnie, byłem, i nawet dwa razy.

— O! zapewne bardzo mocno! Wszak ludzie tacy jak pan nie lubią żartować.

— Tak mocno, że pierwszą razą zaledwie nie umarłem z rozpaczy, a drugi raz ożeniłem się.

— Ach! powiedz pan, to musi być coś bardzo zabawnego namiętnie zakochany Pantofel!...

— Istotnie nadzwyczajnie zabawna bajka; nie masz nic śmieszniejszego; tylko posłuchaj pani:

Miałem wtenczas 25 rok i służyłem w sławnym mieście Kozienicach pisarzem Sądu Pokoju.

Był bal u pana naddzierżawcy. Obywateli zjechało się mnóstwo z całej okolicy. Całe podwórze zajęły karoce różnego kalibru i kształtu. Wist, ćwik, marjasz, dobry węgrzyn i roznowa o ciężkich czasach zajęły starych, a pięciu żydów muzykantów sprowadzonych z Radomia zupełnie uszczęśliwiło młodzież. Bez przesady można powiedzieć, że na tym balu było *okropnie* wesoło.

W pokojach zajętych ludźmi statecznymi, gwar, sprzeczki, nieumiarkowany śmiech i prawie ciągle wiwaty; w salonie gdzie tańczyła młodzież, żydowska muzyka, sztuk, szurganie nóg, szelest kobiecych sukien, szmer umizgów, kurz, gorąco, jednym słowem, odmęt młodego życia w pałającej balowej atmosferze—ocean, po którym uragan wesołości pędził łódki szczęśliwych żeglarzy.

Ja myślę, że to jakiś nieprzyjaciel rodu ludzkiego zaprowadził bale w Europie, a szczególnie w Kozienicach.

W samej rzeczy nie masz nic zgubniejszego dla społeczności, jak bal. Ledwie zagra muzyka, całe balowe towarzystwo rozdziela się jakby na dwie nieprzyjemne strony, z których jedna — siwe wąsy i olbrzymie czepek, staje pod chorągwią *wspomnień*, a druga z uśmiechem na ustach zbiera się pod sztandarem *nadziei*. Te dwa godła na balu jeszcze mniej łączą się z sobą, jak ogień i woda; trzeba więc koniecznie z nich wybrać jedno, i takim sposobem rozrywają się najświętsze związki. Rodzice wyrzekają się własnych dzieci, dzieci opuszczają rodziców, mąż rzuca żonę, żona nie chce znać męża, każdy ma swoje rachunki! Jeśli jaka szlachetna dusza zechce się oprzeć okrutnym prawom balowego egoizmu, na wiele naraża się szyderstw! Niechaj tylko mąż zostanie przy żonie, natychmiast ogłoszą go zazdrośnym, podejrzliwym, albo tyranem! Niechaj matka śledzi okiem za córkami, zaraz powiedzą, że niewiele ufa moralności tych panien, a dobra córka nieodstępująca swęj matki jest niezawodnie wielka parafjanka. Nie łatwo wybrać sobie znajome i miejsce, a są osoby, dla których, zdaje się, nie ma na balu ani znaczenia, ani miejsca; naprzykład stara panna, dla téj istoty równie niewygodnie kwaterować tam, gdzie panuje *wspomnienie*, i tam, gdzie tańczy *nadzieja*. Ona powinna siedzieć w osobnym pokoju, albo jeszcze lepiej, w domu. Z drugiej strony, bal jeszcze więcej psuje człowieka jak pijaństwo. To rzecz najpewniejsza. Nigdy stateczni ludzie więcej się nie sprzeczą, nie zrędzą, nie tracą czasu napróżno, jak na balu; nigdy podeszłe kobiety więcej nie zajmują się plotkami i obmową, jak na balu; nigdy młody romantyk w swoich dzikich dumach nie zbliża się więcej do warjacji, nigdy stary kawaler nie plecie więcej niedorzeczności, nigdy w duszy niemających lub szpetnych kobiet nie obudza się więcej zazdrości, nigdy macochy nie są sroźsze dla pasierbic, jak na balu! jak na balu! jak na balu! Wreszcie bal... bal jest niebezpieczny dla zdrowia i dla cnoty. Nie łatwiejszego, jak umrzeć fizycznie lub moralnie od balu! Tam piją wodę po tańcu, jedzą lody po miłośném oświadczeniu; alboż od tego nie można powędrować na cmentarz? W wirze upajającego walca, w odmęcie szalonej galopady, alboż to niejedna perła przemienia się w glinę? Powiedzcież mi teraz, czy nie prawda, że pierwszy bal w Europie, a przynajmniej w Kozienicach, dał zapewne nieprzyjaciel ludzkiego rodu! Ja myślę, że to prawda.

Tylko dla Pantofla bal nie jest niebezpieczny dla tego, że on zawsze mocny w swoich zasadach; nie tańczy, jak wiadomo każdemu, nie gra w karty i tylko się nudzi na balu. On i od nudów nawet ma lekarstwo. Popatrzawszy nieco na wesołość drugich, Pantofel westchnie, albo machnie ręką, i potem poważnie rejteruje się do osobnego, napół oświeconego pokoju, siada w kącie, i pograża się w dumy, póki Morfeusz go nie ukolysze. Jaby tylko Pantoflom pozwolił bywać na balu!

I pan naddzierżawca musiał tak myśleć, bo mnie tylko jednego prosił na ten bal osobiście, w samą wigilję festynu spotkawszy mnie na rynku. Jeżeli było więcej gości, to już nie jego wina; on zupełnie nie wiedział o tém, że żonie przyjdzie do głowy zaprosić tyle osób, nie zapytawszy się męża. Jakkolwiek bądź, dość tego, że byłem na balu, i nie odstąpiłem od swoich prawideł; to jest, popatrzawszy i tu i tam, nadepnąwszy nieostrożnie na kilka nóg i nóżek, i widząc nakoniec, że ziewanie, symptomat blizkiego snu, zaczyna już utrudzać moją dolną szczękę, odrejterowałem się do takiego pokoju, jak wiecie. Tutaj pograżyłem się w głębokie dumy, jak żyd, kiedy siedzi nad talmudem, i medytowałem dopóty, dopóki nie wymyśliłem tego wszystkiego, coście wyżej czytali o niebezpieczeństwie balów. Potem postanowiłem zasnąć.

Na nieszczęście, takiemu człowiekowi, jak ja, nigdy nie dadzą wykonać dobrego postanowienia! Ni ztąd, ni zowąd, dwie panienki wbiegły jak sarneczki do mojego pokoju, i zapewne mię nie spostrzegły siedzącego w cieniu i w wielkiem wolterowskiém krześle, albowiem śmiało usiadły na sofie, kilka chwil w milezeniu oddychały pełną piersią, a potem, przyprowadziwszy płuca do zwyczajnego stanu, zaczęły rozmawiać o balu w ogólności, o kawalerach, a nareszcie i o mnie. Jedna z nich była Zofja, wesoła córka gospodarza domu, druga młoda, piękna jak anioł, Emma Dobr..., którą pierwszy raz widziałem w tym dniu, chociaż jej ojciec, stary kolega mojego ojca, bywając często w Kozienicach, kilka razy prosił mnie do swój wioski Tyżyna. Jakże tu spać było, kiedy mogłem podsłuchać, co miały mówić o mnie dwie młode panienki? Słuchajmy.

— Kto ten jegomość z bladą twarzą, z dużemi niebieskimi oczami, w czarnym fraku, co w samym początku balu popatrzawszy na tańczących, westchnął i gdzieś zniknął z salonu? — zapytała Emma swój przyjaciółki.

— Cha, cha, cha! jakie zabawne pytanie! — odpowiedziała śmie-

jąc się serdecznie Zofia. Próżnobym łamała sobie głowę, żeby zaspokoić twoją ciekawość. Blade twarze, jako oznaka namiętnej duszy, weszły teraz w modę u mężczyzn. Każdy z nich wszelkiemi sposobami stara się mieć Bajronowską — jeśli nie duszę, to przynajmniej bladłość, i gotów kazać się wybielić mularzowi. Niebieskie oczy znajdziesz u wielu, chociaż to stara moda pasterskiego wieku, a czarne fraki noszą prawie wszyscy. Jakże tu zgadnąć, kto twój *grazioso*, *prezioso*, i może nawet *innamorato cavaliere*?

— *Comme vous êtes méchante!* Ty nigdy nie chcesz mi nic powiedzieć, ale na ten raz mniejsza o to; widziałam jak on dość długo rozmawiał z papą przy oknie, papa go musi znać!...

— Od ojca dowiesz się tylko o jego nazwisku, a ja domyślam się o kim mówisz, i mogłabym ci opowiedzieć o nim tysiące zabawnych anekdot.

— *Carissima* dość już mnie męczysz. Ty wiesz, że ja więcej ciekawa jak Ewa. Powiedz, kto on taki?

— Pantofel.

— Jak to Pantofel? Czy on się tak nazywa? Zabawne nazwisko! Nie może być!...

— Cóż w tym niepodobnego? Wszakże na pensji nasza madam nazywała się *la grande poule*, i to ciebie nie zadziwiła.

— A, rozumiem! Czy on istotnie Pantofel?

— *Arcy-superfine* Pantofel, podobny do tej zupy, którą Niemcy zdaje się umieją gotować z czystej wody bez żadnej przyprawy; dobry jak gołąbek, cichy, nieśmiały, skromny jak zajęć; mówi, że jak rabin siedzi zawsze nad książkami, posiada starożytne chrześcijańskie i mahometańskie języki, lubi poezję i pisze tak śliczne wiersze w imionnikach, że ich nie można się naczytać.

— *Ah, ma chère!* tak dla czegoż go nazywają Pantoflem?

— Sama nie wiem jak ci odpowiedzieć. To zdaje się tak naturalna rzecz, jak gdyby na jego nosie było napisano z obudwóch stron: *Pantofel!* Gdzie tylko się obróci, wszędzie zgadną, że on *Pantofel*. U nas w mieście nawet chłopcy biegają za nim po ulicy i pokazując mu różne grymasy, krzyczą z całego gardła: *Pantofel!* Niektórzy mówią, że on bardzo uczony; drudzy, i tych daleko więcej, uważają go za półgłówka; ci i drudzy mają rację: on uczony w swoim gabinecie, a głupi w salonie, osobliwie kiedy prowadzą rozmowę kobiety. Wystaw sobie, raz mówiono przy nim o morskiej podróży, o silnych uczuciach, jakich człowiek musi do-

świadczą na bezbrzeżnej przestrzeni oceanu, stojąc, że tak powiem, na granicy życia z wiecznością.

— Co pan myślisz o tém? — zapytała go moja mama.

— Ja nigdy nie byłem na morzu — odpowiedział ziewając.

— Jednakże jak pan sobie to wystawiasz?

— Sądzę — rzekł — że to musi być bardzo przyjemnie, albowiem wiadomo, że przybliżając się na okręcie do jakiego miasta, widać naprzód szczyty wież, potem dachy domów, a nareszcie i ludzi....

— Byłby zapewne mówił dalej, ale pan podsędek, pękając ze śmiechu, zatrzymał go, zawoławszy:

— Nie mylisz się wacpan; wszystko to nam wiadomo słowo w słowo z geografji dla szkół narodowych, a gdybyśmy tego w niej nie odkryli, to każdyby się mógł domysleć i z wypisów łacińskich, w których powiedziano: *terra est rotunda et globosa*, ha! ha! ha!

— Biedny Pantofel poczerwieniał, jak rak w ukropie, ale powiedz sama, czy nie mógł znaleźć nie lepszego do powiedzenia? Drugi raz tańczyli u nas. Pantofel dziś już nie tańczy, ale wtedy lubił powalcować sentymentalnie, jak niemiec. Łaknąc zapewne napić się z tego źródła, stanął za mojem krzesłem i ciągle patrzył na mnie, póki znudzona jego figurą nie zapytałam, tak sobie, na wiatr:

— Dla czego pan nie tańczysz?

— Jabym życzył — odpowiedział — ale nie śmiem prosić panią.

— Dla czego? Wierz mi pan, że ja nie taka okrutna, jak się może wydaje. — I przyrzekłam mu pierwszego walca, którego zagrają. Wtém zaczęły się znów tańce, uwolniłam się od niego, ale biedny Pantofel błakał się zamną od krzesła do krzesła, jak mara, i stawał tam, gdzie tylko usiadłam. Nakoniec zagrali walca, Pantofel już się był wysunął naprzód, ale w tym samym momencie *Casimir K***** podbiegł angażować mnie.

— Przepraszam — odpowiedziałam — Pan *W***** już mnie dawno zamówił.

— Pan *W*****! — zawołał *Casimir* jakby zdziwiony, i mierząc go oczyma od stóp do głów, dodał: Co to znaczy? Przeprós wacpan zaraz tę damę.

— Pantofel zbladł, bąknął coś tam pod nosem, spojrzął na swego przeciwnika, lecz natychmiast opuścił oczy, przeprosił mnie i popłynął do domu. Inną razą nie pamiętam ktoś z młodzieży preponiterowawszy na wieczorze wszystkie pieniądze, które miał w wo-

reezku, zapytał biednego Pantofla z gniewem, dlaczego nie gra? Pantofel odpowiedział, że nie umie.

— No, to chodź — rzekł mu ten trzpiot, ciągnąc go za rękę do stolika — ja będę wybierał karty, a ty stawiaj pieniądze.

— Pantofel poszedł za nim, jak baranek, i przegrał wszystko, co miał przy sobie. Jego służący trzyma go zupełnie w ręku. Kiedyś w trzaskający mróz papa spotkał Pantofla w jednym fraczku biegnącego do bióra.

— Czy wacpan w gorączce — spytał go — czy ci się zdaje, że mieszkasz we Włoszech?

— Ani to, ani drugie — odpowiedział nieboraczek, drżąc od zimna — ale cóż robić, kiedy mole zaczynają psuć moje futro, i służący rozwiesił je na dworze.

— Jakby na szczęście jego, łotr, wyprawiwszy pana do obowiązku, właśnie poszedł spacerować w jego szubie; papa, widząc go idącego po ulicy, zawołał po imieniu, i ledwie mógł namówić Pantofla zdjąć z niego swoją własną odzież. Gdyby nie papa, jestem pewna, że Pantofel całą zimę wytępiłby mole z futra. No, jak ci się to podoba? *ma chère!*

Emma przez cały przeciąg opowiadania swojej przyjaciółki śmiała się bardzo rzadko i umiarkowanie, zdawała się być więcej wzruszoną niżeli rozśmieszoną mojemi przygodami, i nakoniec rzekła do Zofji:

— On jeszcze młody, niedoświadczony; z czasem przemieni się.

— Chociaż się przemieni, o czém jednak wątpię, to zawsze będzie pedant! On taki uczony!

— To nie wielka bieda, nawet nieźle, jeśli tylko czuły.

— O! co tego towaru, to ma nawet zanadto; ale on czuły jak dziecko, a nie jak mężczyzna. Ja myślę...

Wtém Kazimirz, dawno już szukający Zofji, przerwał dalszą rozmowę dwóch przyjaciółek i poprowadził je do salonu. Te kilka łagodnych słów, które powiedziała o mnie Emma w ulotnej rozmowie, głęboko zapadły w me serce. — O duszo anielska! pomyślałem sobie, ty pierwsza nie wstydzilaś się usprawiedliwić wzgardzonego od wszystkich człowieka, ty mnie żałujesz, ty mnie nie potępiasz, masz nadzieję, że się jeszcze przemienię, i cenisz to serce, na które dotąd nikt jeszcze nie zwrócił uwagi.

W zachwyceniu padłem na kolana, i dziękowałem Bogu, że mi dał poznać tę duszę, do której się jeszcze nie dotknęła światowa obojętność. Postanowiłem nazajutrz pojechać do Tyżyna, a tymcza-

sem poszedłem do salonu, i resztę wieczora śledziłem ciągle za Emmą.

Ledwie wróciwszy do domu, zacząłem się wahać w swoim postanowieniu; chodząc po pokoju, pytałem sam siebie: jechać czy nie jechać? i nie mogłem rozstrzygnąć tego pytania: nakoniec spostrzegłszy śpiącą na oknie muchę, pomyślałem sobie, że najlepiej zdać tę sprawę na jej decyzję: jeśli budzona poleci znowu na swoje miejsce, to będzie znaczyć, że mi potrzeba zostać w domu, a jeśli przeciwnie, usnie na inném miejscu, to widać, że mi wypada jechać do Tyżyna. Mucha kazała mi jechać, i nazajutrz istotnie wyjechałem.

Czy zegarek mój nadzwyczajnie się śpieszył, czy źle rozrachowałem czas podróży, czy wreszcie nie pomyślałem, o której godzinie najwłaściwiej przyjechać z pierwszą wizytą, dość, że zastałem całą familję pana Dobr... tylko co zebraną na kawę. Ledwie była 8 godzina. Wkrótce jednak niudana gościnność tego zacnego domu, a może i chęć podobania się Emmie, dodała mi serca. Odpowiadałem nie jākając się na wszystkie pytania i nawet sam prowadziłem rozmowę. Czasami tylko spotkawszy wzrok Emmy, traciłem nitkę dyskursu, i takim sposobem wystrzeliłem kilka płaskich conceptów; lecz Emma spostrzegła moję słabość, i nie spoglądając więcej na mnie, wróciła mi spokojność.

Póki pani Dob... nalewała kawę, miałem czas zbliżka przypatrzeć się jej córce. Wystawcie sobie siedemnastoletnią blondynkę z twarzączką, jakie lubił malować Greutze, z błękitnemi jak majowe niebo oczkami, z różanemi usteczkami, na których drzemał zachwycający uśmiech. W całym jej układzie i mowie rozlana jakaś uprzejmość i słodycz, wyjawiały przymioty czystej, niewinnej duszy. Dodajcie do tego postać sylfidy, pleć bielutką, rączkę śliczniejszą od tych, które wychodziły z pod nieśmiertelnego dłota Kanowy, a będziecie mieli pojęcie, słabe wprawdzie, o jej powierzchowności. Ale jakże wam opiszę ten boski wyraz twarzy, tę pogodę i razem smętność czoła, nakoniec tę tak piękną harmonję wszystkich rysów, która więcej czaruje wzrok, jak sama piękność? Upojony jej widokiem, nie postrzegłem, jak służący przyniósł mi kawę. Emma, chcąc mnie o tém ostrzedz, nachyliła się w moję stronę, i wtedy ujrzałem cokolwiek wystawioną nóżkę. O nóżko drobniutka! o atlasowy pantofelku! powiedzcie mi, dla czego na wasz widok jakiś żywy płomień przebiegł po wszystkich moich żyłach. Serce zaczęło bić gwałtownie, i ręka zadrżała tak mocno,

że chcąc wziąć kawę, trąciłem tacę, rozlałem wszystko co na nią było, zrzuciłem na podłogę porcelaną, a potem, zmieszany, zacząłem zbierać skorupy i cukier i kłaść je na pustą tacę. Śmiech państwa Dob... ich przyprowadził mnie do przytomności. Emma się nie śmiała, przeciwnie na jej twarzy widać było politowanie. Wybaczono mi moją winę, i wkrótce znów byłem spokojny i wesoly; tylko kończyk nóżki, albo raczej różowy pantofelek, ciągle migał się przed oczyma, potem migano się ich coraz więcej, jak bystrołotne jaskółki, nakoniec zdało mi się, że cały pokój napełnił się różowymi pantofelkami, które ciągle krążyły około mojej głowy. Po kawie poszedłem z gospodarzem do ogrodu, lecz i tu w promieniach słońca, jakby rój złotych muszek, świeciły się miliony malutecznych pantofelków. Cały ten dzień przepędziłem najszczęśliwiej na łonie tej familji, jak dziecko u rodziców.

Wieczorem powróciwszy do domu, długo nie mogłem uspokoić szczęściem upojonego serca i rozkołysanej wyobraźni. Chwila upływała za chwilą, a ja zamyślony chodziłem, biegałem po pokoju, przypominając sobie każdą sekundę tego błogiego dnia, każde słowo, każde poruszenie mej ulubionej, jej miłą postać, jej twarz, oko, rączkę, a szczególnie — o słabości mężczyzn! — szczególnie jej nóżkę i śliczny pantofelek!... Świeca rzadko objaśniana gorzała mdlém światłem; lecz i w kręgu bladego jej płomienia oko moje widziało czarującego kształtu pantofelki; wyjrzałem z okna, i xiężyc wydał mi się świetnym pantoflem, i wszystkie gwiazdy złotemi pantoflami. Kiedy nareszcie nad rankiem znurzony rzuciłem się na łóżko, sny najpiękniejsze obudziły się w mojej duszy. Zdawało mi się, że pływałem na spokojnych zwierzciadlanych falach jeziora, w łódce brylantowej, o którą roztręcały się, w której łamały się promienie majowego słońca, iskrzyły się, i odstrzelone w powietrzu, rozsypywały około mnie snopami, girlandami światła ubarwionego wszystkimi kolorami tęczy. Byłem zupełnie otoczony obłokiem nadzwyczajnej jasności. Czarodziejska moja łódka miała formę pantofla, na którego końcu stała mała, skrzydlata, jak kupidynek, Emma, i złotem wioselkiem pędziła posłuszną nawę do czarującego brzegu. Mirjady najśliczniejszych pantofelków, jak rybki uwijały około czółna, i wychylając się z wody koniuszeczkami patrzyły na mnie oczkami z szafiru! Jak dobrze być czasem i Pantoflem, choćby dla tego, żeby mieć takie cudowne sny!

Po kilku dniach, byłem znowu w Tyżynie, potem jeździłem



coraz częściej, i nakoniec stałem się zupełnie domowym u państwa Dobr... Takim sposobem upłynęło prawie pół roku.

Dla czego tak łatwo opisywać niedolę, a tak trudno szczęście? Każdy wieśniak może wzruszyć słuchacza powieścią o swych cierpieniach, a szczęście, rozkosz, upojenie, skreślone w nieśmiertelnych rymach największych poetów, są dla wielu zupełnie obojętną rzeczą. Ja myślę, że to bardzo naturalnie: każdy z nas inaczej sobie wyobraża szczęście, a cierpienia, jakiegokolwiekby ono było, lękamy się wszyscy. Zresztą czy podobna opisywać dokładnie szczęście, kiedy go człowiek nigdy nie analizuje, nie mierzy, nie waży, nie rozkłada w retorcje, kontentując się tem, że go czuje. O! wiele słodkich chwil przepędziłem w tej słodkiej epoce mego życia, obok Emmy, wszędzie i zawsze przy niej; w salonie, przy robotnim stoliku, w ogrodzie! wiele razy biegaliśmy razem po polach, po lesie, po nad brzegiem Wisły, i zachwycaliśmy się zawsze temiż samemi pięknosciami natury, jak gdyby jedna dusza ożywiła obie nasze istoty! Przy niej straciłem pojęcie o podziale czasu; zapomniałem, że są godziny, minuty, sekundy, ponieważ w jej obecności dzień cały zlewał się w jedną całość, a wszystkie moje uczucia w jedno uczucie miłości. Powoli jakby wytracony z chaosu, rozpostarł się przede mną nowy świat, nie idealny, nie wymyślony od poetów, ale rzeczywisty, świat wysokich, wspaniałych uczuć zgodnych z rozumem, cnotą i religją. W tym świecie, którego Kolumbem była dla mnie Emma, cała moja istota odrodziła się; zacząłem więcej cenić samego siebie, i wstając z długiego uniznienia, pierwszy raz od dzieciństwa dumnie spojrziałem w około siebie. O! gdyby lat kilka, gdyby choć rok takiego życia, jestem pewny, że żelazna wola uszlachetniłaby mój charakter! Emma była moim aniołem opiekuńczym. Zawsze dobra, łagodna, pocieszająca mnie w troskach, wybaczająca me wady, stosując się nawet do nich w słowach i postępowaniu. Jak ona w każdej drobnostce uniała być miłą, niewinną kokietką! To zaplecie włosów według mego gustu, to włoży ubiór odemnie chwalony, to zagra na fortepianie ulubioną moją melodję, to powtarza moje wiersze! Ona namiętnie lubiła poczytać, ja także; postanowiliśmy więc przeczytać razem kilku wzorowych poetów. Przy tém czytaniu miałem zręczność jeszcze lepiej poznać jej sposób myślenia i jej anielską duszę. Emma miała początki angielskiego języka, lecz nie była w stanie czytać książek, a osobliwie wierszy. Zająłem się wydoskonaleniem jej w tej mowie, i wkrótce doprowadziłem do tego, że z łatwością mogła ją

rozumieć. Z jakim zapalem rzuciła się ona do Moora, Byrona, Skotta!... Lalla Rukh, Irlandzkie Melodje, dziewica z Abydos i pani Jeziora nie wychodziły prawie z jej rąk; często zasypiała z nimi, i obudziwszy się w nocy, lubiła przeczytać kilka wierszy dla tego, żeby posiać miłe sny w swój wyobraźni; a w letni poranek, polawszy swe kwiatki w ogrodzie, uczyła się na pamięć jakiejś piosenki Moora, którą mnie potem witała po przyjeździe z miasta. Poezja i muzyka zgubiły mnie zupełnie; one obudziły tyle słodkich uczuć w mém sercu, wstrząsnęły tak gwałtownie słabą tkankę mych nerwów i rozkołysawszy wyobraźnią, do takiego stopnia odurzyły mój rozsądek, że w tym chaosie wzruszeń, obrazów, marzeń smętności i wesela, filozofji i lekkomyślności, postępowanie Emmy wydało mi się namiętną miłością, kiedy zimna rozwaga najjaśniej mogłaby mnie przekonać, że to była tylko łagodność i przyjacielska ufność. Dziś jestem pewny, że Emma byłaby równie dobrą dla każdego mężczyzny, oprócz tego, którego została żoną; dla niego bez wątpienia była lepszą. Zresztą niektóre wypadki, w których nawet i ta anielska dusza zapomniała swój pobłażającą łagodność, powinny były naprowadzić mnie na myśl, że w uczuciach jej dla mnie brakowało czegoś bardzo ważnego, a mianowicie ufności, którą ma każda kobieta w opiekuńczą siłę mężczyzny!.. Raz znużeni przechadzką, siedliśmy na niewielkiej składece tarcie. Emma zdjęła z palca pierścionek i przypadkiem upuściła go między drzewo. Wieczór był jasny, tarcie niewiele, a zatem zguba mogła być łatwo znalezioną. Towarzyszka moja prosiła mnie o to grzecznie, lecz tak spokojnie, jakby chodziło o podniesienie chusteczki z podłogi.

Szkoda, że to, co było lekkim dla drugich, okazało się bardzo ciężkim dla mnie. Emma śmiała się z mych usiłowań, uważając je za udane, ale nakoniec prosiła wspomnieć na to, że się zbliżał czas wieczerzy, i zaprzestać zbyt długich żartów. Z rozpaczą i prawie ze łzami w oczach musiałem się przyznać, że zupełnie nie żartuję, i wtedy twarz jej przybrała wyrażenie zadziwienia, lecz razem i jakiejś wzgardy.

— Fi, rzekła mi z przekąsem, gdybym była takim mężczyzną, nosiłabym spodniczkę. Ha! cóż robić? zawołajże pan przynajmniej kogo na pomoc.

Na jej szczyście a mój wstyd, młody parobek wyszedł z bliższej chaty, i zawołany od nas, w minutę odwalił tarcie w stronę i znalazł pierścionek.

— Ile masz lat? spytała go Emma.

— Siedmnaście — odpowiedział.

— I tak silny jesteś?

— Oho! żeby to tylko tarcice rzucać, toby i dzieci potrafiły.

Emma mile mu podziękowała za usługę. Milcząc, wracaliśmy do domu. Widziałem głębokie jęć zadumanie, i domyslałem się, o czém myśli. W środku drogi obracając się Emma do mnie, rzekła:

— Zdaje się, mężczyźni nie tają swego wieku, tak, jak my płocke kobiety. Wiele lat panu?

— Całém dziesiątkiem więcej, jak temu wieśniakowi, odpowiedziałem z cicha, zgadując jęć myśli, i w tęg chwili byłem podobny do robaka zdeptanego nogą wędrowca! To było pierwsze i dla tego najdotkliwsze z moich upokorzeń. Drugą razą, wrota od ogrodu nie wiem dla czego były zamknięte, i Emma poprowadziła mnie do fórtki, przez którą można było wejść; lecz między fórtką i tuż stojącym gunnem znajdowała się budka, a w niej ogromny brytan na łańcuchu. Nigdy nie widziałem straszniejszego cerbera!

— Daj mi pan rękę — rzekła Emma — to Lewjatan; będzie tylko szczekał; lecz gdybyś pan szedł sam, to możeby się rzucił, chociaż on zresztą już stary, i więcej straszy jak robi złego. Biedny Lewjatan! on podobny do tych okrętów, co kiedyś panowały na morzach, a potem zwyciężone czasem i falami, stoją w porcie bez armat i ekwipażu, i mogłyby być zdobyte od każdej nieprzyjacielskiej szalupki! Teraz dworowe kundły odważają się bezkarnie drażnić tego, przed którym drżało całe pokolenie ich poprzedników.

Tymczasem przybliżyliśmy się już do fórtki. Lewjatan wysunął się z budy, i tak straszliwie zaczął szczekać i miotać się na uwięzi, jak gdyby mu się wróciły szczenięce lata. Emma szła zupełnie spokojnie, lecz ja, spojrzawszy na ślipie Lewjatana, w których grał jakiś ciemny ogień, jak w oku tygrysa, mimowolnie odskoczyłem i krzyknąłem. Emma pośmiawszy się ze mnie, zbliżyła się do psa, wzięła go za pysk i kazała mi iść tymczasem do ogrodu, upewniając mnie, że on się ani ruszy.

Drżałem jak liść i nie mogłem na krok posunąć się naprzód. Emma nie powiedziała mi ani słowa, tylko spojrzała na mnie wzrokiem unizającej litości, jak na tchórza, jak na mopsa podrapanego od kota.

Inną jeszcze razą, w czasie obiadu, na którym było kilka osób z miasta, pan Dob... kazał przynieść familijny kielich i wzniośł

zwyczajnie w Sandomierskiem zdrowie: „Kochajmy się.“ Wszyscy wypili; ja tylko wymówilem się.

— Wstydz się wacpan, rzekł mi gospodarz. Mężczyzna powinien się strzedz zbytku, ale chciałbym żeby miał głowę eokolwiek mocniejszą od kury. Ojcowie nasi zawiele czcili Bachusa, osobliwie poznajomiwszy się z Sasami. Było to źle zaiste, ale terażniejsza młodzież chociaż nie pije, więcej jednak warta politowania. Co mi to za mężczyzna? blady, chudy, oczy wpadłe, słaby jak trzcina chwiejąca się od wiatru, i od jednego kieliszka pada pod stół. W kim nie ma nic męzkiego, to baba we fraku. Dziwię się, jak nasze kobiety mogą kochać tych panów, tém więcej jak mogą wychodzić za nich za mąż? Wszakże mąż powinien być protektorem swój żony, jej opiekunem w złych i dobrych losach, i zasłaniać ją od burzy, jak dąb zasłania słaby krzew rosnący w jego cieniu. Cóż dziwnego, że dziś tylu mężów są u swych żon pod pantoflem? Nie może być inaczej, bo każdy z nich pantofel. Nie taki był ś. p. ojciec wacpana. Wszak wiesz zapewne, jakim sposobem on się poznał z nieboszczką matką?

Odpowiedziałem, że wiem; lecz drudzy nie wiedzieli tego, i na ich prośbę pan Dobr.... tak mówił dalej:

— Długo służyłem z ojcem pana Wincentego w jednym półku; byliśmy razem w kilku wyprach wojennych, i kochaliśmy się jak bracia. W bitwie pod*** mogę powiedzieć, że m jemu tylko winien życie, chociaż on się do tego nigdy nie przyznawał. Spojrzawszy na niego, można było powiedzieć: oto człowiek! wysoki, atletycznego składu, kształtny mężczyzna, czarne włosy, czarne oko, czarny wąs sitarski, zawsze zdrów i czerstwy. Chociaż nieugięty w swoich zasadach, zwyczajnie jednak łagodny jak baranek; tylko kiedy się w nim krew rozigra, wtedy z baranka robi się lew. Jednym słowem, prawdziwy Sarmata. W biwaczném swoim życiu, spotykając ludzi i takich i owakich, unikał awantur, lecz nigdy nie uchybił swojej godności, i nie pozwolił sobie dmuchać w kaszę. Pamiętam, raz w Medjolanie na teatrze, jakiś pigmejczyk obywatel *wielkiego narodu* (la grande nation), nie widząc nic za kolosalną postawą pana W***, wstał z krzesła, i przyszło mu na myśl oprzeć swoją paryżką twarzyczkę na jego ramieniu, jak żołnierz na swoje fuzję w strzelnicy.

— Wacpan zapewne chcesz mnie pocałować w ramie? rzekł pan W***, zwracając na niego iskrzące się od gniewu oczy, całuj przedź i siadaj na miejscu.

— Francuzik stanął w pozycji fehmistrza i wystrzelił jakiś uszczypliwy koncept; lecz sarmata zamiast odpowiedzi schwycił go za rękę, targnął tak silnie ku sobie, że wszystkie kosteczki w nim zatrzęszczały, przymusił pocałować siebie trzy razy w ramię, i puścił, powiedziawszy mu do ucha, że drugą razą mógłby z nim postąpić mniej grzecznie. Sądząc po fraku, widać było, że francuzik należał do rodzaju *filozofów niedowiarków*, jednak w tym razie odstąpił od swoich zasad, i nie pokazując żadnego znaku wątpliwości, usiadł na swoim miejscu. W tym burzliwym czasie łatwo można było spotkać na drodze takiego fehmistrza, i mój kolega często narzekał, że ma gorący charakter, dla tego, że musiał nauczyć kilku takich jegomościów. Ale miałem opowiedzieć pierwsze spotkanie się rodziców pana Wincentego. Otóż, moi dobrodzieju, działo się to we Włoszech, w czasie wojny. Generałowa L*** z córką jechały do męża, z Florencji do Genui. W górach napadło na nich kilku rozbójników, i zaczęli już rozprawiać się z ludźmi. Na szczęście, w tej chwili nadjechał pan W***, który wiozł właśnie depesze po tej samej drodze. Słyszac wystrzały, pędem błyskawicy dobiegł łotrów, i chociaż sam był raniony od nich, jednakże zmusił ich do ucieczki. Resztę drogi rozumie się został przy damach, i zawojował sobie żonę. — Ot, tak to my kiedyś romansowali!

Tymczasem familijny kielich ciągle jeszcze stał przedemną. W ciągu tej powieści o zacnym moim ojcu byłem jakby na torturach. Emma ani razu nie spojrziała na mnie, i jeśli w tej chwili pomyślała o wyrodnym synie, to pewnie nie bardzo pochlebnie dla niego. Nareszcie pan Dobr ..., widząc moją żalną figurę, rzekł:

— No, wypijże chociaż za pokój duszy swego ojca.

Dziwny toast! lecz niepodobna było wymówić się; wypilem więc, chociaż przewidywałem jakie będą z tego skutki. Istotnie słaba moja głowa nie wytrzymała tego naboju; wkrótce straciłem przytomność; stół z gośćmi krążył, zdawało mi się, około mojego nosa, język mi się plątał, a jednak ciągle plół jakieś niedorzeczności, które nadzwyczajnie wszystkim bawiły. Co tam było dalej, tego nie pamiętam; lecz nazajutrz ocucilem się w Kozienicach, chory w łóżku. Co pomyślała o mnie Emma? — to tylko, co można pomyśleć o Pantoflu; zdaje mi się, że pewnie nic więcej.

Zamilczę o innych wypadkach, powiem tylko, że nie zważając na to wszystko, sam nie wiem dla czego byłem przekonany, że Emma mnie kocha. Ona była dobrą i łagodną, z kądem według moich

zasad wypadalo, że się we mnie kocha. Trzeba było zupełnie przekonywającego dowodu, żeby mi wydrzeć tę ostatnią deskę rozbitego okrętu, której trzymałem się namiętnie, konwulsyjnie, widząc, że z jęj stratą zginie wszystko, co mnie jednało ze światem. Narzeczcie doczekałem się i tego. Ułani zajęli kwatery w Kozienicach.

Ten wypadek uszczęśliwił, jak się zdawało, cały powiat; wszyscy byli w zachwyceniu, obywatele, żydzi, a szczególnie kobiety! Tylko młodzi ludzie we frackach spuścili nosy, jak się mówi, na kwintę, dla tego, że żaden nie wąpił o wpływie wojskowego mundur na słabą latorośl cywilnych miłostek. Wojskowi biorą serca szturmem, jak fortece. Zaczęły się wizyty, wieczory, bale. Wszędzie ułani rej prowadzili, i cały ród niewieści lgnął do nich, jak muchy. Wkrótce szcęk szabli i brzęk ostróg wypłoszyły z panieńskich serc nawet wspomnienie tych, którzy je przedtęm zajmowali, i szerzyły trwogę jak w obleżoném mieście. Jedna panienka zapytana od kuzyna we fraku o przyczynę przemiany w obejściu się z nim, odpowiedziała naiwnie:

— *Mon Dieu! c'est que nous sommes toutes sur pied de guerre!*

Tak, zaiste, była to wojna! W salonie krew się nie leje, nie grzmia spize, ale są zawsze zwycięzcy i zwyciężeni, ranieni i niewolnicy, a czasem śmierć i życie tak samo się ważą na szalach losu, jak w najzaciętszej bitwie!

Nie pytajcie się co się działo zę mną — Pantofel dawno już był *przydeptany*, teraz obojętnie *rzuciono go na śmiecie*. Nie przeszło miesiąca, już wszyscy mówili o tēm, i ja widziałem własnymi oczyma, że Emma nie była obojętną dla rotmistrza Szabelskiego.

Dziś, przetrwawszy oddawna tę burzę, oddaję jęj sprawiedliwość, że nie mogła zrobić lepszego wyboru. Doświadczenie pokazało, że się nie omyliła — była z nim szczęśliwa w małżeństwie.

Nie pamiętam i nie chcę przypominać sobie pierwszego początku ich miłości; spostrzegłem ją dopiero wtedy, kiedy oboje już nie skrywali swych uczuć. Zresztą charakter mój i okoliczności nie dozwoliły mi śledzić za ich postępowaniem. Na kozienickich wieczorach ledwie pokazał się rotmistrz, Emma pod jakimkolwiek pretekstem oddalała mnie od siebie do drugiego, trzeciego, dziesiątego pokoju; to prosiła, żeby napisać przed jęj wyjazdem jakie wierszyki, to posyłała dowiedzieć się o zdrowiu kogo z jęj znajomych, to wreszcie prosto żądała, abym nie stał przy nięj. A rotmistrz?... o Boże! Ten człowiek zdawał mi się tak strasznym, że nie mogłem

nigdy spojrzeć mu śmiało w oczy. Lękałem go się więcéj, jak niegdys ojca, chociaż zupełnie bez powodu, albowiem był dla mnie zawsze uprzejmy, mówił o mnie z pochwałą i okazywanym mi szacunkiem, odpędzał odemnie wiele natrętnych trefnisiów. Z czasem poznajomiliśmy się bliżéj, i Szabelski jakby umyślnie dla tego, żeby się częściej widzieć ze mną, zajął kwaterę w tym samym domu, w którym mieszkałem. Ta okoliczność była dla mnie bardzo wygodną, albowiem wprzód nie chcąc się z nim spotykać w Tyżynie, każdą razą przyjechawszy tam pytałem, czy nie ma rotmistrza? a jeśli był, to, jak się mówi, wracałem z kwitkiem do domu. Teraz zaś mogłem jeździć na pewne. Dziś nie mogę się wstrzymać od śmiechu, kiedy pomyślę, że wówczas cieszyłem się z tego jak dziecko, sądząc, że rotmistrz sam sobie przygotował sidła. Tryumf mój był tém więk-szy, że i Emma zdawała się nie nie wiedzieć o bliżkiem mojm sąsiedztwie z Szabelskim, a nawet o naszej znajomości. Mieszkałiśmy już prawie miesiąc w jednym domu, kiedy Emma dała mi raz książkę, żeby ją odesłać Szabelskiemu.

— Ja ją sam oddam — powiedziałem.

— Na co się panu fatygować samemu? Teraz błoto w Koziencach. Pan mieszkaśz pewnie daleko od rotmistrza, i zdaje się nie jesteś z nim znajomy.

— Zajadę prosto ztąd — rzekłem, — i poznamię się, żeby mieć zrzeczność nadal być pani użytecznym.

Emma uśmiechnęła się. Ta maleńka intryga zajmowała mnie niewymownie. Kobiety, dzieci i Pantofle lubią odnosić takie zwycięztwo nad silnymi. Wkrótce potém powiedziałem Emmie, że już byłem znajomy z rotmistrzem, i chętnie ję będę służył w każdym razie; lecz, na moje podziwienie, spojrziała na mnie tak surowo, jak gdyby mi chciała zrobić ciężki wyrzut. Prawie osłupiałem. Przeszło kilka miesięcy, i o rotmistrzu nie było nigdy wzmianki w rozmowie między nami, i nie odbierałem już żadnego poruczenia. Ciasna moja głowa nie mogła żadnym sposobem zrozumieć téj polityki. — Jeśli ona go kocha, myślałem sobie, to dla czego nigdy nawet nie spyta mnie o jego zdrowie? Wszak ja ję mówiłem, że *go widuję*... wszak on, będąc zajęty służbą, bywa rzadko, ledwie raz w tydzień w Tyżynie, a ja prawie siedm razy!.. Kochankowie mają tyle do powiedzenia sobie, że choćby codzien się widzieli, zawsze czegoś zapomną. Tajemnica tak dla nich przyjemna, że choćby dano im zupełną swobodę, zawsze będą szeptać do siebie w sekrecie; a Emma ma rodziców, którzy, chociaż zdaleka, ale ba-

cznie na nią patrzeć!... Dla czego ona nie pisuje przeze mnie do rotmistrza? wszak zapewne nie wątpi, że gdyby mnie to najmocniej dotknęło, jednak nie odmówię jej żadnej prośby, żadnego nawet kaprysu. A rotmistrz, wiedząc że bywam w Tyżynie, nigdy nie pyta o Emmę? nie! ona pewnie przestała go kochać!

Raz wróciwszy z Tyżyna, zastałem na swoim stoliku karteczkę od znajomych, którzy mnie prosili zaraz po przyjeździe przyjść do nich. Przeczytawszy wyszedłem do przedpokoju, żeby wziąć czapkę, która zwyczajnie tam wisiała, lecz spostrzegłem, że jej nie było na kołku. Przed tygodniem zdarzyło się coś podobnego, lecz wtedy nie spiesząc z domu, kazałem jej tylko poszukać służącemu; tą razą zaś nie wiem dla czego zastanowiłem się nad tem... zacząłem szukać, nigdzie nie znalazłem; zwołałem służącego, lecz i ten nie wiedział, a jeśli wiedział, to nie mówił. Wtém lokaj rotmistrza wszedł z moją czapką, zmieszał się cokolwiek, i zapytany o przyczynę, płatał się widocznie w odpowiedziach. Jakieś podejrzenie mimowolnie zapadło w mą duszę.

Wróciwszy od znajomych, wstąpiłem do rotmistrza. Zapewne służący nie mu nie mówił dla tego, że na nim nie widać było żadnej przemiany, rozmawiał ze mną jak zwyczajnie, i skarżył się, że nazajutrz chciał jechać do Tyżyna, ale z powodu służby musi zostać w mieście. Pobiegłem czémprędzej do siebie i zacząłem dumać, jakby najłatwiej odkryć tę tajemnicę. Nigdy nie zastanawiałem się tak mocno nad wpływem czapki na moję istotę. To zagadnienie rozwiązałem prędzej daleko, jak pytania astronomji, i zdziwiłem się nad swoją przenikliwością. Nie posiadałem się z radości, chociaż wy powiecie, że to bardzo naturalnie, dla tego, że planet nie można wziąć w rękę, a czapka leżała przedemną na stole, jak trup przeznaczony na dyssekcję. Istotnie, jak zobaczycie, była to nie czapka, lecz trup mojego szczęścia; ale mówmy o zagadnieniu, które mnie zajmowało.

Długo opatrywałem czapkę, nareszcie przewróciłem ją do góry podszewką, aż oto widzę w jedném miejscu podszewka zszyta zupełnie innym ścięciem i inną nitką. A tuś mi ptaszku! Widać, że tą fórtką wchodzi i wychodzi tajemnica do czapki i z czapki. Ułożywszy cały plan do odkrycia zdrady, położyłem się spać w tryumfującym humorze, jak Oktawjan po bitwie aktyjskiej, która świat cały w jego moc oddała.

— O Boże! jaką ja głupią gram rolę! pomyślałem sobie; nie dosyć że jestem Pantoflem, zrobiono ze mnie jeszcze pocztową

szkapę, albo raczej pudła, któremu dają nosić w zębach koszyk z bułkami, przeznaczonemi nie dla niego! Więc już kilka miesięcy wożę na mój baranięj głowie bilety z Kozienic do Tyżyna i z Tyżyna do Kozienic, i oto rozwiązanie zagadki, dla czego Emma obchodzi się ze mną łagodnie na wsi, a obojętnie w mieście! — Oburzony tą okropną hypokryzją kochanków, byłbym natychmiast wyjął bilecik z czapki, lecz mnie wstrzymała myśl, że wtedy może Emma nie odpisze rotmistrzowi, a chciałem koniecznie wiedzieć, w jakim stopniu ona go kocha. Nazajutrz pojechałem do Tyżyna. Staralem się skryć moje wzruszenie — daremne usiłowania! byłem podobny do człowieka w gorączce. Państwo Dobr... troskliwie wyypywali się o moje zdrowie. Odpowiedziałem, że czuję się mocno słabym, i mówiłem istotną prawdę. Emma z nadzwyczajną pieczołowitością dawała mi uwagi, jakie pić ziółka, i jak się zachować w chorobie ... Żmija! pomyślałem sobie, drży, żeby nie zatrzymała się jój poczta!... Czasami badawczy wzrok jój długo zatrzymywał się na mnie, i jakby szukał tajemnicy w mojej twarzy. Kto zdradza, i sam nawzajem lęka się zdrady. Okropny ten dzień skończył się przecie — wyjechałem z Tyżyna.

Ujrawszy się na drodze bez świadków, rozerwałem czapkę z szalenstwem i wyciągnąłem bilet Emmy; lecz było ciemno, grudniowa zawierucha, śnieg prosto w oczy, mróz okropny; trzeba było odłożyć czytanie do domu. Ten kawałek papieru włożony do kamizelki palił mi łono, jak roztopione żelazo! — O, dla czego ona tak fałszywie postąpiła ze mną? mówiłem sam do siebie; gdyby otwarcie poprosiła mnie być jój pocztylionem, świadczyć się Niebem, że nie odmówiłbym jój tego, choćbym na miejscu miał umrzeć z rozpacz! ale takim podstępem korzystać z mojej prostoty, tak obojętnie naigrawać się z mojej niedołężności, o, to okropnie! bezbożnie!... Potém znów uniewinniałem ją; mówiłem sobie, że to zapewne wymysł rotmistrza, że on łamał sobie nad tém głowę, a ona, kochając go ślepo, zgodziła się na wszystko. Ale dla czegoż mnie nie ostrzegła o tém? ha! zapewne rotmistrz jój tego zabronił.

Przyjechawszy do domu, powiedziałem służącemu, że jestem mocno chory, nie kazałem nikogo przyjmować i zamknąłem się w gabinecie. Długo leżałem jak martwy na łóżku, nie mając odwagi wyjąć bilecik Emmy.... i dziś nawet nie mogę go przeczytać bez goryczy! Nareszcie wzięłem go do rąk. Oto, co w nim było:

„*Cher, adorable Xavier!* Spodziewając się, że jutro będziesz u nas, piszę do ciebie tylko kilka wyrazów. Pantofel przywiózł mi twój bilecik o dziesiątej zrana; pomyśl więc, że od listu do tej błogosławionej chwili, w której ciebie samego zobaczę, skazałeś mnie na 26 godzin oczekiwania! 26 lat prędzej przechodzą dla innych, jak dla mnie ta doba! *Cher Ange!* błagam cię — wszak ty taki dobry, taki tkliwy, wysłuchaj mojej prośby, przyjedź jutro wcześniej. Sama nie wiem, dla czego dziś jestem więcej smutna, jak zwyczajnie?... Nasz Pantofel chory, i nieborak bez żartów gotów położyć się do łóżka. *Mon ami!* poszlij zaraz po doktora, a sam nastrasz naszego kurjera, że jeśli nie będzie regularnie przyjmował lekarstwa, to może umrzeć... on taki tchórz!... to go zrobi troskliwszym o swoje zdrowie. Zresztą *l'épéron domine la Pantoufle*; nie wątpię, że go wyleczysz prędko, i nasza poczta będzie znowu regularnie chodziła. Jednakowoż gdyby długo chciał chorować?... o, wtedy gwałtem posadź go w sanki i przyszliz do mnie; powiedz, że ja go koniecznie chcę widzieć. Inaczéj cały mój fortel pękuie, *comme une bulle d'air*. Żegnam cię, mój miły! najmilszy! i t. d.

Przeczytawszy to krótkie lecz jasne i wyraźne rozwiązanie zagadki mego losu, dowiedziawszy się, że Emma więcej jeszcze chytra i nieczuła, jak sobie wyobrażałem w zapaleczywości mego gniewu, upadłem na łóżko bez zmysłów i w gorąceze przeleżałem całą noc. Nie spałem, ale czuwanie moje było pasmem najokropniejszych widziadeł, nieprzerwanym wątkiem piekielnych uczuć. Z tego wszystkiego, przyszedłszy cokolwiek do rozumu, przypomniałem sobie tylko jeden ustęp tej straszliwej sceny. W tumanie gorączki zdawało mi się, że byłem gdzieś na morzu. Świszczały wichry, szumiały bałwany, huczał grom po gromie, i zaślepiający ogień błyskawic co chwila jaskrawym ogniem oblewał niebo! Zdawało się, że wybiła dla natury ostatnia godzina. Na wzburzonej pustyni morza ja byłem sam jeden i — dziwna fantazja! zabawna parodja pierwszego snu mojej miłości! — płynąłem w ogromnym, szkaradnym pantoflu, pełnym dziur, przez które ciągle nalewała się woda. Na środku nawy stał maszt z żaglem, który gwałtownie tarzały wichry, lecz za każdą błyskawicą zwracały go w moją stronę, jakby dla tego, ażeby na żaglowém płótnie mógł czytać biliet Emmy napisany wielkimi literami. Wokoło mnie wily się obrzydliwsze od gadów pantofle, i jakby patrząc na mnie, wychylały z wody swe podarte przodki. Tymczasem przydeptana pięta

měj nawy — pantofla, coraz więcej pogrążała się w głąb' morską i przymuszała mnie rejterować się na drugi koniec; lecz, niestety! tam stał Albert i odpychał mnie w fale!..

Rano nie miałem siły podnieść się z łóżka. Służący wyłamał drzwi. Od niego dowiedziałem się, że rotmistrz był u mnie wieczorem raz sam, a drugi raz z doktorem, i że doktor nie kazał mnie budzić. Właśnie miałem kazać znów zamknąć drzwi, kiedy wszedł Szabelski, i spojrzawszy na moję zmienioną twarz, szczerze zaczął mnie wypytywać o symptomata choroby. Długo mówiliśmy z sobą, tak długo, że sanki, które go miały odwieźć do Emny, przeczekały więcej jak godzinę na dworze. Rozmowa nasza zaczęła się z mojęj strony gorzkimi wyrzutami, które przerywały często łzy i łkania. Rotmistrz milczał; przeszedł się kilka razy po pokoju i znów usiadł. Widać było walkę w jego sercu; lecz to serce było szlachetne, prawdziwie męzkie. Przyjął całą winę na siebie, i zrobił więcej, aniżeli potrzeba było do jěj zagładzenia. O! ja mu przebaczyłem! przebaczyłem w zachwyceniu, że niebo dało mi poznać tę prawdziwie szlachetną duszę, i odtąd byliśmy do samėj jego śmierci prawdziwymi przyjaciółmi. Emmie nie mogłem przebaczyć. Szperałem we wszystkich zakątkach mojego serca pobłazającego dla niěj uczucia, i nie mogłem go znaleźć.

Tém się kończy pierwsza namiętna i nieszczęśliwa moja miłość. Epilog jěj prosty i krótki: po ciężkiėj chorobie, w której rotmistrz był nieodstępny moim stróżem i pocieszycielem, wyjechałem z Kozienic, a on się ożenił z Emmą.

Wiadomo że Paskal, obawiając się zgrzeszyć dumą, nosił na biodrach przepaskę z żelaznemi kolcami, które pięścią wbijał sobie w ciało przy każdėj myśli niezgodnej z chrześcijańską pokorą. Naśladowując tego znakomitego męża, nosilem zawsze na sobie bilecik Emmy, ażeby on utrzymywał w mém sercu niewygasłą pogardę dla niewieściego rodu. Codzieln wczorajem odczytywałem to arcydzieło hypokryzji, pielegnowałem w sercu hydrę pamiątek, i jak ów starożytny król-wygnaniec, karmiłem się trucizną. Takim sposobem niosłem kilka lat brzemię życia w cierpieniu i prawie nędzy; śmierć stryja, jak już mówiłem, poprawiła moje okoliczności. Nieboszczyk zostawił mi znaczny majątek i proces tak dobrze prowadzony, jakby już wygrany, z panią R.... młodą wdową, od której miałem odebrać pięćdziesiąt tysięcy talarów. Ten proces był początkiem drugiėj mojęj miłości, uwieńconej, niestety! węzłem małżeńskim!

Pani R.... straciła męża w młodych latach. Kiedy ją poznałem, miała nie więcej jak 27 rok. Wysoka, brunetka, kształtna jak palma, biała i delikatna jak lilja, twarz miała bardzo regularną, nawet piękną, lecz rysy miały coś ostrego, i fizjognomja jój była łagodna wtenczas tylko, kiedy ją ożywiała chęć podobania się komu; oko czarne, pełne ognia, charakter nadzwyczajnie wesoły. Dowcip jój i lekkomyślność były znane w całej okolicy i wspominate nawet w salonach Warszawy, gdzie przepędziła pierwszy czas po swém wyjściu za mąż. Nieboszyk pan R.... był człowiek z wasami jak u suma i uparty jak kozieł. Pani R.... często płakała, że jój nie dawał żadnej woli, obchodził się z nią jak turek, nie ubierał jój przyzwoicie i nie wyprawiał balów. Zostawszy wdową, Konstancja wzięła do siebie starą ciotkę, ażeby w opinji świata być pod opieką, rzeczywiście zupełnie swobodną. W kilka lat, stroje i wszelkiego rodzaju pustota jakby w dym obróciły połowę majątku, a o drugą połowę stryj mój zaczął proceder. Konstancja, widząc blizką zgubę i obawiając się ubóstwa więcej jak śmierci, zaczęła nawiedzać swego przeciwnika i sąsiada, w nadziei, że się jój uda ugłaskać starego szlachcica, znanego powszechnie ze słabości dla płci pięknej. Kilka wizyt przekonały ją, że gościnność i uprzejmość zupełnie nie przeszkadzają starym seladonom popierać sprawę w trybunale, i wtedy pierwszy raz w życiu zwątpiła o sobie. Od samego dzieciństwa wszystko się wiodło tój kobiecie; nie dosyć, że każde jój życzenie spełniało się niemylnie, często nawet fortuna zdawała się uprzedzać same jój kaprysy. *Szczęśliwa jak pani R....* — mówiły kobiety w okolicy, kiedy się której coś trafiło nadzwyczajnie pomyslnego. Zdarzało się, że ktoś, parząc na zbierające się chmury, mówił: Będzie deszcz. Nie będzie, odpowiedziano mu. Pani R.... ma mnóstwo gości w ogrodzie, i istotnie dopiero w nocy deszcz lał jak z wiadra. Można sobie wystawić, co się działo w tém zbałamuconém od fortuny sercu, na samą myśl o ubóstwie, któreby ją niemylnie spotkało, gdyby stryj mój nie umarł przed zupełném skończeniem procesu.

W kilka dni po przyjeździe moim do dóbr nieboszyczka, odebrałem list od pani R...., listek na różowym papierze, rozkosznie złożony, tehnący jakąś rajską wonią, napisany po francuzku, ślicznym kobiecym charakterem, i żywym, kwiecistym, pełnym dowcipu stylem. Sama powierzchowność tego kawałka papieru tak zachwycała oko, że niepodobna było obojętnie wziąć go do ręki. Kobiety z gustem mają jakiś tajemniczy talent przelewać wdzięk

na wszystko, czego się tylko dotkną, a pani R.... była mistrzynią, co do gustu. List był dość krótki. Winszowano mi przyjazdu i życzone poznamienia się, dodając, że ta znajomość będzie dla piszącej tyle przyjemną, ile użyteczną dla naszych wspólnych interesów, lecz w tej świeckiej szczebiotliwości kobiecego pióra było tyle słodyczy, tyle wdzięku, tyle salonowej uprzejmości, że najtwardsze męskie serce mogłoby się nieco poruszyć z miejsca, a cóż mówić o człowieku, który raz zdradziwszy się, przestał myśleć o tém, żeby kobieta mogła zwrócić na niego uwagę? Ten list, jak potok elektryczności, wstrząsnął całą moją istotę. Objawszy majątek niespodziewanie, wiedziałem tylko, że mam proces z jakąś kobietą, ale do głowy mi nie przychodziło, żeby to była pani R.... O jej osobie, charakterze i okolicznościach także nie jeszcze nie było mi wiadomo.

Oddając pierwsze wizyty sąsiadom, zajechałem prawie najpierw do pani R.... zupełnie odważnie, to prawda, jednakże daleko spokojniej jak wtedy, kiedy śpieszyłem znajomić się z familją pani Dobr.... Własny kocz i własne konie ośmielają najslabsze nawet charaktery. Zastałem Konstancję w rozkoszonym, gustownym stroju, jak gdyby spodziewała się znakomitego gościa. Powierzchowność jej sprawiła na mnie mile, mocne wrażenie, jednakże niezbyt gwałtowne, albowiem zostało mi jeszcze tyle rozwagi, że mogłem rozpatrywać ubranie pokojów, w którym widać było najwykwintniejszy smak. Tryumf pani R.... zaczął się ledwie po kilku chwilach. Wdzięk jej rozmowy, zajęcie się moją osobą, i jakaś miła kokieterja, która umiała być ślepą na każdą moją niezręczność, głuchą na wszelką niedorzeczność, a baczna na każde dowcipne słowo, oczarowały mnie zupełnie. Kto nigdy nie znał światowej kobiety, nie ma wyobrażenia, ile ten fantastyczny twór natury mieści w sobie oslepiających powabów! Jak prosty kamyczek przybiera w kalejdoskopie tysiąc coraz innych i coraz piękniejszych kształtów, jak brylant błyszczy i mieni się w promieniach słońca, tak światowa kobieta umie każdą drobnostką zachwycić obecnych, tak wokoło niej jednoczą się, błyszcżą i przyskają iskrami, czucie, dowcip i wdzięk. Prawda, że serce też takiej kobiety jest tak twarde i zimne, jak brylant, o tém mówiły nam jeszcze nasze babcie; ale powiedziecie, na miłość Boga, czy patrząc kiedy na ten śliczny kamień, myśleliście o tém, że on twardy, że on zimny, i że gdy go chemik rozłoży na atomy, to obraca się w lekki gaz, w coś takiego, czego nawet nie można wiaść w rękę, to jest, w zero dla

czucia? Otóż to i biada, że kiedy człowiek mocno czuje, to ani myśli, ani rachuje, ani waży, jak filozof, matematyk, lub kupiec. I ja w tej pamiętnej dla mnie godzinie nie myślałem o niczym, nie wierzyłem moralistom, i to, co kiedyś sam sądziłem w tym względzie, zdało mi się płaskim, bez smaku i pozbawionem dowodów. Całe moje życie fizyczne było natężone w oku i uchu, a dusza, jakby ulotniwszy się z ciała, krążyła w okóło tej czarodziejki salonu, której miała zostać niewolnicą. Nie wiem jakimi sobie wyobrażają turcy te nieśmiertelne dziewice, które Prorok obiecał im w raju; co do mnie, to gdybym był turkiem, chciałbym, aby raj mój był napelniony takimi kobietami, jaką była Konstancja, kiedy ją poznałem.

Było już późno, kiedy wyjechałem od pani R.... uszczęśliwiony, oczarowany, dumny sam z siebie. Zdało mi się, że w ten jeden wieczór słaba moja istota wzbudzona namiętnie, stargała na sobie pęta uniżenia, i wracałem do domu jak rzymski dyktator po najświetniejszym zwycięstwie. Cała przyszłość mi się uśmiechała. Pani R.... z ujmującą otwartością skarżyła się przede mną na nudy, i przy pożegnaniu wymogła na mnie obietnicę nawiedzać ją tak często, jak tylko pozwolą mi okoliczności. Ile nadziei, ile marzeń obudziło się w mej duszy! Ta kobieta, szeptał mi zcicha egoizm, istotnie umie poznawać ludzi. Tutejsze towarzystwo rzeczywiście bardzo nudne. Nieboraczka! nie ma nawet z kim pomówić!...

Razem z majątkiem spadło na mnie niemało kłopotów. Nieboszczyk stryj pozaczynał kilka budynków, kilka nowych zaprowadzeń gospodarskich, miał różne spekulacje, proces i t. d. Rozumie się, wypadalo mi te projekta uskutecznić, a przynajmniej przyprzewodzić do porządku. Nie rozumiejąc zupełnie ani gospodarstwa, ani interesów prywatnych i sądowych, musiałem słuchać co mi mówiono; i takim sposobem dostałem się pod władzę mego ekonomy i plenipotenty. Pierwszy prawil mi codzień nudne legendy o ziemiaństwie, a drugi napisał z Warszawy tak długi list, że wróciwszy od pani R...., nie miałem odwagi przeczytać więcej jak dziesięć wierszy. Obydwa jakby umyślnie używali tak zabawnego djalektu, że przy całej mojej uczoności, nie pojmovalem czego chcą odemnie. Po kilku dniach znudzily mnie wszystkie interesa. Kazałem ekonomowi rządzić majątkiem tak, żeby dochody nie były mniejsze jak przy ś. p. stryju, a plenipotentowi poleciłem jak najprędzej kończyć wszystkie interesa, i odtąd listy jego składałem nierozpieczętowane jeden na drugim, postanowiw-

szy przeczytać je w wolniejszym czasie. Wiedziałem, że mam jakiś proces, ale z kim? i o co? tego nie byłem ciekawy dowiedzieć się. Zresztą, alboż to mało bywa procesów? mówiłem sobie, kiedy mi to przychodziło do głowy. Stryj mój, jak wielu starych ludzi, procesował się pewnie z nudów, a ja się nie nudziłem... Pocóż mi było zajmować się procesem, kiedy miałem nawet plenipotentą? Jeździłem sobie do pani R.... pocieszać ją, albowiem ciągle się uskarżała na małą liczbę osób dobrze wychowanych w okolicy.

Hm! myślałem nieraz, więc ta zachwycająca kobieta istotnie znajduje przyjemność w mojem towarzystwie!... I czy można było wątpić o tém, kiedy każdą razą po elegji w guście Younga, zwracając na mnie błagające spojrzenie, prosiła jakby największej łaski, żebym nie rachował godzin méj wizyty; a kiedy jéj to przyrzekłem, natychmiast smętność znikła z jéj twarzy, oczki świeciły się jak dwie gwiazdeczki, weseliła się jak dziecko, rozsypywała przede mną nie wyczerpane skarby swego dowcipu, grała cudowne melodie na fortepjanie, śpiewała przy arfie, prowadziła mnie do swego czarującego ogrodu, jedném słowem, nie naruszając przyzwoitości, nie dotykając nawet strony czucia, umiała wlać w mą duszę więcej rozkoszy, jak inna kobieta przy zupełnie otwartém postępowaniu. Wizyty moje były coraz częstsze, coraz dłuższe, nareszcie wracałem do domu tylko na nocleg. Nie mogłem żyć bez téj kobiety, bo dała mi poznać taki czarowny świat, że ten, w którym dotąd pełzłem jak gadzina, zrobił się dla mnie nieznośnym.

Powiadają, że czas jest największym nieprzyjacielem niestosownych związków, albo, że widząc kogo często, odkrywamy w nim niezawodnie jakiekolwiek wady. Nieprawda, wiercie mi, że to nieprawda; *absurdum est*; to tylko można powiedzieć o zwyczajnej kobiecie, która nie umie nic więcej, jak kochać, dziś, jutro, za rok, i jeśli się nie namysli, to i dalej; ale kobieta światowa, im więcej poznana, tém więcej zachwyca. Ona, będąc ciągle ta sama, nieustannie wydaje się inną, zawsze zajmującą. W téj niepojętej czarodziejce *wyobraźnia*, jeśli mogę tak się wyrazić, *ma serce*, a to, co my nazywamy *sercem*, znajduje się w niej nie dla tego jedynie, aby w niem krew przelewała się z jednéj komórki do drugiéj, nie, jéj serce jest prawdziwie *żyjącą istotą*, która więcej jeszcze ma wyobraźni, rozumu i gustu, niż samego czucia. Przypuścimy, że to serce zimne; ale któż temu uwierzy, kiedy często palająca miłość wybucha z niego, jak ogniste snopy wyrwywające się ku niebu przez lodowate rozpadliny islandzkich wulkanów. Przyjemny

dźwięk głosu, nadzwyczajna płynność potocznej mowy, różnorodność wyobrażeń, obszerność wiadomości, przenikliwość i trafność w sądzeniu o każdej rzeczy, niewyczerpany dowcip, i wreszcie te na pozór tak starannie skrywane, a w istocie tak pojęte wylewy serca, dają jej coraz nowe środki zajmować mężczyznę. Ujmująca uprzejmość światowej kobiety zgaduje myśli i życzenia, a ona jest zawsze tak uprzejmą, że każdą chwilę obojętną za straconą liczy. Jednym słowem, w światowej kobiecie zdaje się być dziesięć rozmaitych i równie doskonałych kobiet, tyle szczęścia może zlać na mężczyznę! prawda, że i nie mniej niedoli.

Konstancja miała talent urozmaicać najzwyczajniejsze sprawy, najprostsze drobnostki; samo przywitanie się jej ze mną było zawsze inne. To mnie czekała w altanie, to spotykała konno w amazońskim stroju, to z książką siedziała u okna, to ubrana rozkosznie, jak Kleopatra, kołysała się w ślicznej łódce na środku stawu.... Dziś nie jestem w stanie nawet przypomnieć sobie wszystkiego, co dla niej tak łatwo było wymyślić. Z czasem, kiedy znajomość nasza zrobiła się więcej ścisłą, i gdy już nazywaliśmy siebie po imieniu, o! wtedy upojenie mojego serca przewyższyło wszystko co tylko kiedy marzył poeta! Konstancja, widząc moją nieśmiałość, sama zrobiła pierwszy krok, wyznała mi swą miłość, i wzięwszy, że tak rzekę, szturmem to serce, któreby się nigdy nie odważyło na miłosne oświadczenie, poświęciła mi odtąd każdą chwilę dnia, każdą myśl swjej duszy, każde wzruszenie swego łona. Szczęśliwy, kto kocha, lecz stokroć szczęśliwszy ten, kto jest kochanym, kogo pielęgnuje i pieści kochanka, jak matka pierwsze swoje dziecię!....

Tymczasem proces z panią R.... szedł swoją drogą, chociaż, jak powtarzam, zupełnie nie wiedziałem, że się z nią prawuje. Wy się dziwicie, jak się to mogło zdarzyć?... O, nie dziwcie się! *wszak ja Pantofel!* Pomyslcie raczej, że to było arcy-zabawnie! Ten sam człowiek, który w salonie rozpywał się od czułości, w trybunale wydierał swję ulubionej cały majątek, za stratą którego czekała ją żebractwo. Gorliwy mój plenipotent, jak się potem przekonałem ze stosu jego nierozpieczętowanych listów, był pewnym wygranęj, i oczekiwania jego niemylnieby się sprawdziły, gdyby wyrok na tę sprawę zapadł jedynie w trybunale podług praw krajowych. Lecz pani R.... miała zupełnie inny projekt, postanowiła wygrać sprawę w swoim własnym salonie, i wynagrodzić sobie nie tylko koszta procesu, ale nawet to, co lekkomyślnie roztrwonila od śmierci pierwszego męża.

Raz przyjechawszy zrana, zastałem ją we łzach; włosy w nieładzie spadały kędziorami na w pół-obnażone ramiona; w ubiorze jej zwyczajnie tak wykwintnym, widać było jakieś zaniedbanie; zdawała się być mocno strapiona. Witam ją, nie odpowiada; pytam, milczy. Nareszcie po długim błaganu, kiedy sam już byłem rozrzewniony jak dziecko, spójrzawszy na mnie łzami zalaném okiem, wyjawiała mi całą tajemnicę. Nie będę, dodała — robić ci wyrzutów; wszak u was mężczyzn miłość miłością, a interes interesem. Ja biedna kobieta nie mam tak mocnej głowy, żeby jedno i drugie mogło się w niej pomieścić. Oddawszy się zanadto miłości, nie mogłam należycie zajmować się procesem, i będąc przekonaną o sprawiedliwości mych praw, spokojnie czekałam końca. Zresztą myślałam sobie, że człowiek z honorem, mający przywoity majątek, nie zechce zapewne pozbawiać bezbronnej kobiety ostatniego sposobu do życia, i zbliżyłam się do ciebie w nadziei, że bez sądu, po przyjacielsku, skończymy tę sprawę. Później, kiedy serce uniosło mnie dalej, jak się spodziewałam, zdawało mi się nawet nieprzywoitem już wspominać o tém, co by mogło rzucić na mnie podejrzenie, że cię chciałam podejść; lecz razem poznawszy — lepiej twój szlachetny charakter, nie wątpiłam, że sam zrobisz pierwszy krok do sądowej zgody. Omyliłam się! Niechaj ci Bóg daruje, tak, jak ja ci przebaczam! Żegnaj cię. Jesteś już albo wkrótce będziesz panem wszystkiego, co dotąd było mojem, jutro wyjeżdżaj!

— Nie wyjedziesz, droga, najmilsza Konstancjo! zawołałem, padając przed nią na kolana. Długo usprawiedliwiałem się w méj niewinności; przekonywałem ją, że nie myślałem nigdy, żebym miał z nią jaki proces, że nikt mi nie mówił o téj sprawie, a listy plenipotenty leżą nierozpieczętowane, i nakoniec cała ta teatralna scena skończyła się jak najśliczniej. Konstancja była tak dobra, że mi wybaczyła całą winę, a za kilka tygodni oddała mi swą rękę przed ołtarzem. Wprzód jednak: nim pani R.... zniknie w téj powieści, muszę wam powiedzieć, że po kilku miesiącach mój plenipotent, zdając mi papiery, powiedział pod sekretem coś do ucha: Pani R.... jeszcze w początku naszej znajomości ofiarowała mi znaczną sumę, żeby tylko pozwolił jej wygrać sprawę, lecz ten zacny człowiek wzgardził tą ofiarą!

Pierwszy miesiąc po ślubie nazywają zwyczajnie miodowym; ja znałem ledwie połowę takiego miesiąca, lecz ta połowa warta wieku zwyczajnego małżeńskiego szczęścia!.. Jednakże dla czego tylko dwa tygodnie?... wszak to tylko 14 dni! wszak to tak nie-

wiele!.... Niestety! sam nie wiem! Upojony szczęściem, nie pomyślałem, że ono może zniknąć jak dym, jak ślad wiosła na wodzie!... Wśród pieszczot młodej żony, któż nie zapomni ostrożności? kto zmiarkuje, że i w małżeństwie może być różnica między *mojém* a *twojém*? Konstancja na drugi dzień po ślubie, żartując z naszego procesu, prosiła mnie, aby jój majątek kazać zapisać na moje imie, albowiem istotnie był moją własnością. Udawszy, że się zgadzam na to, zrobiłem zupełnie przeciwnie, zapisałem jój cały mój spadek po stryju! Ona zrobiła się bogatą, ja dobrowolnie wyzułem się ze wszystkiego. Ledwie przeszły dwie niedziele, podałem jój moje odzroczenie się od majątku. Każdy się domyśli, ile ta siurpryza ją ucieszyła. Nicumiarkowana, dziecinna jój radość zadziwiła mnie. Pytałem siebie samego: dla czego ten dowód mojej ufności tyle ją zachwyca? czyliż mogła kiedy wątpić o mojém przywiązaniu? jednak byłem zupełnie spokojny. Majątek nie przeszedł w cudze ręce, czegoż się więc miałem obawiać? wszakże wkrótce spostrzegłem, że chociaż on był *nasz*, ale już nie był *mój*.

W kilka dni potém rozpadł się w gruzy kolosalny gmach mojego szczęścia; kochanka i żona znikły, jak miłe obrazy poznane we śnie; ocknąłem się, przedemną stała lekkomyślna, światowa kobieta. Dom nasz napelniał się gośćmi, zaczęły się nieustanne zabawy, rauty, obiady, bale, pikniki, literackie wieczory, domowy teatr, spacer y i pieszo i konno, i na wodzie, słowem, wszystko, co tylko może wymyślić bujna wyobraźnia światowej kobiety. Młodzież z całej okolicy gruchnęła do nas, jakby na kwaterunek. Mundury, fraki, sukienki, poezja, proza, muzyka, istota w butach i istota w trzewieczkach, każdy był miłym gościem, jeśli tylko umiał być wesolym. Z Warszawy od wszystkich modystek szły do nas ogromne karawany strojów, wszystko to było nieodbitie potrzebne, *le stricte nécessaire*, jak mówiła Konstancja. Przeczynałem na *czém* się to wszystko skończy, ale nie mogłem temu zapobiedz, majątek był własnością mojej żony, i miała prawo rządzić nim według swój woli. Ja, mąż jój i dobroczyńca, byłem jak obcy we własnym domu; zostałem znów Pantoflem, który obojętnie deptała nie tylko Konstancja, ale nawet i ludzie dworowi.

— *N'infectez plus mes salons*, rzekła mi raz z gniewem żona, i od tego czasu noga moja nie śmiała przestąpić zakazanego progu. Siedziałem dzień i noc w swojej komórce na poddaszu, słyszałem pod sobą muzykę i śmiechy, a często i głośnie toasty docho-

dzily do mnie właśnie wtedy, kiedy kuchcik z litości przynosił mi ogryzki z bankietu.

Zawołać mi Pantofla, tak zwyczajnie wyrażała się Konstancja, kiedy obecność moja była jój potrzebna. Lecz wiecież dla czego mnie wołała? dla tego tylko by posłać mnie po co do miasta, kiedy wszyscy słudzy byli zajęci, i to zwyczajnie w nocy, ażeby mnie nikt w mieście nie poznał, żeby mnie swym pantofelkiem passować na rycerza, żebym ją bawił jak błazen, kiedy była w złym humorze, albo nareszcie żeby się samój zabawić nademną. Najdziwniejsze fantazje przychodziły jój do głowy; coś podobnego do marzeń Hofmana, tylko w innym rodzaju; jakaś mięszanina, w której była loika i niedorzeczność, uprzejmość i okrucieństwo, niemiarkowana wesołość, poezja i jakiś dziki dowcip, gorszy daleko od prozy. Powierzchność jój przybierała w takim razie odpowiadające tój roli wyrażenie, i wówczas Konstancja była podobna do młodej kotki, bawiącej się z myszką. Dla przykładu opowiem jedną scenę, którą lepiej niż inne sobie przypominam.

Jednego poranku Konstancja, wydawszy swemu marszałkowi wszystkie rozkazy, i poburczawszy na niego, że jój śmiał donieść o niedostatku pieniędzy w kassie, klasnęła w dłonie podług tureckiego zwyczaju. Zawołać mi Pantofla! i zawołano mnie z poddasza.

— Co rozkażesz? moja Kostusin! spytałem ostróżnie i zcicha, wszedłszy do rozkosznego jój gabinetu.

— Aha! to ty? krzyknęła radośnie, jakby najczulsza żona, ujrawszy męża wracającego z za morza. Jak się masz, mój aniele! Wszak ty mnie kochasz?... ty mnie mocno kochasz?...

— Kocham, odpowiedziałem z westchnieniem.

— No, jeśli kochasz, to mi zapewne nie odmówisz jednej drobnostki, jednej bagatelki, mniejszój ot, niż łepiek tój szpilki?

— Nie odmówię, choćby była większa od bomby.

— Ach! ty wiesz, że ja nigdy nie żądam od ciebie wiele, jeśli mnie kochasz, nie noś tylko bótów.

— Ja i teraz jestem bez bótów, te bowiem, które widzisz u mnie na nogach, są pożyczzone od Jacka, lokaja ś. p. stryja i dobrodzieja.

— Mniejsza o to, ja cię błagam i zaklinam na wszystko, nie noś odtąd ani swoich, ani pożyczanych bótów.

— Dalibóg nie rozumiem dla czego żądasz takiego dowodu przywiązania? Miěj litość nade mną, wszak zima blisko!

— I ty miej litość nade mną, mój jedyny! Czy chcesz, żeby wszyscy szydzili ze mnie, że mam cztery nogi i chodzę w czterech bótach?... O Boże! ja mam być czworonożnym zwierzęciem!.. ja mam chodzić w bótach! i jakby w rozpaczę zakryła sobie twarz obydwoma rękami!..

— Co takiego? rzekłem, jakim sposobem? i wytrzeszczyłem oczy zdziwiony.

— Oto takim sposobem, ja ci natychmiast wszystko wytłomaczę. Niemasz nic prostszego. Ty *Pantofel*, prawda?

— Prawda, lecz cóż z tego wypada?

— Zobaczysz co z tego wypada, słuchaj tylko, mój klejnocie! A zatém kto włoży na nogę *pantofel*, kładzie z nim razem i nierozdzielną od niego parę bótów, a kto włoży parę pantofli, nosi mimowolnie cztery bóty, a zatém ma cztery nogi, jest jakiś dziwoląg, jakaś potwora! O Boże! a wszyscy wiedzą, że ja całe rano chodzę w pantoflach. I cóż? okrutniku!... czy chcesz, żeby wszyscy pokazywali na mnie palcami? O! zaklinam cię, mój aniele, nie noś bótów, znikuj się, nie noś bótów!.. I przy tym wykrzykniku uklęka przede mną w teatralnej, lecz zachwycającej postaci.

— Nie będę, nie będę ich nosił, zawolałem, nie wiedząc sam, czy mam się smucić, czy pękać ze śmiechu, czy całować tę śliczną kobietę, która załamawszy dłonie, klęczała przede mną. Lecz nim zdążyłem namyśleć się, Konstancja już wstała, zawołała z przeraźliwym śmiechem: Dziękuję ci, mój aniele! szybko zdjęła pantofelek z jednej nóżki, klapnęła, po czémś miękkim w sąsiedztwie mojego nosa, i wypchnęła mnie za drzwi. Wszystko to nie trwało nawet minuty.

Takie drammy zdarzały się dość często. Nie pojmuję dla czego nie mogłem się rozgniewać na żonę. Miłość moja nie tylko nie zmniejszała się, lecz przeciwnie, po każdym zobaczeniu się z nią więcej jeszcze kochałem tę dziwną kobietę. Świat zupełnie nie wiedział o moim losie. Mój mąż ciągle chory, albo mój mąż wyjechał do Warszawy, mówiła Konstancja tym, którzy czasem pytali się o mnie; lecz pytano rzadko, i nakoniec zapomniano, że pani R... ma męża. Ja sam sądziłem, że jestem kawalerem, chociaż rozłożyste nogi i nos dłuższy niż u słonia, mogły mi przypomnieć w każdej chwili, że miałem młodą żonę! O, tak! ja nosiłem nogi... ale zamileczę o tém, bo to więcej należy do historii mojej żony, niż do mojej własnej, a ja postanowiłem tu mówić tylko o sobie.

Chciałbym opisać wszystko, co się działo w mój duszy, ale po

co? Nikogo to wtenczas nie zajmowało, i teraz każdyby to przeczytał jak bajkę Ezopa, nawet taki sam jak ja Pantofel!... Śpieszę więc prędkiej do końca tój ciężkiej dla mnie spowiedzi.

W kilka lat majątek nasz nadzwyczajnie się umniejszył; jedna wieś po drugiej znikala, jakby pochłonięta pożarem, albo wrogami obrócona w perzynę. Na nieszczęście, razem z tym ubytkiem powiększała się jeszcze lekkomyślność Konstancji, tak jak stawki szulera, kiedy mu się w grze nie wiedzie. Charakter jój robił się coraz więcej gniewliwym, nieumiarkowanym, namiętym.

Zwyczajne zabawy już ją nudziły; zaczęła szukać silnych wrażeń, a dla tego, jak wiadomo, jeśli kto nie lubi wina, niezłe są karty; karty są nawet lepsze od wina, albowiem 52 silnych wrażeń w talji rozumie się prędkiej prowadzą do celu, niż jedno silne wrażenie, choćby ono było tak wielkie, jak bezcka. Cała zgraja jój przyjaciół, jak spłoszone kawki, odleciała w stronę; został jój tylko mały domek na przedmieściu w Kaliszu, jedna służąca i *Pantofel!* — Wieczór był ciemny, wiatr i deszcz okropny, kiedy dwie duże żydowskie fury zwolna podjechały do tego ostatniego przytułku świetnej niegdyś królowej salonów. W jednej furze leżała napół martwa Konstancja, obłożona pierzynami, i służąca siedziała na przodzie obok woźnicy, druga była naładowana strojami, bez których moja biedna żona nie mogła sobie przedstawić żyjącej kobiety. Z tyłu daleko za furami szedł blady, wychudły jak szkielec mężczyzna, w podartém odzieniu, i ledwie wyciągał z błota bosc nogi — to byłem ja. O Boże! jeszcze wczoraj za ostatnie pieniądze Konstancja mieszkała w pierwszym hotelu w Kaliszu, i zostałaby w nim do swojej śmierci, gdyby policja nie zmusiła jój do emigracji. Pozostały jój domek tak był nędzny, że nikt go nie chciał kupić.

Dante możeby opisał stan jój duszy, kiedy weszła do tój rudery i rzuciwszy się na pościel, załamała ręce w rozpacz... ja tego nie potrafię! I mój stan był okropny, to zrozumie każdy. Długo stałem jak osłupiały nad zemdloną Konstancją, wreszcie oconony z tego bolesnego letargu padłem na kolana, modliłem się kilka minut, jak człowiek, który śpieszy zrobić dobry uczynek przed śmiercią, i poleciwszy żonę staraniom służącej, wybiegłem z domu jak szalony.

Lecz ten w całym pędzie biegnący mężczyzna wam nieznamy, moi czytelnicy! To nie byłem ja, to nie był *Pantofel*; w tój chwili był to człowiek z mocnym postanowieniem, z charakterem

nieugiętym, mąż i chrześcijanin! Zacząłem chodzić od jednego urzędnika do drugiego, szukając wszędzie roboty, nareszcie znalazł się człowiek litościwy. Kłamią ci, którzy mówią, że nie ma takich w świecie! Pracowałem całą noc, rano wziąłem dobroczynnego doktora, kupiłem żywności i pośpieszyłem do żony. O nieszczęśliwa! w jakim ona była stanie! Gorączka, rozpacz, niedostatek zwyczajnych wygod, w połowę doby oszpecili tę twarz, kiedyś tak miłą, tak uroczą! Okropnie było patrzeć na nią! Doktor zamyślił się mocno, przepisał lekarstwo i przyrzekł ją odwiedzać. Co noc pracowałem do świtu w mieście, żeby nazajutrz być w stanie przekarmić żonę i kupić jej lekarstw. Jakaś nadprzyrodzona siła obudziła się w wątlém mojem ciele a wytrwałość w duszy. Nie, potrzebo wałem ani snu, ani pokarmu, ani spoczynku, żeby żyć i działać. Żyłem jedną tylko myślą — ocalić tę nieszczęśliwą!... lecz próżno. Ta kobieta dożyłaby może do stu lat w rozkosznym salonie, a w nędzy nie mogła wytrwać i dwóch tygodni!... podobna do tych delikatnych krzewów, które pod dobroczynnym wpływem południowego słońca mogą trwać długie lata, a przesadzone pod zimne niebo północy, usychają w kilka dni!... Życie jej gasło zwolna, lecz widocznie ugasło, i doktor w milczeniu oddał ją pod opiekę kapłana. Wtedy to dusza Konstancji, jak ostatni błysk dogorywającej lampy, zajaśniała jeszcze raz dawną świetnością.

O, gdybyście widzieli jak przykładnie ta lekkomyślna kobieta spełniła ostatni obowiązek na ziemi! jak cierpliwie, jak spokojnie czekała końca swojego istnienia! z jakim szczerem żalem błagała mnie, żebym jej przebaczył!...

— Mój miły! mój drogi! — mówiła, zwracając na mnie już ciemniejące spojrzenie — gdyby mi Bóg pozwolił zostać jeszcze na tej ziemi, poświęciłabym ci resztę dni mojego życia, byłabym twoją służącą, twoją niewolnicą, włóczyłabym się u nóg twoich, ażeby tylko zasłużyć na twoje przebaczenie! Lecz jeśli już sądzono mi umrzeć i chwile moje policzone, o! nie przeklinaj prochów tej, która podstępem dobiła się twój miłości, imienia i majątku, i za to wszystko odplaciła ci najokropniejszą niewdzięcznością!... Ta myśl zatruwa ostatnie minuty mojego życia; ona i w wieczności będzie moją męczarnią. O! wysłuchaj ostatnią prośbę umierającej ... przebac!...

Boże! ja jej dawno przebaczyłem, albo raczej ja nigdy nie mogłem nienawidzić tej kobiety. Ona kiedyś wlała tyle szczęścia w moje serce, że i sto lat cierpienia nie mogłoby przygłuszyć we

mnie miłości, którą jój poświęciłem. Oddałem się jój zupełnie, nie pytając, czy będzie dla mnie aniołem pocieszycielem, czy katem.

Taki był koniec tój kobiety.

Własnymi rękami oddałem ziemi szczątki tój czarującej niedgys istoty. Niedawno jeszcze miała ona wielu przyjaciół i wielbi-
cieli; nie jeden przysięgał się, że gotów za nią oddać życie; pisali dla niój wiersze i prozę, i strzelali się za jedno jój spojrzenie, a na jój pogrzebie nie było nikogo! ani jednéj duszy — oprócz *Pantofla*. Ja jeden byłem na tym ostatnim wieczorze i powiedziałem jój: — *Dobranoc! do zobaczenia się!* — a kiedy już poszła w mil-
czeniu do pokoju wieczności, ukląkłem na świeżój mogile, i pod-
niosłszy do nieba oczy zalane łzami, zawołałem: — *Konstancjo!* teraz ja ciebie błagam o przebaczenie, ja jeden winienem wszystkie-
mu. Inny mąż zrobiłby z ciebie przykłądną kobietę, dobrą żonę,
dobrą matkę i rządłą gospodynię; ja ciebie zgubiłem, dla tego, że
mi brakło odwagi poprawić błędy twojego charakteru! Na strasz-
nym sądzie Boga ja za ciebie będę odpowiadał, tak, jak każdy
mąż, który zapomina o tém, że powinien być ojcem i opiekunem
swojój żony.

Wieczorem tegoż samego dnia, w Kaliszu, u wrót miejskiego
szpitala, znaleziono mnie zemdlątego na bruku.

* * *

Na tém się kończy rękopism mojego kuzyna. Mój Boże! dla
czego człowiek z taką głową i z takiém sercem nie umiał być w
świecie czém więcej niż Pantoflem, kiedy inni bez głowy i bez
serca... ale co nam tam do innych? dosyć na tém, że pan Win-
centy był godzien politowania. Żeby przynajmniej był *bótem!*...
los jego byłby nierównie szczęśliwszy!

— Hm! a dla czegoż lepiej być bótem, niżeli pantoflem?

— Chcecie wiedzieć dla czego? O, dla wielu przyczyn!

Bót ma wiele przywilejów — może skrzypieć, chociaż nie we
wszystkich domach, ale w wielu bardzo, a na prowincji skrzypieć
może okropnie. Może stukać, i często stuka straszliwie, osobiwie
odtąd, jak nasza młodzież zaczęła nosić wysokie korki. Przy po-
mocy metalowych wásów może brzęczeć jakimś muzycznym tonem,
który z całej mowy *bótów* najmniej nieprzyjemne robi wrażenie na
ucho.

Bót ma także wiele przymiotów. On się błyszczy, i ten blask

tak mu nieodbitie potrzebny, że jeśli się dziś powala w błocie, to nazajutrz już nikt tego nie postrzeże, on znów świetny! On zamłodu pokazuje tylko badawczemu oku swoje powierzchowność, a na starość, nie obawiając się już sądu świata, odkrywa każdemu wszystkie swoje tajniki. On, jak Achilles, umiera często od rany w piętę, albo jak wielu jeszcze sławniejszych mężów, od podagry zaczynającej się od wielkiego palca. Cóż dziwnego, że jego portrety wiszą prawie na każdej ulicy dla dziwu przechodzących? *Bóty* są sprawiedliwie przekonane, że jeśli by ich nie było, to połowa rodzaju ludzkiego chodziłaby boso, jak żebracy. Widzicie, że wcale nieźle być bóttem!.. Pantofel przeciwnie nie ma żadnych zalet; on cichy, niski, zawsze tak otwarty, że nawet myszy mogą widzieć, co się w nim dzieje; kryje się od obcych osób, nie wychodzi na ulicę i nie bywa na wieczorach. Czego też nie wymyślą na tego nieboraka! Powiadają, że głupi, dla tego, że nie chodził dotąd do szkół ani do uniwersytetu; że nierządny, dla tego, że nie chodzi na rynek; a niektórzy utrzymują nawet, że on i żyd i turek razem, dla tego, że chodzi do bożnicy i do meczetu. Gdyby się nie zdarzały czasem litościwe kobiety, które lubią ten rodzaj... obówia, to nareszcie wszyseby uwierzyli mężczyznom, utrzymującym, że pantofel nieużyteczny dla rodzaju ludzkiego.

Petersburg,
w Lipcu 1840 r.

TRUPIA GŁÓWKA.

POWIESTA

NAPISANA PRZY KOLEBCE MOJEGO LEONKA.

Bądźcie mądrymi jako węzowie a prostymi jako gołębicze.

Kiedy Bóg udzieli kobiecie odrobinę pisarskiego talentu, zdaje mi się, że nie może ona właściwie użyć tego daru, jak dla pożytku własnych dzieci. Pisać dla publiczności, dla narodu, mogą tylko kobiety z większą zdolnością. Ja piszę dla swoich dzieci. Choćby płody mego pióra były mniej niż miernej wartości, choćby publiczność przyjęła je jak najzimniej, zostaje mi nadzieja, że przynajmniej dzieci będą mi wdzięczne za dobre chęci macierzyńskiego serca. W szumie świata, może kiedy wzrok ich padnie przypadkiem na moje dziełko. Przypomną sobie młodość, a z nią matkę, i przeczytawszy kilka kartek, ze łzami w oku, z modlitwą na ustach, postanowią pełnić rady pierwszej swojej przyjaciółki i opiekunki. W tym celu piszę dla ciebie tę powiastkę, mój drobnutki Leonku, w której potocznym sposobem chcę ci przedstawić jedną myśl moralno-chrześcijańską. Pamiętaj, że często, sądząc po ludzku, człowiek zdaje się być wolnym od zmysłu, a jednak w głębi jego serca wije się wąż grzechu. Powściągnij się od wszystkiego podobieństwa złości, *boć owoc światłości jest we wszelkiej dobroćliwości, w sprawiedliwości i w prawdzie*. Nie zapominaj, że religja nakazuje nam *być mądrymi jako węźowie, a prostymi jako gołębicę*. W naszym wieku mędrkowania jest to jedna z najzbawiennejszych przestroż, które ci dać mogę. Teraz nie zrozumiesz tego, dziecino! niewinna dusza patrzy tylko w oko matki, słucha tylko pieśni piastunki i w snach niemowlęcych marzy tylko o niebie; radość niedługo cię cieszy, łzy twoje niedługo płyną; ale przyjdzie czas, kiedy z rozpiętym żaglem wpłyniesz na morze żywota... wtedy przeczytaj z uwagą moją powiastkę. Teraz śpij, gołąbku mój miły! — matka czuwa nad tobą.

TRUPIA GŁÓWKA.

W ciemną i burzliwą noc jesienną stara Małgorzata ocknęła się ze snu, i wsłuchując się w rozgłosy nawałnicy huczącej na dworze, zawołała z pobożną bojaźnią: — A Słowo stało się ciałem! Jezusie Nazareński! zmiłuj się nad nami! Cóżto się dzieje na Bożym świecie? — Zmówiwszy krótką modlitwę przeciw gwałtownej niepogodzie, chciała nieco zasnąć, lecz sen nie przychodził. Jakiś przestрах ogarnął biedną kobietę, zerwała się z pościeli i przeraźliwie krzyknęła na męża:

— Symonie! w imię Boga żywego!...

— A co wam potrzeba? Małgorzato! — odezwał się zbudzony Symon.

— Słuchajta no, cy nie słytyta? tam na dwoze...

— Łaska Boża z nami! Słysęć, niewiasto, jak tam carci salejom. Pewnie się który zeni, albo się gzesny człowiek obwiesił.

— A cy nie więcej nie słytyta? słuchajta jeno dobrze...

Symon pod starość cokolwiek głuchy, zaczął się przysłuchiwać baczniej, ale oprócz łoskotu burzy, nie mógł nic więcej rozpoznać. Wreszcie zniecierpliwiony, że mu żona przerwała sen, zawołał z niechęcią:

— Spita z Bogiem, zono! nie kłóćta mi głowy naprózno. Warcy tam sparko na dwoze, alić to ustanie. Widziałem takie sturmy nieraz, kiej byłem wiarusem, i do tego na gołęb polu, cegos mi się wej turbować w chałupie?

— Ogłuch zupełnie mój Symon — mruknęła Małgorzata — zal

się Boże, nie nie słysy dziad stary. Symonie! — zawołała głośniej, dyć tam pod oknem płace coś jakby dzieciątko....

— To desc plusec, matko! Spita z Bogiem! Zkądby się wzięło dzieciątko pod oknem w taką pogodę, kiej i psa nie wypędzis kijem z domu?

— Oj nie desc to, Symonie! Idźta no duchem za wrota. Jak Bóg żywy, to niemowlątko płace....

— Jezusie Nazareński! Królu Żydowski! co się z tobą dzieje? niewiasto! jakie niemowlątko? To moze kot zmokły miaucey na poddasu, albo cart udaje głos ludzki, zeby się zabawić nad twoją gzesną dusą.

— Symonie! jeśli ci Bóg miły, idź zwawo, uzal się dziecięcica. Jabym sama posła, ale mi strasno, az mróz pzelatuje po skóze.

Stary Symon, chociaż był kiedyś wiarusem, choć w całej wsi słynął z odwagi, bynajmniej jednak nie należał do ludzi śmiałych w nocy. Jest to zupełnie odrębny rodzaj śmiałości, który najwięcej zależy od natury i wrażeń dzieciennego wieku. Wiara, czyste sumienie, rozum i lata mogą wiele pomódz bojaźliwym, ale rzadko zastąpią to, czego odmówiła natura. Symon nie uląklby się ani człowieka, ani niedźwiedzia, gdziekolwiekby ich spotkał, ale ciemność nocy, burza, zabobonność gminna i przełknięcie żony naprowadziły na niego mimowolną trwozę. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Stary kręcił się na ławie i myślał nad tém, jakby się wywinąć od poruczenia, które, ufając w jego śmiałość żołnierską, dawała mu Małgorzata. Wstyd i strach walczyły w jego duszy, i może strach byłby wziął górę, lecz wtém rażące światło błyskawicy nagle oświeciło całą izbę. Symon postrzegł swoją żonę, stojącą przy oknie w bieli, przeleklą i bladą jak trup. Żal mu się zrobiło poczciwój kobiety; widok jój słabości obudził miłość własną starego żołnierza; zerwał się z ławy i zuchowato zawołał:

— Niech się dzieje wola Boza! rozdmuchaj ogień i zapal latarkę.

Nalożył na siebie siermięgę, wziął światło i wyszedł.

Po kilku chwilach płacz dziecięcy coraz bliżej zaczął się rozlegać. Słysząc go było naprzód przy wrotach, potem w przysionku.

— Dzieciątko! — zawołała Małgorzata i pobiegła na spotkanie męża, który istotnie wniósł do izby koszyk z niemowlęciem, starannie zawiniętym w pieluchy.

— A widzita, Symonie! — zawołała poczciwa wieśniaczka ze

łzami radości, schwyciła koszyk, zdjęła z dziecięcia mokre pieluchy, okryła je suchą bielizną, chuchała, ogrzewała, śpiewała nad niem i tuliła do łona, póki nie przestawało kwilić. Potem przyszło jej na myśl, że dziecię zapewne głodne.

— Biedny gołąbek! — rzekła z żalem. — Symonie! przynieś mleka i drewek na komin.

Stary wiarus, który dótąd stał nieruchomy, wpatrując się w milczeniu w miłe rysy dziecięcia, myśląc nad tém, czy téż ma rok skończony lub nie? czy to chłopczyk czy dziewczynka? czyje to dzieciątko? pobiegł ile mógł skwapliwiej i wypełnił co mu mówiono. Mleko się zagrzało, Małgorzata wyjęła ostatek obwarzanków kupionych w mieście, zrobiła papkę i nakarmiła dzieciątko, które chciwie polykało pokarm. Wtedy dopiero uspokoiła się dobra kobieta, usiadła przy dziecięciu, patrząc jak mile zaczęło drzémać, i zeicha modliła się, póki nie usnęło zupełnie.

Małgorzata była szczęśliwa; dziękowała Bogu, że jej pozwolił ocalić życie biednej istoty, i od pierwszej chwili pokochała dziecię uczuciem prawdziwej matki. Kobiety z niezepsutém sercem mają w ogólności tę cechę, że każde dziecię obudza w nich tkliwe wzruszenie. Jest to w naturze kobiety kochać wszystkie dzieci na świecie, kochać bez uszczerbku swoich własnych, bez krzywdy męża, rodziców, krewnych i przyjaciół, bo serce kobiety jest jedyną *nieskończonością* na ziemi, gdzie wszystko ma ciasne granice. Dowód tego widzimy nawet na osobach światowych, płochego i lekkomyślnego charakteru. Alboż to raz dostrzeżliście na ulicy okrzyczaną nawet kokietkę, zatrzymującą piastunkę z obcém i nieznanym dzieckiem? Patrzy na nie milój jak na wszystkich swoich zalotników, całuje je, pieści się z niem, wypytuje piastunki o najmniejsze szczegóły, troskliwie udziela swoich rad, a często i pieniężnego zasiłku lub protekcji nieznanym rodzicom. To społeczenie dla dzieci najwięcej jest rozwinięte w kobietach gminu, bo lud nasz prosty ma z natury dobre i tkliwe serce; Małgorzata zaś więcej jak inne kobiety była do niego usposobiona, bo miała kiedyś własne dzieci, które Bóg wszystkie zabrał do siebie. Biedne podrzuczone niemowlę rachowała sobie za dar Boży, za cząstkowe wynagrodzenie ciężkiej i nieoplakanój straty.

— A cy chłopak? cy dziwecka? — zapytał w półgłosu Symon.

— Chłopiec, odrzekła zeicha Małgorzata.

— A cyjes to dziecko?

— Złój jakiśs matki, Symonie, kiej go podzuciła cudzym ludziom, jescce w taką pogodę! Niebożatko ledwie nie umarło.

— Tseba jutro powiedzieć wsystko księdzu proboscowi w mieście; co tez on kaze z nióm zrobić?

— Co kaze zrobić? smiesny ty człowiek! Pan Bóg nam posłał, to go wychowamy.

— Juzei ja nie przeciwko temu, zono! ale zawse tseba się za-
pytać księdza probosca, wsakci to nie nase dziecko.

— A cyje, Symonie, kięj pozuciła go rodzona matka? Ale po-
patsta no w pieluchach. Zda mi się, ze tam był jakiś papier.

— Jest maleńki kawalek, odpowiedział Symon, wyciągając pa-
pier z kosza, i na nim coś napisano. Widzita matko, ze tseba iść
do księdza probosca; on przeczyta.

— Pójdziemy jutro, — rzekła Małgorzata. — Alboz to daleko ze
Starój Wsi do Siedlce? — Westchnęła i spojrziała na śpiące dzie-
ciatko. Biedna kobiéta, ulękła się, żeby na tym kawalku papieru
nie znalazło się czegoś takiego, coby ją zmusiło oddać dziecię w
drugie ręce; ale ta obawa niedługo trwała. — Kto go porzucił, ten
się nie będzie o niego dopominać — powiedziała sobie, i drugi
przedmiot zajął jēj umysł. — Symonie! — rzekła do starego wiaru-
sa — jak się tobie zdaje, cy ochrzone to niebożatko?

— Albo ja wiem? Małgorzato! — odpowiedział Symon — juzci
pewno ochrzone; chyba jaki zydowski bachor; rozumie się, ze
chrzone.

— Oj, nie rozumie się, Symonie! Kiej matka mogła go porzu-
cić, to mogła tez nie podać do chrztu świętego.

— Ksiądz pleban zobacy, — rzekł Symon spokojnie — juzci na
papieze pewno napisano o tém.

Nazajutrz wizyta u proboszcza w Siedlcach odbyła się jak naj-
pomyślniej dla dobrych wieśniaków. Małgorzata wróciła spokojna i
wesoła do domu. Ksiądz proboszcz nie tylko pozwolił zatrzymać
dziecię u siebie, ale nadto pochwalił ten dobroczynny zamiar i od-
jął jēj wszelką obawę względem chrztu, albowiem na karteczce
było nabazgrano prostą i niewprawną do pisania ręką: „To dziec-
ko ochrzone; nazywa się Jerzy; skończyło rok na Ś. Michał; ro-
dzice jego już nie żyją.“

— Moja więc dziecina! moja! — wołała Małgorzata ze łzami ra-
dości, wracając na Starą Wieś. — Widzisz, Symonie, choć to nie
nase, ale zawse dziecko; nie będzie nam tak markotno w cha-
łupie.

— Wola Boza! odrzekł Symon, jużci nie opuścimy to pachole, wychowamy niebożatko; będzie z niego kiedyś tęgi wiarus.

— Co będzie, to będzie, mój Symonie! byle pocziwie Bogu służył; a teraz spiesmy do domu, bo wiatr naskroś przejmując dzieciątko, i drzy mi biedne u piersi, jak liśe osinowy.

Przyszedszy do chaty, Małgorzata powydobywała ze skrzyni najcienisze płótno, rozmierzyła i pokrajała na bieliznę i pościółkę dla Jerzego, odłożyła najlepsze perkaliki, pomyślała o czepeczkach, pończoszках, słowem, o całej garderóbce dziecięcia; czego nie było w domu, to kazała Symonowi w pierwszą niedzielę kupić w kramach siedleckich. Nareszcie kiedy się skończyła narada dobrych wieśniaków, Symon, który lubił przy okazji podzielić swoją radość z drugimi, poszedł do wsi prosić sąsiadów, i na ten raz Małgorzata bynajmniej się temu nie sprzeciwiła.

Dziecię rosło i krzepło bystro, jak wszystkie w ogólności dzieci wieśniaków, dzieci prostoty, natury i Boga. Małgorzata, zdawało się, odmłodziła nie tylko sercem, ale całą istotą. Czas upływał, nie zostawiając żadnego na nią śladu, nie odejmując jęj sił i nie chyląc ku ziemi. Kiedy gospodynie we wsi żartobliwie czyniły jęj tę uwagę, odpowiadała im rzewnie: Bóg łaskaw, moje kumy, zachowuje mnie w zdrowiu, zebym oglądała dojrzałym i szczęśliwym moje miłą dziecinę.

Przyszłe szczęście Jarzego było jednak bardzo wątpliwe. Nawet prosty umysł Małgorzaty, przy zaślepieniu prawdziwie macierzyńskim, dostrzegał widocznie, że w charakterze tego dziecka było coś takiego, czego w nim być niepowinno. Im więcej się rozwijał ten charakter, tęp więcej trwożyła się Małgorzata o los swego wychowanka, chociaż nigdy nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co ją tak mocno zastraszało. Było to instynktowe *przekonanie serca*, które chociaż jest równie, a nawet więcej silne, jak przekonanie rozumowe, ma jednak to do siebie, że pospolicie bywa ciemne, nieokreślone, i nie daje się ani rozłożyć na cząstki, ani wyrazić słowami. Biedna kobieta płakała nieraz, opowiadając Symonowi swoje trwogi, stary Symon śmiał się, i pokręcając węsą, mówił: Będzie z niego tęgi wiarus! Jerzy w miarę tego, jak rósł, stawał się krnąbrnym, upartym, zawadżaką; dziecięce żądze jego były ogniste i niepohamowane; słuchał Symona, bo go się lękał, opiekunkę zaś swoją, albo raczej matkę, miał za nic, słowa jęj przedrzeźniał, a z lez śmiał się. Mówię: matkę, bo taką w istocie była dla niego Małgorzata i z uczucia, i z imienia, gdyż pocziwi wie-

śniacy nie nazywali Jerzego inaczej, jak synem. Ale chłopiec był nieczuły z natury. Rówieśnicy jego we wsi często się skarżyli, że im wydierał wszystko, co tylko u nich spostrzegł. Ulubioną jego zabawką było przywiązywać kotom pęcherze do ogonów, wojować z psami, wybierać jajka z gniazd ptasich i wyklówać oczy złapanym wróblom i dzierlatkom. Próżno strofowała go Małgorzata, próżno opowiadała mu tradycyjną powiastkę o człowieku, co z młodu obcinał języki ptakom i puszczał na wolę, a potem, kiedy wyrósł, ożenił się, Bóg go ukarał, bo wszystkie dzieci u niego rodziły się nieme. Jerzy śmiał się i zaczął używać tej nowej męczarni nad ptastwem. Pewną razą przed Wielkanocą, kiedy Małgorzata klóła wrzecionem prosię na święta, Jerzy, stojąc przy niej, patrzył z jakąś dziwną radością na pąsową strugę krwi płynącą ze zwierzęcia; oczy jego zaiskrzyły się; uchwycił oburącz prosię i zaczął je dusić, żeby się dłużej cieszyć widokiem tej fontanny, co go tyle zajmowała. Małgorzata wzdygnęła się mimowolnie.

Później kiedy tylko wypadało zakłócić prosię, albo zarznąć gęs lub kurę, Jerzy przyjmował zawsze ten obowiązek na siebie. Symon powtarzał swoje ulubione: będzie z niego tęgi wiarus! Małgorzata smuciła się i płakała.

Nareszcie i Symon zaczął dostrzegać, że chłopiec niezupełnie dobrym będzie wiarusem, i to go mocno dotknęło: bo u tego starca nie było wyższego pojęcia o szlachetności i enocie, nad pojęcie żołnierza. Nie podobało mu się, że Jerzy, mając już dwanaście lat skończonych, zasypiał często nie zmówiwszy pacierza; nie modlił się w kościele, kiedy na niego nie patrzano; nie chciał chodzić za bydłem, ani pomagać swoim opiekunom w gospodarstwie; biegał tylko nieustannie do miasta i grał w piłkę ze studentami. Wszystko to byłby stary żołnierz doprowadził do porządku, ale Jerzy miał silną protektorkę w Małgorzacie, która go strzegła jak oka w głowie, i dla tego gniew Symona kończył się zwyczajnie jednymi tylko pogroźkami. Wreszcie okoliczności dopomagały Jerzemu. Syn zakrystjana w Siedleach poznał się z nim przy piłce i wprowadził go do domu swoich rodziców, a pani zakrystjanowa, pomówiwszy z chłopcem, i widząc, że jęj odpowiada jak z drukowanej książki, napomknęła Symonowej przy pierwszém spotkaniu, że wartoby go uczyć czytać. Odtąd Małgorzata jakby obudzona z ciężkiego snu, dopóty suszyła głowę Symonowi, dopóki się nie zgodził na to, że Jerzy powinien być czems więcej w świecie jak prostym wieśniakiem. Juści to nie źle, zdecydował w końcu Sy-

mon, kić chłopak naucy się cytać z książki; zostanie kiedyś sierżantem, a kto wie, może i oficerem. Zakrystjan nie drogo weźmie za naukę, boć to nas kum, niechaj chodzi do zakrystjana.

Jerzy chodził kilka miesięcy do swego bakałarza, i nad podziw wszystkich starców we wsi, którzy go rachowali za ladaco, uczył się nadzwyczajnie gorliwie. Małgorzata płakała z radości i wybaczała mu wszelkie szaleństwa. Myśl, że jćj wychowanek nie tylko czyta z drukowanej książki, ale i pisze na białym papierze, miała w jćj oczach tak wysoką cenę, że kliwe jćj uczucia dla dziecka powiększyły się jeszcze szacunkiem dla jego uczoności. Tak to najmniejsza iskierka cywilizacji wydaje się świetną gwiazdą dla prostych umysłów. Od tego czasu, kiedy Jerzy, sprzecząc się o co z Małgorzatą, mówił z gniewem: *Glupiaś, matulu!* dobra kobiéta, choć ją serce bolało, odpowiadała mu spokojnie: Rób jak wiesz, moja dziecino! wsak ty ucony chłopiec.

Jerzy przestał swawolić z rówiennikami na wsi, spoglądał na nich dumnie, i nawet w mieście wybierał sobie ile mógł zamożniejszych rodziców dzieci za towarzyszków. Byli to wszystko studenci. Jerzy, zrobiwszy pierwszy krok na drodze cywilizacji, instynktem pojmował, że mu trzeba było iść dalej. Pewną razą wróciwszy do domu, rzekł do Małgorzaty opryskliwie:

— Matulu! nie pójdę już więćej do zakrystjana.

— A to dla cego? moja dziecino!

— Dla tego, że on głupi, niczego mnie już nie potafi nauczyć.

— Co tez ty gadas? moje dziecie! Zakrystjan głupi! mój Boze! zeby to słytał Symon!

— Ja i oju powiem to samo, niechaj mnie odda do szkół.

— O mój Boze! zawołała Małgorzata, jakze mi to dotąd nie przysło do głowy? Matka Bozka cię natchnęła, moje dziecie! Mas racją, tzeba ci chodzić do szkół; tak, tak, musimy cię oddać do szkół. Potém nagle, jakby przełękniona własnymi słowami, zawołała z rozpaczą: Ale skądze my weźmiemy pieniędzy placić za ciebie?

— Weź skąd chcesz, matulu! odparł cierpko Jerzy. Szewczyk Adaś biedny, a wszakże chodzi do szkół.

— O, bądź spokojny, moje dziecko! rzekła dobra Małgorzata, ostatnie grose zbierzemy, oddamy sad w arędę, sprzedamy częć bydełka, a ty będziesz w szkołach!

Istotnie po żwawej dyspacie z Symonem, Małgorzata postawiła na swoim, i wkrótce potém przy pomocy księdza proboszcza, który, przez wzgląd na bogobojną rodzinę, zobowiązał się placić.

połowę summy, Jerzy został przyjęty do szkół. Symon pocieszał się tém, że wychowanek jego będzie niezawodnie oficerem. Poczciwy starzec nie doczekał się jednak téj pociechy. Śmierć zatrąbiła mu ostatni apell właśnie wtedy, kiedy Jerzy skończył trzy pierwsze klasy. Umierając stary wiarus czule błogosławił swego wychowanka; zalecał mu kilka razy, żeby był bogobojnym, uczciwym, odważnym w boju i dobrym kolegą; w końcu odkrył mu wszystko, co wiedział o jego urodzeniu, i przykazał szanować Małgorzatę.

Po zgonie Symona, Jerzy, nie zważając na rozpacz biednej wdowy, zapytał ją cierpko:

— Dla czegoż nazywaliście mnie synem, kiedy tak nie jest?

— Dla tego, że cię kochaliśmy jak syna, odrzekła szlochając Małgorzata, — dla tego, że zapomnieliśmy, żeś nie nase własne dziecko.

Jerzy zasmucił się mocno; pierwszy raz zrozumiał, dla czego we wsi dawano mu krzywdzące nazwiska podrzutka, h... i t. d. Kamień spadł na jego serce, i w głowie zaczęły się snuć dziwaczne myśli o nieznanym rodzicach. To wystawiał sobie, że muszą być bogaci; nie pojmował, dla czego go porzucili, i spodziewał się, że go będą poszukiwać; to znów nie chciał ich nigdy znać i przeklinał ich okrucieństwo. Na pogrzeb Symona poszedł z jawną niechęcią. Przez kilka dni nie mówił ani słowa z Małgorzatą.

Na staruszce nie widać było żadnej odmiany. To samo przywiązanie do wychowanka, ślepe, nieograniczone, macierzyńskie; ta sama powolność, uległość, szacunek i zupełne wylanie się dla niego we wszystkich aktach życia.

Jerzy tymczasem przechodził pozostałe klasy w szkołach siedleckich, siedział dni i noce nad książkami, czynił nadzwyczajne postępy w naukach, i jeśli nie osiągał pierwszych miejsc na liście egzaminacyjnej, to w zdaniu kolegów, które często bywa sprawiedliwszem nad wszelkie akta szkolne, uważany był zawsze za najzdolniejszego. Widząc, że szczupłe środki Małgorzaty nie pozwalały mu ubierać się jak dzieciom zamożniejszych rodziców, zaczął się w wolnym czasie zatrudniać prywatnymi lekcjami, i tym sposobem nie tylko mógł się przywoicie nosić, ale nadto zyskał wstęp do wielu porządných domów w mieście, o co mu jeszcze więcej chodziło, jak o dobre odzienie. Spotykały go wprawdzie z początku częste upokorzenia, bo chłopiec lubił się obcesem poufalić, ale powoli przyzwyczaił się skrywać urazy, naginać się do

okoliczności, ulegać, kiedy nie można było walczyć, i mścić się, kiedy pora była po temu. Nareszcie skończył szkoły, wziął kilka listów rekomendacyjnych, małą kwotkę własnych pieniędzy, i wszystko, co mogła zebrać jego opiekunka, pożegnał się obojętnie z Małgorzatą i z pierwszą okazją puścił się do Warszawy.

Próżno byłoby opisywać żal pocziwój staruszki, kiedy sama jedna została w osierociałej chacie. Kum jej zakrystjan zlitował się nad nią i wziął do swego domu, bo myśli jej, niekupione już w całość widokiem ulubionego dziecięcia, rozprzęgły się zupełnie. Zdziecinniała do tego stopnia, że bez cudzej opieki umarłaby siedząc na miejscu, myśląc tylko o Bogu i o swoim Jerzym. Z początku wyglądała od niego wiadomości, pytała każdego, czy jej nie przynosi listu, chodziła codziennie na pocztę; potem, straciwszy wszelką nadzieję, wybrała sobie miejsce przy oknie, i całe dni przesiadywała nieruchoma, patrząc na ulicę, po której wyjechał jej wychowanek. A Jerzy? — Jerzy przyjechał do Warszawy, oddał listy, poznał się z kilkoma uczniami uniwersytetu, badał, pytał, wywiadywał się u każdego, dla czego wybrał ten fakultet a nie inny? i nareszcie rzekł sobie: Będę doktorem! W naszych czasach jest to stan powszechnie uważany, karjera niezależąca od rodu, szlachectwa, protekcji, lecz jedynie od zdolności umysłowych, a co najważniejsza, jest to jedyna droga, na której biedny człowiek może na pewno dorobić się majątku. Będę doktorem!

W kilka dni potem zaczął uczęszczać na medycynę. Jak w Siedleach, tak w Warszawie, utrzymywał się z prywatnych lekcji, uczył się gorliwie, odznaczał się między kolegami, skarbił sobie łaski profesorów i starał się zabierać znajomość z dziećmi bogatych rodziców, przez których weisnął się do wielu domów w Warszawie. Było to wczesne i ostrożne przygotowanie do przyszłego zawodu.

Jerzy zgłębiał medycynę z zapalem, nie dla tego, żeby w niej widział jedną z tych szlachetnych nauk, które bezpośrednio są przeznaczone dla polepszenia losu człowieka na ziemi, ale dla tego, że upatrywał w niej klucz do skrzyni z pieniędzmi. A pieniądze dla tego człowieka były *kwintessencją* szczęścia. Cóż to jest szczęście? pytał sam siebie — zapewne nie wysokie miejsce w towarzystwie, ani honory, władza, bo to wszystko bez pieniędzy jest tylko ciężkim brzemieniem w życiu. Cnota, uczciwość i pożyteczna dla społeczności praca, nie prowadzą też do szczęścia, bo ludzie żyjący podług tych prawideł cierpią — o, i bardzo cierpią.

Mądrość i sława jeszcze nikogo nie nakarmiły i nie ogrzały. Wszystkie te duchowne łakocie każdy chwali, ale nikt na nich nie przestaje. Pieniądze i zdrowy rozum, oto najlepsza rękojmia szczęścia w naszym wieku. Trzeba się starać o pieniądze, bo dziś wszystko się sprzedaje, wszystko trzeba kupić. Wszystkie cztery żywioły poszły na frymarkę. Najjinniejszego kawaleczka ziemi nie nazwiesz swoim, póki za niego nie zapłacisz; nie będziesz miał przytułku, póki nie kupisz sobie kilku sążni kubicznych przestrzeni; nie będziesz miał wody ani ognia w kwaterze, póki ich nie nabędziesz za pieniądze. Człowiek kupuje życie u piekarzy i rzeźników, oświecenie u profesorów i typografów, kupuje radość, sławę, przyjaźń, kupuje nawet obronę od śmierci, kiedy mu się uda, u doktorów i aptekarzy. O, trzeba się starać o pieniądze! Po rozwiązaniu tej ważnej filozoficznej kwestji, siadał zwyczajnie do książki i z nowym zapałem zgłębiał tajniki swego przyszłego zawodu.

Pewną razą wracając z lekcji osteologii w deszcz ulewny i szarugę, Jerzy dumał nad tém, dla czego też to u człowieka taka zawiślana organizacja kościogłowy? i jak trudno będzie mu oznajomić się ze wszystkimi kosteczkami w części wierzchniej, dolnej, z boków i wewnątrz? W tej samej chwili nowa myśl błysnęła w zakątkach własnej jego głowy. Moi kolledzy — pomyślał sobie, będą się uczyć zapewne z figur... Co figury? Ażebym pojąć skład kościogłówn, trzeba go mieć przed oczyma. Dostanę sobie trupiej główki. Mógł był wprawdzie znaleźć trupa główkę, albo model w uniwersytecie, ale do domu możeby mu nie dano. Zresztą nie chciał prosić o to, co samemu nietrudno dostać. Przypadkiem w tym samym momencie spotkał go zmoczony deszczem żyd faktor, który mu często sprzedawał rozmaite rupiecie.

— Żydzie! mam do ciebie interes, zawołał Jerzy i pociągnął go pod bramę.

— Ny! a co Jegimności pocieba? mozie pońcochy? mozie bóty? mozie majtki....

— Głupis, żydzie!

— Ny! i co z tegie ze aspan mądry?... dla tegie aspan akademik, a ja zid.

— Chciałbym ci powiedzieć, żydzie, żebyś mi dostał trupiej główki. Dam ci złoty.

— Cegie? cegie aspan chceś?... i wyłupił oczy.

— Trupiej główki z waszego kierkuta, rozumiesz?

— Herstu! aj waj! a na co to aspanu taki trupi główka?

— Co tobie do tego? durniu! Będę się uczył na nięj.

— Och! dla cegie aspanu nie ucyc się na ziwěj główkie? Wszakze u aspana jest główka. Po co aspan chces jesce drugie główki od umarłych zidziów? Och, nie trzeba umarłych zacipiać.... Tegie nie mozna za zadne pieniądze — i nie czekając dalszėj rozmowy, popłynął z wiatrem po błocie, mrużąc długo pod nosem: Herstu, a goj!...

— Bestja żydzisko! rzekł sobie Jerzy, wydrze człowiekowi ostatni grosz, okpi, oszwabi rodzzonego ojca, a dla trupiěj główki ma jakiś zabobonny szacunek i nie chce nawet przyjąć pieniędzy. Tchórz! w tém cały sekret. Trzeba poprosić Jana; ten lubi gorzałeczkę, i nie pożałuje nóg na Powązki.

— Janie! rzekł do stróża, wchodząc do swego domu.

— A co panu potrzeba? zapytał Jan czerwony i cokolwiek w czubku.

— Oto, widzisz, uczę się doktorstwa, i potrzeba mi koniecznie trupiěj główki. Czy nie mógłbys pójść na Powązki i przynieść mi jedną? Dałbym ci złoty.

— W Imię Ojca i Syna i Ś. Ducha! co też to panu przychodzi do głowy, panie Jerzy, rzekł oburzony Jan, żartować ze mnie tak dziwnie?

— Ja wcale nie żartuję, mój Janie! Istotnie potrzeba mi trupiěj główki.

— Co z panem się dzieje! zawołał Jan, jak to można czerepy umarłych zbierać z Bożej ziemi, na której do dnia sądneho powinny doleżeć? Za żadne pieniądze nie zrobię tego grzechu!

— Janie! jakież ty cymbał! Cóż to złego, że trupia główka będzie leżeć u mnie na stoliku? Wszak to kość, nie więcėj.

— Kość! kość! to prawda, panie Jerzy, ale kość ludzka, a nie psia, kość umarłego, pokropiona od księdza święconą wodą. Wiesz pan, że ręka odpadnie temu, kto bezbożnie dotyka się takiěj kości. Daj mi pan pokój, — i odszedł oburzony.

— Ciemne chamskie, plemie! mruknął pod nosem Jerzy, zabije żywego, a uważa za grzech dotknąć się czerepa, co się wala po cmentarzu. Nie ma rady, trzeba iść samemu na Powązki.

Jerzy nie lubił odkładać, kiedy chodziło o medycynę, nie zważając więc na deszcz ulewny, najął dorózkę do Powązek. Dorózkarz wytrzeszczył oczy, i odmykając powóz, rzekł rozczulony jak-by nawiasem: Pewnie panu niedawno umarła matka?

— Umarła — odpowiedział akademik machinalnie, żeby nie za-
wiązywać rozmowy.

— I pan w taki deszcz jedziesz się modlić za jój duszę? pod-
chwycił gadatliwy dorożkarz.

— Jąde, bąknął Jerzy.

Dorożkarz zaciął konie i w milczeniu zmówił *wieczny od-
poczynek* za duszę matki tak czułego syna.

Przyjechawszy na cmentarz, Jerzy szybkim krokiem pobiegł do
kruchty. Znalazłszy stos zbielonych kości, wyciągnął trupa głowę
i wracał z nią spokojnie, w tém pokazał się z budy dziad kościel-
ny, i zawołał: A po co to pan bierze z sobą?

— Potrzeba mi, mój pocziwce! odrzekł Jerzy.

— A na co?

— Powiadam ci, że mi potrzeba; będę się uczył doktorstwa.

— Nie doktorstwa, zawołał dziad, ale farmazonstwa jakiegoś.
Żaden doktor nie przychodzi tu kraść kości umarłych. Wstydź się
wasan! Ot lepiej pomódl się za grzeszną duszę.

— Co mi tam pleciesz? stary! krzyknął rozgniewany Jerzy.
Każdemu wolno wziąć to, co do nikogo nie należy.

— Nie wolno! odparł dziad odważnie, i dodał szyderym gło-
sem: Waspan powiesz, że i z kościoła wolno wynosić co się komu
podoba? A na co cmentarz ogrodzony? he?

Wtém drugi dziad nadszedł pierwszemu na pomoc. Jerzy
spozstrzegł, że siłą nie nie zrobi; ułagodził się więc na pozór i
rzekł:

— No, mój kochany, kiedy powiadasz, że mi nie wolno
wziąć téj trupiěj główki, to przecie musisz wiedzieć kto tego za-
kazuje?

— Kto zakazuje? a to śmieszne pytanie! zawołał dziad. Pan
Bóg zakazuje, ksiądz pleban zakazuje.

— Do Boga daleko, mój kochany! pójdziemy więc do księdza
plebana, to najkrótsza sprawa.

— Pójdziemy! zobaczymy! odpowiedział dziad z pewnością.
I poszli.

— Księżu dobrodzieju! rzekł Jerzy do plebana, jestem uczniem
uniwersytetu, chodzę na medycynę, i dla jaśniejszego pojęcia osteo-
logji, potrzebuję trupiěj główki. Sądziłem, że taką bagatelę, taki
kawał kości, co się wala po cmentarzu, można wziąć bez wszel-
kiego pozwolenia, ale dwóch upartych dziadów żadnym sposobem
nie dają mi zabrać tego klejnotu bez pańskiego rozkazu. Spodzie-

wam się, że ksiądz dobrodziej, jako człowiek oświecony i pojmujący, ile ludzkość może wygrać od postępów medycyny, nie wzbrosisz mi tój drobnostki.

Starzec spojrział na niego z bolesném zadziwieniem.

— Czy ksiądz dobrodzieja zadziwia moja prośba? — spytał Jerzy.

— Nie prośba twoja dziwi mnie, młodzieńcze! — odpowiedział pleban — ale ten ton lekkomyślny, suchy i zimny, z którym ją wyrażasz. Słyszę, że mówisz mi coś o tém, ile ludzkość wygra od postępów medycyny? O, wierz mi, moje dziecię, że ludzkość daleko więcejby zyskała, gdyby młodzież uczono nie nazywać kości umarłych bagatelą, drobnostką; gdyby każdy szczątek umarłych budził w młodych umysłach pojęcie śmierci, wieczności i Boga; gdyby kształcono więcej serca jak rozumu.

— Może być, że się źle wyraziłem — podehwycił Jerzy niecierpliwie, więc przeproszam księdza dobrodzieja, ale nie moja w tém wina prawdziwie. Te zabobonne dziady spostrzegłszy, że biorę trupa główkę, przyjęli mnie za jakiegoś heretyka i zepsuli mi humor swoim fanatyzmem.

— Te zabobonne dziady mają słusność, odpowiedział ksiądz. Z żalem, z prawdziwym żalem jeszcze raz ci powtarzam, moje dziecko: oni mają słusność. Wprawdzie żadne prawo Boskie ani ludzkie nie zabrania wyraźnie brać kości ze cmentarza, ale każdy to czuje w sercu, każdy ma jakiś religijny szacunek dla tego, co jest godłem śmierci, co przypomina nam, że sami wkrótce umrzemy. Biada temu, komu zbywa na podobném uczuciu, bo to jest zakon całej ludzkości, zakon serca nieoziębionych zepsuciem, i przeciw temu zakonowi, postępkim, mową i myślą popełniłeś pan herezję i świętokradztwo.

— Więc ksiądz dobrodziej odmawiasz mój prośbie?

— O, nie, mój panie! Jesteś zbyt mądrym, ażebym miał pozbawić ludzkość tego światła, które jej obiecujesz. Nie robię ci żadnej przeszkody; wierz jednak słowom starca i duchownego, że żadna nauka nie wynagrodzi ci straty, którą poniesiesz przez zaniedbanie serca.

— Polecam się pamięci i modlitwom księdza dobrodzieja.

— O, bądź zdrow, kochany panie! Nie zapomnę o tobie w modlitwie. Będiesz mi boleśnie pamiętny.

Młody filozof wyszedł pełen szyderskiego gniewu, i wracając do miasta z trupą główką, mówił sam do siebie: co też to za po-

jęcie u tych ludzi? Nie dziwię się żydowi, Janowi i dziadom, ale ksiądz, starzec, człowiek, jak się zdaje, oświecony!...

Jerzy nauczył się doskonale osteologii. Trupia główka, przedstawy mu być potrzebną, poniewierała się po jego stancji, to na stole, to pod stołem, to na szafie, to pod piecem. Zależało to czasami od losu, a czasem od humoru pana akademika. I przybywało młodzieńcowi rozumu do głowy i ubywało mu rozumu w sercu! Tymczasem Małgorzata zwyczajnym trybem przesiadywała na Stariej Wsi. Siedziała nieruchoma, jak posąg; z ust jej nie wychodziło żadne słowo, oprócz zapytań: Czy nie ma listu z Warszawy? Całe życie tej kobiety skupiło się w jej wspomnieniach, które długim rzędem i zawsze tym samym porządkiem ciągnęły się codzien po osierocalém sercu, jak słońce po niebie. A w nocy sny, sny o przeszłości i o Jerzym, wечно o Jerzym!

Pewnego poranku staruszka ledwie ze snu przetarłszy oczy, zdziwiła wszystkich głośnym wykrzykiem: — Będzie wiadomość od Jerzego!

— Zkądże to wiecie, matko? — zapytał zdumiony zakrystjan.

— Śniło mi się, kumie.

— Nie wiercie snom, matko, Bóg wie, co się człeku nie przysni, a nie z tego nie bywa. Ot, niedawno śniło mi się, że byłem biskupem, i cóż? czy ja biskup?

— Alez to, kumie, nie taki sen, jak mój. Ja widziałam we śnie dusę matki Jerzego, i ona mi powiedziała, że dziś otrzymam wiadomość.

Zakrystjan ruszył ramionami i uśmiechnął się, staruszka usiadła na zwyczajnym miejscu przy oknie.

Pierwszy zimowy mróz pokrywał szyby śnieżnymi kwiatami, przez które nie można było dojrzeć Bożego świata. Małgorzata jednak nachyliła się ku oknu, i oddechem stopiwszy powoli część szronu, odkryła dla siebie ulicę. Cały dzień przeszedł na próżnym oczekiwaniu. Staruszka jadła i piła nie wstając ze swego miejsca, i nawet kiedy mrok zapadł, została przy oknie nie tracąc nadziei. Wieczorem zakrystjan zadyszany wpadł do izby, wprowadził jakąś kobietę, i obracając się do Małgorzaty, rzekł:

— Matko! oto jakaś podróżna chce pomówić z wami.

Małgorzata siedziała milcząca i nieporuszona.

— Matko! — zawołał znów zakrystjan — ta kobieta chce z wami pomówić o Jerzym.

Wtedy nagle zabłysło jakieś światło w oczach Małgorzaty.

Siedmdziesięcioletnia, zgrzybiała i słaba zwyczajnie staruszka, która nie mogła przejść przez izbę bez cudzej pomocy, zerwała się ze stołka, pobiegła do nieznajomej, i drżącym od radości głosem żądała pisma od Jerzego. Nieznajoma oświadczyła, że nieprzyniosła listu, lecz wiele ma do pomówienia z Małgorzatą o Jerzym. Obie kobiety usiadły przy piecu i długo rozmawiały pocichu. Małgorzata załamywała ręce do góry, płakała z radości jak dziecko, przerywając szlochaniem częstą modlitwą. Widać było, że dowiedziała się czegoś niezmiernie pomyślnego dla swego wychowanka. Nareszcie pożegnała nieznajomą i rzekła do zakrystjana:

— Kumie! jutro trzeba mi jechać do Jerzego.

— Matko! — zawołał osłupiały z zadziwienia zakrystjan, — co się z wami dzieje? w takich latach? w zimową porę, do Warszawy! Pomyślcie tylko, na miłość Boga, wszak to 12 mil.

— Musę, musę jechać, jęknęła rozdzierającym głosem staruszka. — Bóg i Matka Najświętsza Cęstochowska nie opuszą mnie biednej. Musę go jesse raz widzieć psed śmiercią; mam dla niego dobrą nowinę, musę mu ją sama powiedzieć. Spsedaj moje całą chudobę i najmij furmankę do Warszawy.

— Aleć, matko, jakże go najdziecie w Warszawie? wszak to nie Siedlee.

— Wy nie wiecie — rzekła spokojnie Małgorzata, — bo on was nie obchodzi, a ja wiam od ludzi, że Jerzy pisał do księdza probosca; ksiądz probosc mu odpisał, więc musi wiedzieć gdzie on mieska.

Zakrystjan szczyił się względami proboszcza, i dla tego odpowiedź Małgorzaty ubodła go do żywego. Na twarzy jego pokazał się złośliwy uśmiech; natężył głos, ażeby go wszyscy słyszeli, i zawołał: — Oj, matko, matko! słaba u was pamięć! Wszakże to ja wam mówiłem o tém. Ksiądz proboszcz sam mi pokazał list Jerzego, i prosił, żebym was uspokoił nowiną o dobrém zdrowiu i powodzeniu waszego kochanego dzieciny.

— Daruj, kumie! wyleciało z pamięci; ale pamiętaj, że jutro jadę do Warszawy.

— Jedziemy — odpowiedział udobruchany zakrystjan — pojedę z wami, matko! bo sami ani jednej mili nie zrobicie. I tak boję się, żebyście na drodze nie zapadli.

— Nie bój się, kumie! Jak zobacę Jerzego, to juz chyba wtencas będzieś miał biedę ze mną.

Od téjże chwili staruszka zajęła się przygotowaniem do pod-

róży. Zdawało się, że jakaś tajemnicza siła wpłynęła w stare jęj kości. Krzątała się po domu, zbierała swoje ciepłą odzież i nie dawała pokoju zakrystjanowój, póki nie przygotowano gościniec dla Jerzego, składający się z masła, sérów, suszonych owoców i innych wiejskich łakoci.

Na drugi dzień wyjechali. Zakrystjan kilka razy chciał wracać do domu, bo siły staruszki od trudów podróży i cierpkiej zimowej pogody widocznie ją opuszczały. Małgorzata jednak znosiła wszystko cierpliwie; żadna skarga, żadne westchnienie, żaden jęk boleści, nie wychodziły z jęj ust; z oburzeniem oddalała od siebie wszelką myśl o powrocie do domu. — Jedźmy! jedźmy! — wołała nieustannie — a cy daleko jesteście do Warszawy? — Nareszcie przejechali przez Wisłę świeżo ściętą lodem. Lód był słaby i trzeszczał, choć dla większego bezpieczeństwa narzucano na niego słomy i pojedynczo puszczano przejeżdżających. Zakrystjan lękał się i żałował, że się dał namówić do podróży, staruszka modliła się i była spokojna. Mieszkanie Jerzego znaleźli łatwo podług adresu proboszcza. Staruszka, drapiąc się po ciemnych wschodach na czwarte piętro, drżała od radości; cała jęj istota była ożywiona tą myślą, że obaczy swoje drogie dziecię, i ten zbytek uczuć osłabił ją do tego stopnia, że kiedy weszła do izdebki Jerzego, rzuciła mu się na szyję, krzyknęła i zemdląła. Zmierchało się właśnie. Jerzy siedział zamyślony przy stoliku; kiedy weszła Małgorzata, usłyszał nagle głośny krzyk: — Jerzy! moja dziecino! a potem uczuł gwałtowne uściśnienie staruszki. Zapomniawszy oddawna o poczciwej kobiecie, która wypielegnowała go z czułością matki, młody akademik był cokolwiek przestraszony całą tą sceną, wcale nie był kontent z niespodziewanej wizyty i przywitał się dość zimno z zakrystjanem.

Zakrystjan pokazał mu na staruszkę, która powoli wracała do przytomności.

— Cóż was sprowadza? Małgorzato! zapytał Jerzy.

Staruszka, trzymając na nim wzrok sztywny, błyszczący ostatnimi łzami życia, w napływie rozkosznych uczuć nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Zakrystjan ją wyręczył i rzekł:

— Przyszła was zobaczyć, panie Jerzy, i powiedzieć wam, kto byli wasi rodzice.

— Moi rodzice! — krzyknął z radością Jerzy — mówcież, Małgorzato! o, przez litość nademną, mówcież prędzej!

— Daj mi się napatrzeć na ciebie, moje dzieciątko! bo to jest ostatnia radość dla moich oczu na ziemi.

— Alboż nie możecie patrzeć i mówić? Małgorzato!

— Prawda, moje dziecię! Powiem ci wszystko, tylko bądź cierpliwy. Język mój na starość zrobił się zbyt powolny, nie mogę mówić prędko.

I opowiedziała mu, często odpoczywając, to, co słyszała owe go wieczora od nieznanymej na Stariej Wsi. Powieść staruszki niepodobna nam zachować w oryginalnej formie dla tego, że się do niej mieszało zbyt wiele pobocznych ustępów i wspomnień; przedstawiły ją więc skróconą i ile możności uporządkowaną.

Była w Lublinie pewna wdowa, biedna kobieta, nazwiskiem Żubrowa, i miała córkę jedynaczkę, którą kochała nad życie. Jeden offycjalista z Trybunału, słysząc od kogoś o piękności Marji Żubrownej, dopóty nie miał pokoju, póki jęj nie zobaczył, i przekonawszy się, że istotnie zasługiwała na te pochwały, które oddawano jęj postaci, powziął niepoczeiwy zamiar uwieść biedną dziewczynę. Szatan w takim razie nigdy nie odmawia swojej pomocy. Offycjalista w krótkim czasie dopiął zamiaru i potem obojętnie porzucił dziewczynę. Marja się utopiła. Żubrowa ledwie nie umarła z rozpacz; chorowała długo i niebezpiecznie; potem chciała drogą prawną poszukiwać zemsty i kary na zabójcę swęj córki; ale czyż prawa ludzkie mają, czy mieć mogą dostojną karę na zbrodnie tego rodzaju? Zbrodnie okropne, bo to jest najwyższe okrucieństwo, zabójstwo wstydu, poczeiwości dziewczęj, wszystkich jęj marzeń; zabójstwo serca, i co więcéj, zabójstwo duszy! O! bezsilne są prawa całej ziemi na takie występki, a opinja publiczna toleruje tę nizezemność i często nawet poklaskuje nizezemnikom. Żubrowa widziała, że wszystkie skargi nie ulżą jęj żalu; zdała więc zemstę na Boga, pewna będąc, że niebo skarże prędzęj lub późnięj zabójcę Marji. Czasami piekielne myśli dręczyły Żubrowę, osobliwie kiedy spotykała rówiennice Marji, pięknie ubrane w dzień świąteczny, albo jeszcze gorzēj, kiedy się kojarzyło młode małżeństwo. Krajało się serce matki z bólu, widząc jak mogła być szczęśliwą, i jak całe to szczęście wydarł jęj jeden człowiek. W podobnych chwilach gotowa była zabić tego człowieka. Tymczasem offycjalista po kilku latach rozwiązłego życia, pokochał nareszcie młodą i bogatą pannę, i wkrótce z nią się ożenił. Po roku Bóg dał mu syna i wtedy... (wszak dzieją się dziwne rzeczy na świecie) wtedy w sercu dotąd zepsutém odezwało się pierwsze czyste uczucie — miłość oj-

owska. Ojciec ubóstwiał pierworodnego swego syna; najlepsze jego uczucia skupiły się na tém dziecięciu; doszedł do takiego exaltowanego przywiązania, że cały Lublin i śmiał się i dziwił się. Byli tacy, co w tym nadzwyczajnym affekcie do dziecka widzieli rodzaj obłąkania. Żubrowa dowiedziała się o tém i dziwnie się przemieniła. Całe dni mimowolnie marzyła o tém dziecięciu oficjalisty. Ani rozrywka, ani praca, ani żadne zajęcie się nie mogły oderwać ją od téj myśli. Widziała nieustannie obraz dziecka przed swemi oczyma, a w nocy śniło jęj się dzieciątko. Kiedy je raz zobaczyła z piastunką na rynku, ręce jęj wyciągnęły się mimowolnie naprzód, żeby je porwać; przelekła się sama siebie i uciekła do domu. Odtąd szatan widocznie zaczął ją kusić; jakiś głos szeptał jęj wyraźnie do ucha: — Wykradnij to dziecię, zemścisz się za Marję. — Powoli przyzwyczaiła się do téj myśli, zrobiła sobie z nięj obowiązek, zdecydowała się na wszystko. — Prawdę — mówiła sobie Żubrowa — że tu niewinnie będzie cierpieć biedna matka, która mi nic nie zrobiła. Żal mi téj kobiety, ale cóż robić? niechajże jęj cierpienie Bóg wynagrodzi w niebie. — Nareszcie po długim wahanu się upatrzyła pomyślną porę, wykradła dziecię i uciekła z Lublina. Objawienia stroskanych rodziców w gazetach i kroki urzędowe zostały bez żadnego skutku. Niepocieszony ojciec zsechł, zżółkniał, zgarbił się od żalu; matka dostała suchot, wyjechała do Warszawy i tam po kilku miesiącach umarła. Żubrowa z wykradzioném dzieckiem miała udać się do swoich krewnych w Podlaskiem, lecz uląkszy się własnego występku i chcąc usunąć od siebie wszelkie podejrzenie, podrzuciła je zamożniejszemu wieśniakom na Staręj Wsi pod Siedlcami, a sama wróciła do Lublina. W samęj rzeczy nie padło na nią żadne podejrzenie. Po kilku latach wszystko się uciszyło, tém bardziej, że ojciec dziecięcia powtórnie się ożenił. Żubrowa także ochłonęła od zemsty; chciała wszystko poprawić, ale bojaźń kary wstrzymała ją od tego kroku. Nareszcie przed śmiercią opowiedziała sąsiadce całą historję, i pod przysięgą wymogła na nięj, żeby wyszukała dziecko i wróciła ojcu. Owóz dla czego nieznanajoma kobięta przybyła do Małgorzaty na Starą Wieś. Nieznalazła Jerzego, i zdała całą sprawę na jego opiekunkę.

Jerzy, który cały czas cierpliwie słuchał opowiadanie Małgorzaty, zerwał się z miejsca, kiedy skończyła powieść, i zawołał zachwycony:

— Więc ojciec mój żyje! jakżem szczęśliwy! żyje i bogaty! ale

nie powiedzieliście mi jak się nazywa? Boże mój! powiedzcie mi prędzej.

— Wiem jak się nazywa — rzekła staruszka — pocekaj, zaraz ci powiem. Jezus Marja! czy nie zapomniałam? Matka twoja nazywała się Helena.

— Ale ojciec? ojciec? na miłość Boga!

— Pocekaj... pocekaj, psypomnę sobie; bądź spokojny. To nazwisko zagrzęzło jakoś w moim sercu, ale dobędę go, będziesz wiedzieć wszystko. Zapal tymczasem świecę, bo już ciemno, ocy moje nie widzą ciebie, zapal prędzej świecę.

— Może wacpan pamiętasz? — spytał Jerzy zakrystjana.

— Nic nie wiem o tém — odpowiedział zakrystjan.

Staruszka przypominała sobie zapomniane nazwisko. Jerzy do był świecę i z pośpiechem szukał lichtarza, ale go nie mógł znaleźć; nareszcie zniecierpliwiony porwał coś z szafki, rzucił z głuchym łoskotem na stół, zapalił świecę i wstawił ją w trupią główkę. Dziury od oczu, nosa, i dwa rzędy zębów były zwrócone w stronę staruszki i zakrystjana.

To niespodziane zjawisko trupięj główki z zatkniętą w nią świeczką nadzwyczajnie przestraszyło zakrystjana; zadrżał cały i krzyknął:

— Jezusie Nazareński Królu Żydowski, zmiłuj się nad nami! w imię Ojca, i Syna, i Ś. Ducha! Matko, patrzcie no w czém pan Jerzy świecę zapalił! Łaska Boża z nami!

— O Boże! do czegoż ja dożyłam! — krzyknęła przeraźliwym głosem staruszka; on djabłu dusę zapisał! — i upadła jak długa na ziemię. Jerzy i zakrystjan rzucili się do niej, pryskali zimną wodą i odcierali, ale napróżno. Ciało staruszki stygło powoli, usta długo jeszcze szeptały pobożne jakieś słowa, dogorywające spojrzenie stało kołem na rysach Jerzego, nareszcie wszystko się skończyło — zeszywniała, umarła.

— Apopleksja! krew ją zabiła — rzekł po jakimś czasie akademik.

— O, nie krew, panie Jerzy! — odparł zeicha zakrystjan — żal ją zabił!

— Jaki żal? — zawałował cierpko Jerzy — czego? kogo jęj żalować?

— Ciebie, ciebie, człowiecze! — odpowiedział zakrystjan. — Ona ciebie zawiele kochała, znosiła twoję oziębłość, niewdzięczność, nie

szemrała na twoje kamienne serce, ale nie mogła przenieść tój myśli, żeś zgubił twoję duszę na wieki!

— Czy wacpan oszalał? — wrzasnął z gniewem Jerzy — zkąd sobie wbiłeś do głowy, że ja djabłu duszę zapisał?

— Mój panie Jerzy, pobożni ludzie nie kradną kości umarłych ze cmentarza, a kiedy je znajdują w nieprzyzwoitem miejscu, to odnoszą na mogiłki, mówiąc z uszanowaniem: wieczny odpoczynek. Pocóż ty używasz trupiěj główki zamiast lichtarza?

— O zabobonność! — wołał Jerzy biegając po pokoju jak szalony — o gusła! o ciemnoto. I powiadają że nasz wiek oświecony, Kłamstwo wierutne! Gorzko pomyśleć, jak głupi dotąd naród ludzki! Kawał kości napół przepróchniałej, którójby pies nie dotknął zębami, rachują jakąś świętością; żegnają się i uciekają od tych, co nie dzielą ich grubych przesądów....

— Panie Jerzy, — przerwał spokojnie zakrystjan — może być, że pan jesteś bardzo mądry, ale wierz prostakowi, którego rzadko myślą przeczucia: źle i niegodziwie robisz, pomiatając kośćmi umarłych, jak śmieciami albo błotem.

— Co mi do twego przeczucia, stary głupcze! zawołał z gniewem Jerzy. Wasze zabobony narobiły mi więcēj złego, jak ty pojąć możesz swoim ciasnym rozumem. Oto patrzaj, ta baba ukrađa mi najważniejszą w życiu tajemnicę i uniosła ją z sobą ze świata.

— Nie będzie nad tobą błogosławieństwa Bożego, — jęknął zakrystjan, zamyślił się głęboko i spytał po chwili: — Cóż myślisz zrobić z ciałem Małgorzaty?

— Aspana to rzecz albo polieji — obojętnie odpowiedział akademik.

Zakrystjan w milczeniu zarzucił na siebie ciało Małgorzaty i wolnym krokiem wyszedł z pokoju. Kiedy ucichło na wschodach ostatnie echo jego kroków, Jerzy rzekł sam do siebie: — Dobrze, że się to już raz skończyło. Ostatni ślad mego chłopskiego wychowania zatarł się. Teraz nie mam na sobie żadnych obowiązków, jestem zupełnie swobodny, a to w życiu nie bagatela. To tylko ta tajemnica, ta przekłeta tajemnica, ale mniejsza o to. Jest głowa na karku, wola i nadzieja, reszta się znajdzie.

Na drugi dzień niktby był nie dostrzegł śladu tój sceny na twarzy Jerzego. Był spokojny, obojętny, uśmiechający się i drwinujący jak zwyczajnie.

Po jakimś czasie odwiedził go jeden z kolegów uniwersytec-

kich, chłopiec uczęszczający na fakultet filozofji; spostrzegł trupią główkę, obejrzał ją naokoło i zapytał: czy znajome mu wiersze Bajrona na czaszkę, która służyła zamiast kielicha?

— Ja nie czytam takich bredni, odpowiedział Jerzy.

— Weale nie brednie, mój kochany! odparł filolog, piękne wiersze, a nadewszystko myśl cudownie poetyczna pić wino z trupiiej główki.

— Nie rozumiem twojej poczji; ale kiedy Bajronizm tak ci się podoba, dla czegoż sobie nie każesz zrobić całego serwisu stołowego i herbatniego z trupich kości?

— To zawiele! ale daj mi tę główkę; każę sobie zrobić z niej filiżankę.

— Weź ją, weź, mój poeto! Bardzo jestem kontent, że się mogę przysłużyć twojej wienie, bo dawno już chciałem wyrzucić ten gnat na śmiecie. Niemaló on mi struł pokój.

Poeta był niezmiernie łakomy na cudze historje, nie dla tego, żeby los drugich dotykał go mocno, ale dla tego, że w podobnych opowiadaniach można często znaleźć przedmiot dla napisania kilku wierszyków albo powiastki, pochwyć w locie jaką zbląkaną myśl romantyczną albo wydatny i oryginalny charakter. Prosił więc usilnie o historję trupiiej główki.

Jerzy opowiedział mu rozmowę swoją z żydem, Janem, dzia-dem kościelnym i plebanem na Powązkach, i zakończył wszystko komiczną powiastką o stariej babie, która wieczorem zabłądziwszy do niego z sérami na sprzedaż, spostrzegła świecę palącą się w trupiiej główce i ledwie nie umarła ze strachu, wrzeszcząc jak opętana, że ten farmazon djabłu duszę zaprzedał.

Filolog z początku opowiadania swego kolegi trzymał się za boki od śmiechu, potem stopniowo stracił wesołość, czoło jego zasępilo się, pożegnał się obojętnie z Jerzym i obiecał przysłać służącego po trupią główkę. Jednakże nie przysłał.

Jeszcze jeden fanatyk! rzekł sobie Jerzy po kilku dniach; nie dziwnego! poeta. Ci panowie składają pokolenie najzapamiętaleszych głupców. Każdego innego głupca można z czasem przekonać, poeta odwołuje się wiecznie do kawalka mięsa odwilżonego krwią, do serca. Rozum u niego nie ma znaczenia; on ma swoje przecucia, instynkta, marzenia, ideały i tysiąc innych niedorzeczności. Poezja, jest to usposobienie do deklamowania i warjacji, nie więcej.

Trupia główka znów poniewierała się w stancji akademika. Czas leciał. Jerzemu zostawało już tylko kilka miesięcy do skoń-

czenia kursu. Pewną razą wszedł do niego jeden z młodych ludzi, którzy skwapliwie w owym czasie uczyli się kranoskopji Galla. Kranoskop postrzegłszy trupią główkę pod łożkiem, wziął ją do ręki, nakreślił na czaszce linje organologiczne, zmierzył kilka odległości i rzekł z widocznym zadowoleniem: Jest to głowa kobiety, bardzo czulej, bogobojnej, niezmiernie przywiązanej do dzieci...

Jerzy nie dał mu dokończyć. Żal mi ciebie, zawołał szydersko, biedny systematyku, z twoją frenologją, kranologją, kranoskopją, czy jak ją tam nazywacie. Twoje prorokowanie z martwej kości o charakterze człowieka za życia, wydaje mi się tak śmiesznem, jak gdybyś z kawałka bifszteksu sądził o sile wołu, póki wół nie znalazł się z rzeźnikiem i kucharzem. Kiedy chcesz poznać człowieka, patrz na niego własnymi oczyma, i patrz nie wtedy, kiedy on zdrow, bo w zdrowym oprócz aktorstwa, kłamstwa i fałszu, nie więcj nie dostrzeżesz, ale obserwuj i zgłębiaj wtedy, kiedy choroba zwali go na pościel, kiedy niemoc i strach śmierci odejmą mu chęć oszukiwania drugich, słowem, badaj człowieka wtedy, kiedy cierpienia fizyczne, tak jak krosty, wyrzucą na wierzeh wszystkie brudy moralne. U łoża to choroby, mój kranoskopie, trzeba śledzić ludzkie charaktery.

Kranoskop, jakkolwiek oziębiony swoim systematem, wzdrygnął się mimowolnie na tę nową i tak nietościwie rzuconą myśl doktorską. Nie chciałbym być takim medykiem! zawołał po chwili zadumania.

— Bo nie pojmujesz, jak ważnem jest dla człowieka znać tych, z któremi wędruje po ziemi. Gdybyś przeniknął wgląb' duszy jednego człowieka, gdybyś rozumnie pojął jeden tylko charakter, chociażby to był twój własny, wierz mi, że do śmierci nie przestałbyś badać ludzi wszelkimi sposobami. Oprócz rzeczywistego użytku, jest w tém jeszcze jakaś niewypowiedziana rozkosz widzieć jak na dłoni głupstwo i nizezemność osób, które drudzy otaczają szacunkiem i uwielbieniem. O! ty tego nie pojmujesz, jak wygodnie i przyjemnie mieć w każdej chwili gotowe *antidotum* przeciw miłości, przyjaźni, szacunkowi, admiracji, i w ogólności przeciw wszystkim tumanom, które mroczą nam zdrowy rozsądek, krępują swobodną wolę i sprowadzają z drogi, po której idziemy do pewnego celu.

— Słuchaj Jerzy! rzekł zdziwiony kranoskop, albo ty dziś pijany, albo zaczynasz warjować, że mi się otwarcie przyznajesz z podobnemi maxymami. Gdzie się podziiała twoja ostrożność?

Jerzy ukąsił się w dolną wargę i pomyślał sobie: Wypaplałem się niepotrzebnie! Przeklęty kranoskop! Nie pokazując na sobie żadnej zmiany, rzekł spokojnie: Aaa! więc poruszyłem nareszcie serduszko aspana. Otóż widzisz, do czegooby to doszło, gdyby kranoskopja stała się popularną. Widzisz, jak wielkie mogą być nadużycia w naukach o człowieku.

— Cóż to znowu? rzekł zdziwiony kranoskop, czyż to były żarty?

— Nie żarty, ale mała nauka dla ciebie.

— Bądź zdrow, Jerzy!

— Bądź zdrow! cha, cha, cha! Jak umrę, obejrzyj moję cząszkę; dowiesz się na pewno mogo charakteru.

— Dziwny z ciebie człowiek, mój Jerzy! Nie wiem prawdziwie jak o tobie myśleć?

— Najlepiej wcale nie myśl o mnie.

Wkrótce potem los trupięj główki znacznie się polepszył. Jerzy zaczął medyczną karierę, i powodziło mu się niezłe, miał przyzwoite mieszkanie, dość dobre meble, i jeśli w pokojach brakowało wykwintności, to brak ten wynagradzał się w części porządkiem i *hollanderską* czystością. Trupia główka stała na stoliku między puszką od tytoniu i brązowym pieskiem do przeciskania papierów.

— *Comme c'est piquant!* — rzekł raz pewien z przychodzących do Jerzego pacjentów — *une tête de mort* między cackami, *c'est à l'Egiphtienne, à la Radcliff!*

Młody doktor lubił przysłużyć się, jeśli go to nic nie kosztowało; ofiarował więc trupią główkę do gabinetu swego pacjenta.

— Nie, doktorze! odparł pacjent bardzo grzecznie — *pas si bête!* żenię się wkrótce; nie chcę stawiać w gabinecie straszdyła dla żony. Przyjmę podarunek, jak mi towarzystwo kochanej żoneczki zbyt dokuczny. *En attendant, j'admire votre idée,* więcej nie.

— Znow ta sama historja! pomyślał sobie Jerzy. Ten zabobon ma tysiąc form, i ciągle wychodzi na jaw, jak szydło z worka.

Kiedy człowiek ma mocną wolę lżejszą drogą dojść do celu, to ją zwyczajnie znajdzie. Jerzy z pierwszych kroków swego zawodu spostrzegł, że idąc zwyczajnym trybem, nie prędko zrobi sobie reputację; przyczepił się więc do najslawniejszego doktora w Warszawie; znalazł sposób być mu użytecznym; powolnością,

skromnością i udanym szacunkiem wkraść się powoli w bliższe z nim stosunki, i nareszcie dokazał tego, że podszły weteran medycyny, przewidując w nim biegłego lekarza, wszędzie woził go z sobą. Jak tylko minęło niebezpieczeństwo, doktor Proszkowski zdawał pacjenta młodemu swemu kolledze dla dokonania kuracji. Takim sposobem Jerzy dał się poznać z najlepszej strony w pierwszych domach Warszawy. Śledził charaktery podług swojej metody u łoża boleści i każdego prawie chorego przemieniał w trąbę głoszącą po całym mieście wielkie jego medyczne zdolności. Po kilku latach Jerzy otrząsnął się zupełnie z biedy; co się zaś tycze reputacji, stał na równi z p. Proszkowskim, a może i wyżej; bo o tym pomawiano często, że chociaż to człowiek zdolny, ale zbyt już stary. Poczciwy Proszkowski lubo spostrzegał niejaką zmianę w opinii publicznej, nie zastanawiał się jednak nigdy, jakaby tego mogła być przyczyna. Przyzwyczajwszy się do Jerzego, kochał go jak syna, nie podejrzewał w nim niczego złego i był niezachwianym jego protektorem. Miły ten dla starca związek nie mógł jednak trwać długo, bo każdy fałsz, każde złudzenie prędzej lub później wykrywa się na jaśnią. Jerzy nie lubił iść bitym gościńcem w swęj sztuce; głowa jego ciągle wyrabiała nowe systemata w patologji i terapii; często przedstawiał myśli swoje na sąd Proszkowskiego, ale stary doktor rzadko je aprobował. Napatrzył on się dość w swém życiu na zgubne skutki marzycielstwa medycznego, (najzgubniejszego ze wszystkich rodzajów marzeń), i dla tego ciągle powtarzał Jerzemu: Mój młody kollego! strzeż się fantazji w medycynie, bo tu chodzi o życie ludzkie; porzuć poezję i sławę, a trzymaj się doświadczenia i chrześcijańskiej miłości bliźniego. Jerzy ustępował na pozór, ale oburzał się w duszy na pedantyzm swego pryncypała; oburzał się tēm więcej, że związany okolicznościami, nie mógł ulubionych swoich pomysłów potwierdzić jaką świetną, głośną, szczęśliwą kuracją. Cierpiał do czasu; nakoniec kiedy sądził, że się już może obejść bez protekcji starego doktora, postanowił wyłamać się na wolność. Zdarzenie samo się nastąpiło. Zamożny obywatel z Lubelskiego p. Jaręba, starzec przy schyłku szóstego krzyżyka, zapadł niebezpiecznie i wezwał pomocy Proszkowskiego, który, podług zwyczaju, przyjechał z Jerzym. Opatrzyli chorego, zgodzili się w odgadnięciu choroby, ale w środkach terapeutycznych zaszła między nimi żwawa dysputa. Jerzy umyślnie podwyższał głos, unosił się i wyswabadzał się gwałtownie. Stary doktor dziwił się nagłej przemianie, choć od niejakiego czasu

powinien był się tego spodziewać. Chory wpatrywał się w rysy Jerzego, śledził każde poruszenie na jego twarzy, i chociaż zwątlony gorączką, mało pojmował doktorską dysputę, wyciągnął jednak drżące ręce do Jerzego, i tym znakiem objawił chęć oddania mu się w kurację. Proszkowski nie pokazał na sobie, ile go to ubodło, ale odtąd jeździł do swych pacjentów bez towarzysza. Późniejsze postępowanie Jerzego boleśnie rozczerowało poczciwego starca. Niejedna łza spłynęła na zwiędłe jego lice, ale nikt jój nie widział. Kiedy go pytano: dla czego opuścił swego kolegę? odpowiadał, że Jerzy nabył już dość praktyki i żadnej więcej nie potrzebuje opieki. Z ust nie wyszło nigdy żadne naganne słowo przeciw młodemu doktorowi.

Tymczasem Jerzy uczuł w sobie jakąś niepojętą sympatję dla p. Jaręby. Wprawdzie był to pierwszy pacjent, którego zaczął leczyć podług swoich własnych odkryć w sztuce, i miał dla niego ten urok, jak pierwsze wydrukowane dzieło dla autora; ale oprócz tego Jerzy czuł coś więcej. Pacjent widocznie wywierał na niego jakiś wpływ tajemniczy, czego młody doktor nigdy dotąd nie doświadczał. Starzec, przesilając ciężką chorobę, za każdą wizytą dłużej go zatrzymywał u siebie, mówił do niego jakimś dziwnie słodkim głosem i nieustannie patrzył mu w oczy. Kilka razy zapytywał Jerzego: kto byli jego rodzice? ale młody doktor miał oddawna gotową odpowiedź na podobne zapytania: mówił, że ojciec jego był pólkownikiem i poległ pod Lipskiem. Starzec zamyślał się, wzdychał; często łzy błyszczały mu w spickłych od gorączki powiekach: widać było, że jakieś bolesne wspomnienie błąkało się po pustych zakątkach jego serca. Pani Jaręba siedziała przy łóżku, dzieci nie mieli, a jednak starzec, zdawało się, ciągle szukał kogoś z istot najdroższych dla niego. Jerzy mimowolnie przyjmował udział w starcu; pragnął pomyślnie zakończyć kurację, ale pragnął osiągnąć celu podług swojej metody. Za nic w świecie nie odstąpiłby od swoich myśli, bo mu chodziło o dowód wyższości swego talentu nad Proszkowskim. Pierwsze recepty sprawiły pomyślny skutek. Jerzy tryumfował. Potem nagle choroba zwałiliła nanowo starca. Przywołano księdza. Jerzy nie zgodził się na konsilium i tylko wzmoenił dozy. Nakoniec pan Jaręba umarł. Konający jego wzrok zatrzymał się nieruchomie na Jerzym. Widać było, że starzec unosił z sobą jakąś ziemską myśl do wieczności. Jerzy ledwie nie zapłakał z żalu. Nie pojmował dla czego, ale jeszcze żaden człowiek tyle go nie obchodził, jak ten starzec. Próżno tłumaczył so-

bie ten fenomen przez drażliwość nerwów, wpływ dziecinnych pojęć o śmierci, podeszłą starość i t. d. Wspomnienie pana Jaręby długo tkwiło w jego umyśle.

Reputacja Jerzego nie na tém nie cierpiała. Czas już było staremu umierać! mówili ludzie — daj Boże każdemu doczekać takiego wieku. Sam Jerzy był tego zdania. Wypadek ten bynajmniej nie poprawił nowatora; zgłębiał niespracowanie swojej sztuki, marzył jeszcze więcej i wymyślał nowe metody. Niektóre próby udawały się w praktyce i głośno roznosiły sławę jego po Warszawie, drugie źle się kończyły, i o tych albo nie wiedzano, albo prędko zapomniano: boć ród ludzki przyzwyczajony patrzeć na śmierć i uporczywe choroby. Z liczby szczęśliwych kuracji, jedna niespodziana i prawdziwie zadziwiająca miała stanowczy wpływ na los młodego doktora. Jerzy, lecząc pewną półkownikową, widywał codziennie jej córkę, Elizę, u łoża boleści, z okiem niebieskiem, pełnym łez niewypowiedzianego żalu. Łzy córki lękającej się utracić matkę są najpiękniejsze ze wszystkich łez, które padają na naszą ziemię, wyjąwszy tylko łez matki nad swemi dziećmi. Są to perełki tak czyste, że wieniec z nich uwity nie skaziłby czoła aniołów w niebie. Jerzy, który kiedyś w chemicznej retorcie rozbierał łyżę na pierwiastki, i powiedział sobie, że to jest nic więcej jak *stonawa woda*, nie mógł się oprzeć uczuciom, wpływającym w kamienne jego serce, na widok jasnych brylantów błyszczących łez w oczach Elizy. Potoki jakiejś tajemniczój siły przenikły go naskrós i kupiły rozpięchłe iskierki czułości do jednego ogniska. Jerzy walczył wszystkimi siłami zimnego rozumu, lecz wycieńczał tylko swe siły w tej walce. Nieznajomy mu dotąd pierwiastek ludzkiej istoty wziął górę. Jerzy kochał Elizę.

Półkownikowa, opłakiwana już przez wszystkich, biegłością Jerzego jakby cudem od wrót śmierci została wróconą do życia. I znów błyszczały łyżę na oczach Elizy, wdzięczności, materjalne znamie najwyższego uwielbienia. W szczęśliwój rodzinie Jerzy był odtąd uważany za opiekuńczego anioła i stał się częstym gościem. Stary półkownik nie mógł się nachwalić jego rozumu i nauki; Eliza okazywała mu tysiąc drobnostkowych względów; jedna tylko półkownikowa, przy swój wdzięczności, przy całym szacunku dla jego talentu, czuła jakąś odrazę od młodego doktora. Są przecucia w matczyném sercu, kiedy chodzi o los dziecięcia! Zdaje się, że anioł stróż, którego ma z nas każdy, ostrzegając napróżno dziecko, co albo nie chce, albo nie może go zrozumieć, udaje się do

matki i szeptem jej zcicha myśli zbawienne. Jerzy w owym czasie dorobił się już porządnego majątku, służył doskonałym doktorem i prawdziwie kochał Elizę. Półkownikowa wszystko to pojmowała, nie miała nic do zarzucenia przeciw tej partji, kogo innego chętnieby przyjęła za swego zięcia, o Jerzym nie mogła pomyśleć bez wielkiej trwogi. Nie wyjawiała nikomu swego zdania, ale była pewna, że to musi być zły człowiek.

Odraza była tém dziwniejszą, że miłość znacznie przemieniła Jerzego. Stał się daleko tkliwszym na cierpienia ludzkie, uczynniejszym i otwartym. Znajomi cieszyli się z tak pomyslniej w nim przemiany. Służący jego, Walenty, łamał sobie często głowę nad tém, co się to z jego panem zrobiło? Bywało wprzód, kiedy przyjdzie biedna żydówka poradzić się o chorém dziecięciu, Jerzy pisze obojętnie receptę i żąda od niej dwóch złotych; żydówka zaklina się, że jest biedna, że ledwie żyje na Bożym świecie, i jeśli mu zapłaci taką kwotę, to dzieci jej przez tydzień przymrą głodu; Jerzy z zimną krwią daje receptę Walentemu, mówiąc: Dasz jej jak przyniesie dwa złote, a zwracając się do żydówki: Znam ja was łajdaczek! Wy zawsze biedne, a jednak zawsze znajdujecie pieniądze. Jeśli choć jednej poradzę darmo, będę musiał potem cały Izrael leczyć dla miłości bliźniego. Poszła precz! — Wszystko to się przemieniło. Jerzy teraz najczęściej nie brał pieniędzy od biednych i mówił im spokojnie: — Idźcie. Mam ja drugich, co mi za was zapłacą. Tak to najmniejsza iskierka czystego uczucia zatliwszy w sercu człowieka, kupi do siebie wszystkie dobre pierwiastki, zapala się coraz mocniejszym płomieniem, ogrzewa zmartwiałe łono i z czasem może go przemienić w skarbnicę cnotliwych, wysokich i chrześcijańskich przymiotów! Ale do tego potrzeba łaski Bożej, a tej nie było nad Jerzym.

Miłość przeniknęła całą jego istotę. Nadzieja i wątpliwość miały naprzemian jego duszą. Każde miłe spojrzenie, każdy uśmiech, przyjazne słówko, najpospolitsza grzeczność Elizy, czyniły go niewypowiedzianie szczęśliwym. Marzył jak młody zapaleniec o rozkosznym niebie w pożyciu ze swoją ulubioną, budował tysiąc zamków na lodzie, chciał wyznać jej swoją miłość i prosić rodziców o rękę. Przeciwnie każda chmurka na czole Elizy, najmniejsza oziębłość w obejściu, każde grzeczne słówko powiedziane komukolwiek z młodzieży, doprowadzały go do szaleństwa. Po takich wypadkach siedział nieraz noc całą pogrążony w martwém osłupieniu, patrząc na pudełko, w którym były *acidum borussicum*,

aqua tophanna, i inne gwałtowne trucizny. Ten człowiek nie rzucał się, nie krzyczał, nie targał sobie włosów na głowie, ale w duszy jego śmierć i życie toczyły rozpaczającą walkę. Stan jego był smutny, sam to pojmował. Sama sztuka wymagała rozstrzygnięcia tej ważnej kwestji, bo namiętność odejmowała mu zimną rozwagę, która jest jednym z najważniejszych przymiotów dla każdego medyka. Wszakże dla tej przyczyny żaden doktor nie leczy w niebezpiecznej chorobie ani matki, ani żony, ani dzieci, ani siebie samego.

Pewnego wieczora, Jerzy, po długim dumaniu, wyprowadził na jaśnię całe swoje położenie i postanowił nazajutrz wyznać swoje miłość przed Elizą. Trzeba to już raz skończyć, rzekł sam do siebie. W tym momencie uczuł mimowolną chęć do modlitwy, chciał podnieść głos do boga, ale nie umiał, bo nieszczęśliwy od śmierci starego Symona nigdy się nie modlił!... Skończyło się wszystko na tym, że tylko głośno zawołał: Boże! Boże! dopomóż mi!

Nazajutrz, gdy przyszedł do półkownika, Eliza nie pokazywała się w salonie. Powiedziano mu, że niezupełnie zdrowa.

— Cóż to? zapytał przestraszony.

— Nic ważnego, odpowiedział półkownik, skarży się na ból głowy.

Doktor zasmucił się. Ta słabość zniweczyła cały plan, który sobie był ułożył. Po chwili rzekł ojcu:

— Trzeba panie Elizie dać na noc wypić parę filiżanek rumianku.

— Wmawiamy jej to zawsze, rzekł ojciec, ale nic nie możemy zrobić, brzydzi się temi ziółkami.

— Więc panna Eliza często cierpi ból głowy?

— A dość często. Właśnie chciałem panu powiedzieć, że od niejakiego czasu nie obojętnie patrzę na tę chorobę.

Doktor oświadczył, że chorób głowy nie potrzeba zapuszczać. Elizę zawołano do salonu. Jerzy, wypytawszy o symptomata, wpadł w jakieś zadumanie, które zatrwożyło rodziców. Matka pierwsza przerwała milczenie:

— Na miłość Boga, dla czego pan się tak zamysliłeś?...

— O, bądź pani spokojna, zawołał Jerzy, miej ufność we mnie. To bagatela.

— Nie wiem, odrzekła matka, czy kto może mieć większe zaufanie w pańskim talencie, jak ja, którą pan z drugiego świata wróciłeś dzieciom i mężowi? Ja wierzę panu jak miłosierdziu Bos-

kiemu, i właśnie dla tego czuję jakiś przestrah, bo twarz pańska nie jest tak jak zwykle spokojna.

— Mylisz się pani. Na mojej twarzy widać tylko ślady nocy strawionej bezsennie. Nam doktorom często się to zdarza.

Siadł do stolika, napisał receptę, i cała rodzina się uspokoiła.

Jerzy zaudał rozsądku, żeby odkrywać rodzicom to, co go wprowadziło w zadumanie. Dostrzegł on, że lekceważony ból głowy był tylko początkowym symptomem choroby chronicznej, która mogła skończyć się śmiercią albo obłąkaniem, ale miał nadzieję, ufał swęj biegłości, i spodziewał się, że uratuje Elizę.

Wróciwszy do domu, przejrzał wszystkie dzieła medyczne, w których mógł coś znaleźć o tęg chorobie, a spotykając się z medykami w mieście, radził się zdolniejszych, i takim sposobem starał się przysposobić do dzieła, z którego pomyślnym skutkiem było związane szczęście jego całego życia. Kuracja szła szczęśliwie, tylko się nie kończyła; źródło obawy umniejszało się, lecz nie wysychało. Familja półkownika była uszczęśliwiona, bo nie pojmowała prawdziwego niebezpieczeństwa; Jerzy przeciwnie widział, że tylko na czas jakiś oddalał katastrofę, że utrzymywał chorobę w zawieszaniu, i był w tęg większęg rozpaczg, że swego smutku nie miał z kim podzielić.

Taki stan rzeczy byłby może potrwiał długo, lecz półkownik w owym czasie wziął dymissję i postanowił wyjechać z Warszawy. Ta wiadomość przeraziła młodego doktora. Porzucić kurację swęj ulubionęj, ażeby jaki niedoskonały lekarz (a takimi byli wszyscy w zdaniu Jerzego) zabił ją na prowincji! o tęg nie chciał nawet pomyśleć. Oświadczyć się rodzicom i prosić o rękę Elizy nie mógł się także odważyć, bo Eliza w jego oczach była trupem chodzącym, dopóki jęg nie wyleczy. Ten człowiek żądał pewności we wszystkim, postanowił więc zatrzymać całą rodzinę w Warszawie do zupełnego wyzdrowienia Elizy. Półkownik chętnie się na to zgodził. Jerzy skupił wszystkie siły swego umysłu, śledząc i badając naturę tęg nieszczęśliwęg choroby, co tak uporeczywie opierała się wszystkim środkom sztuki. Nie jedna noc spłynęła mu bezsennie w samotnym gabinecie, i bladej ranek widział tylko rozpacz w zmarszczkach młodego czoła. Pewną razą spędziwszy kilka godzin na marném dumaniu, Jerzy machinalnie wziął ze stolika swoją trupią główkę, i przypatrując się jęg bacznie, zapadł nanowo w dumania. Widać było, że umysł szedł po jakiegś świeżo wypatrzonęj drodze, bo rysy twarzy to się krzywiły boleśnie, jakby nie-

widząc żadnej nadziei, to znów wyjaśniały się, jakby napotkawszy myśl zbawienną. Nareszcie zerwał się nagle z krzesła i krzyknął z nieopisaną radością: Znalazłem środek! Czasem najmniejsza drobnostka prowadzi do wielkich odkryć. Gdyby jabłko nie było upadło na nos Newtonowi, światby może nie znał dotąd praw systemu słonecznego. Ot i ja patrząc na ten czerep, wpadłem na myśl, której tak długo szukałem. Ten gnat przecie mi się na coś przydał.

Jerzy zaczął leczyć Elizę podług nowo odkrytej myśli, lecz z pierwszego kroku skutek nie odpowiedział jego oczekiwaniom. Choroba się powiększyła. Jerzy był tak mocno przekonany o dzielności swych środków, że nie odstępował od nich ani na jotę. Choroba przybrała charakter widocznie niebezpieczny. Eliza nieustannie chwyciła się ręką za głowę, twarz jej zrobiła się purpurowa od gorączki, nerwy szyjowe drgały konwulsyjnie, jakby szarpane niewidzialną dłońią śmierci, krew rzuciła się do mózgu, leżała w pół senna, miotana gorączkowem marzeniem, w którego nieskładnych szykach między imionami matki i ojca, płatało się często imię młodego doktora. Jerzy uląkł się i pierwszy raz w życiu zebrał konsilium.

Kiedy nad łóżkiem cierpiącej wyluszczył zebrany przez siebie kolegom symptomata choroby i ostatnie środki, których użył, doktorowie jakby przejęci elektrycznym tokiem, wszyscy w jednej chwili wzdygnęli się, i każdy z nich szepnął mu z cicha: — Omyliłeś się kolego! — Jerzy istotnie się omylił. Kto kocha kobietę, nie powinien ją leczyć.

Wprzód nim się skończyła doktorska dysputa, Eliza wyzionęła ducha w najokropniejszych boleściach. Jerzy ledwie zebrał dość sił, żeby jej zamknąć powieki; potem jak martwy runął na ziemię.

O! ten człowiek był w tym momencie prawdziwie nieszczęśliwy. Utracił razem dwa skarby, które najwięcej cenił na świecie: swoją Elizę i sławę doktorską. Jedną Bóg powołał do siebie, drugą wiedział, że poszarpią i zgubią na wieki jego koledzy, między którymi nie miał ani jednego przychylnego.

Kilka dni leżał w gorączce, osłabł na ciele, rwał sobie włosy na głowie z rozpacz. Pierwszy raz kiedy się podniósł z łóżka i siadł przy stoliku, trupia główka wpadła mu w oczy. — Obmierzły gnacie! — zawołał z największą złością — twój widok podszeptał mi tę djabelską myśl. Ty jak szatan płaczesz się we wszystkie gorycze mego żywota. Przeklęta ta dusza, do której kiedyś należałeś! Ale dość już tego... — I konwulsyjnie naprężywszy rękę, z całej

siły uderzył pięścią w kruchą kość czerepu. Cały kościogłów rozsypał się w drobne kawałki, i głuche echo tego niehumanicznego czynu rozległo się po pokoju. Szalenięcy wycieńczony namiętnym wzruszeniem, rzucił się na łóżko.

W nocy po owój scenie zapamiętałości, Jerzy miał okropny sen, który właściwiej wypadaloby nazwać widzeniem, bo wtedy, kiedy się zaczęło, doktor znajdował się dopiero w tym błędnym półletargu, co poprzedza uspienie, znajdował się w stanie środkującym między snem i jawą. Czuł, że jeszcze nie śpi, lecz oczy jego były zamknięte i ciało nieposłuszne popędowi woli. Zdało mu się, że cztery postacie, aczkolwiek ludzkie, jednakże nie ziemskie, bo przez nie widział, jak przez lekki obłok, zatrzymały się u jego łóżka. Trzy z nich poznał natychmiast; była to Małgorzata, Jaręba i Eliza; czwartą młodą kobietą, z anielską twarzą, nie poznał, bo jej nigdy nie widział w życiu. Uczuł jednak w sercu słodkie jakieś wzruszenie; machinalnie chciał się zerwać z łóżka, żeby paść przed nią na kolana; chciał usta otworzyć, żeby zapytać: kto ona? i dla czego z pierwszego widoku już tak mocno ją kochał? ale ciało leżało bezwładnie na pościeli, jakby skrępowane więzami; usta nie odmykały się, jakby zamarte. Dusza jego miotła się w próżnych wysiłkach, zimny pot oblał mu czoło, cztery postacie stały nieruchomie patrząc na niego z żałością, nareszcie nieznajoma osoba podniosła dłoń do góry, i skierowawszy na niego palec, rzekła bolesnym głosem:

— Jerzy! cztery zabójstwa popełniłeś w życiu.

— Ja nikogo nie zabiłem — odpowiedział doktor głosem duszy, bo usta jego były konwulsyjnie ściśnięte. — To nie prawda.

— O! na nieszczęście, jest to prawda — zawołała nieznajoma, powolnie zwróciła się do Małgorzaty, i ukazując na nią, spytała solennie: — Czy znasz tę kobietę?

Jerzy nie śmiał odpowiedzieć.

— Zabiłeś ją swoją oziębłością, swoim kamiennym sercem — rzekła nieznajoma. To samo pytanie powtórzyła mu, pokazując Jarębę, i kiedy milczał, rzekła: Zabiłeś tego starca przez podłą zawiść i niewdzięczność dla Proszkowskiego, który był twoim dobroczyńcą. Gdybyś nie był kłamecą, gdybyś był szczerze wyznał swoją historję temu starcowi, byłbyś znalazł ojca, bo Jaręba był twoim ojcem!

Doktor się wzdrygnął przez sen.

Potem, ukazując na Elizę, nieznajoma rzekła: — Kochałeś tę dziewczę, ale kochałeś jeszcze więcej swoją doktorską reputację i

zabiłeś kochankę przez zarozumiałość. A teraz wieszli, Jerzy, kto ja jestem?

Jerzy okiem duszy wpatrywał się w miłe jej rysy, i nagle krzyknął: — Matko moja! poznaję cię z uczucia rozlanego na twój twarz; czuję w sercu, żeś ty moja matka. Przed tobą przynajmniej nie jestem winny? wszak ciebie nigdy nie znałem?...

— Nie znałeś mnie, to prawda — rzekła matka — ale dziesięć lat pastwiłeś się nad moim kościogłowem, pomiatałeś nim jak śmiećmi, jak bydłą kością, i nakoniec przekląwszy mnie w porywie zapamiętałości, świętokradzką dłonią zdruzgotałeś w proch moją czaszkę. Taki postępek w moralnym względzie równa się zabójstwu, a to już jest czwarte w twoim życiu.

Jerzy znów wzdygnął się przez sen. Dusza jego cierpiała okropną katuszę.

— Dziecię moje! — rzekł smętnie duch matki — nie dobre dziecię! upamiętaj się, ogrzej zmrożone samolubstwem serce świętym płomieniem wiary i oczyść je skruchą. Ja ci przyniosłam z drugiego świata przestrożę, ja pierwsza też ci przebaczam.

— I ja, zawołała Małgorzata.

— I ja, zawołała Eliza.

— I ja, rzekł z wolna Jaręba, i dodał: — Zatwardziałość twoja, mój synu, będzie ukarana w doczesnym życiu. Ale jako ludzie nie widzieli twojej winy, tak też oczy ich nie będą oglądały narzędzia twój kary. Ty jeden będziesz widział i cierpiał. Przyjmij doczesną pokutę z kornym poddaniem się woli tego, którego sprawiedliwość jest wielka, lecz miłosierdzie jeszcze większe.

Z ostatniem słowem tego solennego wyroku cztery postacie znikły, jak lekki obłoczek rozwiany wiatrem, a na tém miejscu, gdzie stały, Jerzy ujrzał w powietrzu trupią głowę, otoczoną nokoło ciemnym płomieniem, który wił się kędziorami, idąc od środka ku brzegom. W tym strasliwym widoku poznał natychmiast kościogłów swój matki...

— Zaczyna się kara! — krzyknął głośno doktor zdjęty śmiertelną trwogą, i obudził się ze snu. Zimny pot oblewał mu czoło, włosy stały mu na głowie z przestachu. Zaczął przecierać oczy, żeby się wyswobodzić od wpływu sennych wrażeń, a szczególnie od strasliwego widoku téj trupiej głowy w płomieniach. Nie mógł nic zrobić, wszystkie starania jego były daremne. Zdawało mu się, że jeszcze marzy we śnie; zerwał się więc z łóżka, bił się pięściami w piersi, żeby prędzej odegnać to, co mniemał być ostatkiem

snu, bił z rozpaczny głową o ścianę nie nie pomogło! kościogłów matki, otoczony kędziorami płomieni, unosił się przed nim w powietrzu, jak godło nieodstępnej męczarni! Mdlejąc od trwogi, krzyknął przeraźliwie: —Walenty! Walenty! . . . — służący przybiegł zmieszany.—Walenty!—zawołał doktor—trupia główka!... weź ją... i nie mógł nic więcej wymówić.

Służący przeżegnał się pobożnie, a wiedząc, że trupia główka stała zwyczajnie na pańskim stoliku, poszedł do niego, żeby wypełnić rozkaz. Jakież było jego zadziwienie, kiedy spostrzegł kościogłów zdruzgotany na miazgę przeżegnał się jeszcze raz z przestraczem, zebrał kawałki kości i wyszedł z pokoju.

Zaledwie je złożył w swojej stancji, usłyszał znów przenikliwy krzyk doktora i zdumiony pobiegł do niego.

— Walenty!—zawołał doktor prawie obłąkany od trwogi, rzucając się służącemu na szyję—Waluś! mój przyjacielu! mój bracie! ja ciebie zawsze kochałem, na miłość Boga, wynieś tę trupią głowę z pokoju.

— Wyniosłem ją, panie! — rzekł Walenty, coraz więcej zdumiony.

— Nie prawda! nie prawda! krzyknął Jerzy w najgwałtowniejszej rozpacz, wszak ja ją widzę przed sobą! o! ja nieszczęśliwy!...

Walenty napół żywy ledwie wysiedział resztę nocy z doktorem; nazajutrz porzucił swego pana.

Po dwóch latach męczarni przyprowadzono go do zdrowia. Zmienił się zupełnie. Wstąpił do klasztoru.

Petersburg,
Listopada, 1842 r.

CZARNE OCZY.

...wenn wir selbst das Wunderbarste, von dem wir täglich umgeben deshalb nicht mehr so nennen wollen, weil wir einer Reihe von Erscheinungen die Regel der cyklischen Wiederkehr abgelauert haben; so fährt doch oft durch jenen Kreis ein Phänomen, das all'unsere Klugheit zu Schanden macht....

HOFFMAN—*Die Elixiere.*

SPOTKANIE.

Zabawny człowiek, i mój serdeczny przyjaciel! tylko dwa razy w tygodniu: we czwartek i w niedzielę, drwi sobie ze mnie. Niech mu Pan Bóg da zdrowie i długie życie!

Stara komedja o przyjaźni.

Pierwsze kilka tygodni po przyjeździe do Warszawy nie miałem ani jednej wolnej chwili. Konieczność i rozkazy odebrane od żony na wyjeździe, zrobiły mię bardzo czynnym człowiekiem. Cały dzień biegałem za sprawunkami do magazynów i sklepów, miewałem narady z prawnikami, z bohaterską cierpliwością nudziłem się w Trybunale, i wieczorem, na dobitkę, z rzadkim w mojem życiu animuszem, kłóciłem się z pełnomocnym faktorem moim, Lejbą, który zbyt akuratnie mnie oszukiwał. Borukając się dłużej z tym żydem, byłbym się może na nim zaprawił, porzucił pantoflostwo i został mężem tęgiego charakteru; ale załatwiwszy ważniejsze interesa prędzej niż się można było spodziewać, pożegnałem faktora i zahartowanie swego serca zostawiłem pomyślniejszym okolicznościom. Tymczasem odwiedziłem kilku dawnych znajomych, i ci dobrzy ludzie jak zaczęli mi przypominać stare dzieje, tak nareszcie rzekłem sobie: — Czy uważasz, p. Wincenty, że tyle osób szczerze cieszy się z tego, żeś tak starannie zakonserwował w swojej istocie pierwiastek pantoflostwa? Jeżeli je na nieszczęście stracisz, pożegnaj się razem i z tą żywą sympatją, którą ci dziś okazują! Daj pokój! zostań już do końca takim, jakim miałeś honor być dotąd. I zostałem sobie Pantoflem.

Korzystając z pięknej jesiennej pory, poświęcałem większą

część dnia na przechadzki za miastem, gdzie wszystko przypominało mi upłynioną młodość. Myśli, uczucia, marzenia, radość i smutki tego czasu wybiegały na moje spotkanie z każdego drzewa, z każdego pagórka, z każdego kamienia, który czas rozłąki przedrżemał na miejscu. Rój pamiątek, w cudownych postaciach, jakby cienie drogich osób wywołane z mogił, otaczał mnie dokoła i słodził chwile samotnych spacerów. Smutno mi było, kiedy wieczorem trzeba było myśleć o odwrocie; a potem, jak tylko przejdę rogatkę i znów stąpię na bruk miejski, wraz mnie zły humor napada i dziwaczne myśli snują się po głowie. Takim sposobem raz pod wieczór noga za nogą wędrowałem do domu na herbatę, nie zwracając żadnej uwagi na przechodzących i nie patrząc dalej jak na koniec nosa. Umysł mój był właśnie zajęty rozstrzygnięciem ważnej kwestji: — Jakim sposobem człowiek sam z sobą rozmawia, dysputuje, kłóci się nawet wyraźnie?... — mówiłem sobie. — Wszakci dla takiej operacji trzeba koniecznie dwóch osób; trzeba, żeby jedna pytała, a druga dawała odpowiedzi, jedna coś twierdziła, a druga to coś zbijała; trzeba nareszcie, żeby te osoby były bardzo przeciwnych z sobą usposobień, kiedy się nawet po grubjańsku kłócić mogą, kiedy się tak nieraz swarzą, że gdyby się dorwały kijów, toby się wszczęła zacięta między nimi walka!... Jakimże dziwnym sposobem cały ten proces wypełnia jedna persona?... — Byłbym może rozwiązał nakoniec to psychologiczne zagadnienie, ale przed samym ratuszem ktoś mnie nagle porwał z tyłu za ręce, i nachyliwszy się do mojego ucha, krzyknął nielitościwie głośno:

— *Aha! signor Pantoflino! Pantoflinetto!* przecie mi się udało złapać waszmościa! Jakże się miewasz? mój przyjacielu! zkąd idziesz? dokąd dybiesz?

Po głosie poznałem natychmiast, że to był mój szkolny kolega Marcelli, i ochłonawszy nieco od przestrawienia, powiedziałem mu naprzód bardzo dyplomatycznie, że postępowanie tak raptowne mogło mię nabawić niebezpiecznej choroby, a potem wszystko, com wiedział o mojem wyjściu z domu i zamiarze wrócenia na herbatę.

— Aj, aj! mój najmilszy dobrodzieju, rzecze mi Marcelli z dziwnym uśmiechem. Acpan, widzę, tak stanowczo rozporządzasz swoją personą, jak gdybyś był najstarszym jej naczelnikiem.

Zabawny człowiek, pomyślałem sobie. Jużci wrócić na kwatere, napić się herbaty i usnąć, zupełnie ode mnie zależy: żona została na wsi. — Jakież to mi zagadki prawisz? — wybąknąłem nie-

śmiało i jakając się cokolwiek. A któż się ma opiekować moją osobą, kiedy nie ja sam? któż to będzie moim guwernerem?

— Ja, dobrodzieju, jeżeli pozwolisz, odpowiedział Marcelli, zdjął kapelusz i nisko się uklonił.

— No, no, dość tych żartów. W innym czasie będę ci służył, a teraz idę sobie do domu...

— He, he, he! bardzo przepraszam, mój szanowny przyjacielu! o, nieskończenie przepraszam. Teraz sobie tylko stoisz na bruku, potem pójdziesz ze mną, ot tu, do ratusza, gdzie właśnie w tej chwili odbywa się licytacja, i za tanie pieniądze może kupisz jaką drobnostkę dla żony; a po licytacji, co najdalej za godzinę się skończy, powędrujemy do mnie na kawalerski wieczorek, i tam hurtem zobaczysz wspólnych naszych znajomych, którychbys w parę tygodni pojedynczo nie odwiedził.

— A, istotnie, wcale niezła twoja propozycja. Na ten raz chętnie zrzekam się wolnej woli i oddaję się w twoje rozporządzenie.

— Widzisz, łaskawco, jak to niepewne losy człowieka w tém biednym życiu. Żeby cię twoje filozoficzne przekonanie o swobodzie woli dziesięć razy takim sposobem zawiodło, tobys może uwierzył w *fatum*.

— O, nie! tylkoby mi się zdało, że powróciłem na wieś.

LICYTACJA.

Bywają dziwne malowidła—jak spojrzysz, wyraźnie ci się zdaje, że ktoś żywego człowieka dla twojej satysfakcji powiesił na ścianie! Ale bądź w takim razie ostrożny, bo to nie płótno pomazane olejem.

Magia mystica.

Sprzedawano z młotka ostatki jakiegś ruchomości. Sala była już prawie pusta. Mała liczba pozostałych osób rozkupywała drobiazgi za bezcen, bo jeśli kto tylko pokazał chęć nabycia jakiego przedmiotu, nikt z obecnych mu nie przeszkadzał. Popatrzawszy czas niejaki, zacząłem myśleć o odwrocie, i jużem chciał się narażać w tym względzie z Marcellim, kiedy przy kratkach licytacyjnych scena się nieco ożywiła. Stał tam człowiek podeszłego wieku, poważnej postaci, ubrany w granatowej węgierce, i niecierpliwie o coś prosił urzędnika municypalnego, a ten mu odpowiedział obojętnie, że przedmioty przeznaczone na sprzedaż, spisane są na liście i wedle prawa pokolei będą publiczności przedstawione. Człowiek w węgierce kilka razy powtarzał swoją prośbę i zawsze tę samą odbierał odpowiedź. Nareszcie rzekł błagającym głosem: Łaskawy panie! sam widzisz, że oprócz mnie nikt tego zapewne nie kupi, a choćby i chciał kupić, to wszystko jedno, czy prędzej czy później rzecz będzie pokazana, mnie zaś zrobisz pan wielką przysługę, bo wcześniej będę mógł wyjechać z miasta. Konie moje parę godzin już stoją przed ratuszem, chciałbym natychmiast puścić się w drogę. Urzędnik nie dał się zmiękczyć i tym argumentem.

Ta niecierpliwość starca, który wcale nie miał miny spekulanta, żywo mię zajęła.

— Co też on chce kupić? — rzekłem do Marcellego.

— Poczekaj, ja się wraz dowiem, odpowiedział mój towarzysz, i niby bez zamiaru poszedł w tamtą stronę, odwołał jakoś urzędnika i poeichu zaczął z nim rozmawiać. Człowiek w wągiecie widocznie starał się podsłuchać o czém mówili; na twarzy jego widać było wielką niespokojność; kręcił się na miejscu w torturach ciekawości. Nareszcie namiętność wzięła górę nad innymi względami, zrobił krok na przód i nieśmiało zbliżył się do urzędnika, żeby mu przerwać, albo może podsłuchać rozmowę. . . . Wtém głośno drzwi się rozwarły i jakiś młodzieniec areydziennej powierzchowności zabawnie wpadł do sali, ledwie na środku zdjął kapelusz z głowy i stanął przy kratkach obok niecierpliwego starca. Ubrany był podług ostatniej mody, ale oczywiście nie zwracał na ubiór żadnej uwagi, bo chustkę miał szkaradnie krzywo zawiązaną na szyi, rejtfrak niby cokolwiek ciasny i jakby pożyczony, kapelusz fantastycznie pomięty, koszlawe obcasy u obówia i u dwóch pięt jedną tylko ostrogę. Spostrzegłszy oprócz tego jakieś hyperboliczne wyrażenie na twarzy, grymasy i ruchy ciała osobliwszego gatunku, powiedziałem sobie, że ten jegomość musiał jakim sposobem wyleźć żywo z którejkolwiek powieści Hoffmana, i że życie jego nie może ubiedz zwyczajną koleją. Z pierwszego rzutu oka powziąłem mimowolne podejrzenie, że albo już był igrzyskiem tajemniczych sił duchownego świata, albo niebawem znajdzie się z nimi w styczności. W zapadzie wyobraźni, coraz więcej podżeganęj jego ciekawą figurką, gotów byłem nawet posądzić go o znajomość z odwiecznym nieprzyjacielem naszej duszy. Na szczęście spostrzegłem, że się przywitał z Marcelim i zaczął poufale rozmawiać. Ta prosta okoliczność nie wiem dla czego zatrzymała nagle bystry potok domysłów, co z szumem przerzynał się przez sam środek mego biednego mózgu. Wkrótce potem i Marceli powrócił do mnie, i wprzód nim mogłem go spytać o nieznanym młodzieńcu, szepnął mi do ucha:

— Starzec chce kupić jakiś obraz, ostatnie dzieło malarza, który w tych dniach umarł u Bonifratrów.

— Cóż to za obraz? spytałem.

— Nie wiem — odpowiedział mój towarzysz — musi być w nim coś osobliwszego; zobaczymy. Aha! patrz, oto go masz przed sobą. I w tej chwili postawiono obraz na stole.

Szmer ogólny, znak żywego interesu, powitał dzieło artysty. Na płótnie, w naturalnej wielkości, widać było młodą, słiczną kobietę, siedzącą na rozkosznej ottomance. W pewnej odległości od niej stał średnich lat mężczyzna, małego wzrostu, chudy, na cienkich nóżkach i okropnej passji. Twarz jego wykrzywiona i zielona od wewnętrznej fermentacji żółci, oczy nieruchomie utkwione w twarz kobiety, ogniste, gorejące, straszne, wreszcie cała postać konwulsyjnie złamana na połowę i naprzód pochyłona, z dłońmi przyciśniętymi do skroni; wszystko to zrobiło na mnie okropne wrażenie. Dreszcz mnie przejął, jakby mi na serce padł odbłask tej rozpacz i boleści, tego szaleństwa i jadu piekielnego, które artysta zostawił na fatalnym płótnie. Musiałem chwilę odpocząć i oczy odwrócić, póki mnie nie wzięła ciekawość lepiej rozpatrzeć kobietę. Dziwna rzecz! siedziała obojętnie i z jakąś ironją patrzyła nieszczęśliwemu w oczy. Małego piesek na jej kolanach miotał się z przestachu; ona była spokojna, głaskała go ręką. To cały dramat, pomyślałem sobie, jakaś tajemnicza historia jednej chwili, ale w tej chwili może losy całego życia dwóch serc się rozstrzygnęły.

— Sto złotych! — zawołał licytator.

— Dwieście — krzyknął natychmiast człowiek w węgierce, i oczy jego błysnęły jakby łą, co się nagle zatrzymała.

— Czteryście! — podchwycił młodzieniec w rejfraku, i coraz mocniej zaczął się wpatrywać w malowidło.

— Piećset! — cierpko zawołał starzec.

— Tysiąc! — odstrzelił młody antagonistą, i fizjonomia jego przybrała szczególniejsze wyrażenie.

Łatwo było dostrzedz, że na starca nie zwracał żadnej uwagi, bo wzrok miał sztywno utkwiony na płótno artysty, ale na czole i we wszystkich rysach twarzy widać było niepokój gwałtownie wstrząśniętej duszy, i dzikie myśli latały w nieładzie, jak ptastwo nagle ze snu zbudzone. Człowiek w węgierce nieustannie podwyższał cenę, młodzieniec bez namysłu podwajał jego kwoty. Obydwa oczu nie spuszczały z obrazu. Zdawało się, że ci ludzie prowadzą grę hazardową, i postanowili sobie jeden drugiego do szczytu zrujnować. Wszyscy obecni patrzyli na nich z nieopisanym zadziwieniem.

— Dziesięć tysięcy! — jęknął starzec, zwrócił się ku swemu przeciwnikowi i ostry wzrok wlepił w niego.

— Dwadzieścia! — w ten moment podchwycił młodzieniec, zaw sze patrząc na malowidło.

Starzec zbladł, zmieszał się i z jakąś żalością odezwał się do gorącego amatora:

— Czy pan mnie tylko na przekorę dajesz tak ogromną kwotę, czy z miłości sztuki tak uporeczywie chcesz nabyć ten obraz?

Właśnie kiedy tych słów domawiał, zachodzące słońce strzeliło w okno ostatnim swoim blaskiem i złotym potokiem światła cudownie oblało tajemnicze malowidło. Młodzieniec w rejtraku szybko zwrócił się ku swemu przeciwnikowi, i porwawszy go za rękę, zawołał z nieudanym zapalem:

— O mój szanowny panie! któżby sobie nie życzył posiadać to arcydzieło sztuki? Przypatrz się tylko, mój dobrodzieju, dziwnie pięknym, czarnym oczom tój kobiety, a jestem pewny, że pojmiesz z jaką rozkoszą poświęciłbym cały majątek, żeby tylko zawsze *widzieć je przed sobą*.

Istotnie miał słusność; nigdy w życiu nie widziałem takich oczu! Nie mogłem patrzeć na nie, tak głęboko z martwego płótna spojrzenie ich przedzierało się do serca i kłóciło jego pokój. Był w nich jakiś czarodziejski urok, ale nieprzyjemnie mi było doświadczać jego potęgi. Czulem mimowolną trwożę, jak gdybym o północy siedział sam jeden w ciemnym pokoju.

Posłyszawszy odpowiedź młodzieńca, starzec stracił przytomność, załamał ręce; chciał coś powiedzieć i nagle zatrzymał się. Nieznajomy spytał go:

— Czy masz pan żonę i dzieci?

— Mam, bąknął biedny machinalnie.

— No to, wracaj do nich, szanowny panie, bo choćbyś nawet był bogatszym odemnie, zawsze przez wzgląd na obowiązki ojca i męża, jako człowiek sędziwy, rozumny, możesz mi ustąpić. Błagam pana o tę łaskę!

— O młodzieńcze! — zawołał starzec z goryczą — gdybyś wiedział, jak drogi dla mnie ten obraz, pewniebyś mi go nie wydzieła! Pomyśl, może mi go jeszcze ustąpisz?... Ale prawda, na co się to przyda? nie mam przy sobie dwudziestu tysięcy, i w domu ich nie mam w gotówce!...

Potém w największej rozpaczcy wybiegł z sali.

Młodzieniec kazał zabrać malowidło, zabawnie przy całym zgromadzeniu nasadził sobie kapelusz na głowę i powędrował do domu.

ROZMOWA.

Jegomość, skąpiec niesłychany! trzymaj rozum w kieszeni dla własnego użytku i dla extraordinarynych potrzeb?

Z Processu Kryminalnego.

— Powiedz mi też, mój kochany! spytałem Marcelego wychodząc z ratusza, kto to jest ten dziwak w rejtraku?

— At sobie, prosto oryginał, nxcentryk, odpowiedział mój kolega, to Chryzanty Dewilski.

— Czy dobrze jesteś z nim znajomy?

— A, widać podobał się waszmości? Nie dziwię się temu bynajmniej. Ze mną kiedyś zdarzyło się coś podobnego. Przychodzę raz do kawiarni na Podwału i chcę sobie wejść do osobnego pokoiku, w którym zwyczajnie siadywałem, ale kawiarka powiada, że jakiś muzyk z Norymbergi i drugi jegomość już go zajęli. Drzwi były zamknięte, słyhać było żywy gwar, stuk i brzęk jakby szklanek. Aj! cóż to oni tam robią? czy się nie pobili? zawołała Józia, i ostrożnie uchylwszy drzwi, zajrzała do pokoju, odskoczyła jednak natychmiast, zbladła z przestachu, przecięgnęła się wielkim krzyżem i zmieszonym głosem rzekła mi: Panie to czarci!... Zobacz pan tylko co oni dokazują! Patrę tedy, i jeżeli nie uwierzyłem Józii, to przynajmniej zdało mi się, że się zeszło dwóch opętanych fixatów. Na środku pokoju Dewilski i Niemiec, trzymając w rękach niedopite szklanki ponczu, wyciągnawszy szyje naprzód, zgiąwszy się w dziwny palak i skacząc naprzeciw siebie na jednej nodze, jakimś djabelskim głosem recytowali *Trinklied* z Frejschütza i takty szklankami wybijali. Później dowiedziałem się od Dewilskiego, że właśnie ten śpiew Kaspra z towarzyszeniem dwóch pi-

kulinów, nad którego pięknością się delektowali, doprowadził ich powoli do tej muzycznej furji. Wszakże owo zdarzenie tak mocno mię zajęło, że wszelkimi sposobami starałem się poznać p. Chryzanta. Teraz jesteśmy z sobą bardzo dobrze, bywamy razem w kilku domach, najczęściej go jednak spotykam u pani Szczeropolskiej.

— U pani Szczeropolskiej! ach, mój najmilszy Boże! wszakże to moja dawna znajoma i w części krewna nawet. A często on tam bywa?

— Nie wiem czy wody w Busku, skąd wezora dopiero powrócił, nie przemieniły go, ale dawniej nie pewnego w tym względzie nie można było powiedzieć. Bywał bardzo często i bardzo rzadko; czasami raz w miesiąc. Z tém wszystkiém, pani Szczeropolska zawsze chętnie widzi go u siebie.

— A nadobna córeczka jej, Rózia?

— Ach! ta biedaczka szalenie w nim zakochana.

— W tym oryginale?

— Tak, tak, mój kochany, w tym oryginale. Ależ bo młodej kobiecie trudno nie kochać takiego człowieka. Nie mówiąc już o tém, że przystojny i bogaty, p. Chryzanty posiada ogromną naukę, niepospolity dowcip, wielką przenikliwość, wielką znajomość ludzi, coś poetycznego w umyśle, w uczuciach, wyobraźnię Araba, fantastyczność Hoffmana, a przytém charakter nakształt żywego srebra ruchliwy, czyni go codzielnym nowym człowiekiem. Tajemniczość, którą lubi się otaczać, rodzi tysiące o jego życiu domysłów, a nieustanne dziwactwa i wybryki zrobiły go chodzącym, że tak rzekę, bohaterem romansu. Nie wystawisz sobie co to za interesująca persona.

— W samą rzecz chciałbym go poznać.

— Synu szczęścia! życzenie twoje jeszcze dziś się spełni. Prosiłem go na nasz wieczorek, i dał mi słowo, że będzie niezawodnie.

— O! jakże ci jestem wdzięczny, żeś tak doskonale odgadł moje życzenie. Ale powiedzże mi, czy kocha on Rózię?

— Tej tajemnicy nikt dotąd nie zbadał. Panna Rozalja nawet, o ile mogę sądzić, nie ma żadnej w tym względzie pewności, chociaż mówią, że kobiety zgadują instynktem, kto się w nich kocha. Dziwactwa tego człowieka niweczą wszelkie rachuby, wszelkie instynkta.

— Jakąż on gra rolę w salonach?

— Tysiąc rozmaitych ról! W jeden wieczór możesz go widzieć uczonym, dzieckiem, mizantropem, modnym kawalerem, filozofem, poetą, a najczęściej dziwakiem i mistykiem. W znajomych domach excentryczność jego nikogo nie razi. Ma sobie dany jakby przywilej na zupełną swobodę, i używając jej, nie tylko nikomu nie staje się przykrym, ale owszem, każdy mimowolnie jakoś mu sprzyja. Czasami przyjedzie z wizytą bardzo wcześnie, obojętnie powita gospodynię domu, siądzie sobie w kącie posepny i zamyślony i przez kilka godzin ani słowa nie wymówi, oprócz niezbędnych *tak* i *nie*; a potem zerwie się z krzesła w najlepszym humorze, w parę minut powie więcej rozumnych i dowcipnych rzeczy, jak inni przez cały dzień, zachwyci wszystkich, obudzi tyle interesu, że do białego ranka gotowiby go słuchać, porwie za kapelusz, i pękając od śmiechu, pożegna towarzystwo. Drugi raz przeciwnie, o późniejszej porze, niekiedy w szkaradną pogodę, przychodzi pieszo, wita się najmiliej, ujmuje kobiety swoją grzecnością, salonowem obejściem, siada sobie da fortepjanu, i z największym talentem odegrawszy do połowy *np.* cudowny finał pierwszego aktu *Don Juana*, przerywa nagłym śmiechem, i dziwnie grymasując, cienkim fałszywym głosem odzywa się do słuchaczy: To nie warto! W samą rzecz, do czego ta muzyka podobna! Ja mam lepszy projekt; ot, żeby to odkopać skórę nieboszczyka *Mozarta*, naciągać na bęben i piszczelami genialnego *Maestro* drabanta po niej zatarabanić, tobyście to państwo wesoło się zabawili! Ach! jaka szkoda, że londyński gabinet historii naturalnej zawczasu zakupił tę osobliwszą skórę! Potem nikomu słowa nie powiedziawszy, cichaczem wymknie się z salonu. Inną razą z wielką erudycją rozprawia o starożytnościach egypskich, a doprowadziwszy najuczciwszych do zdumienia, skrada się, jak żak, ku koszykowi z sucharkami, i ostróżnie zwędziwszy jeden, gdziekolwiek w kąciuku, trzymając zdobycz obydwiema rękami, w sekrecie go skonsunuje. Kiedyś stary kot, protegowany przez dzieci, przekradł się jakoś przez lokajskie czaty do salonu; pan Chryzanty ledwie go dostrzegł, pędem pobiegł ku niemu z kapeluszem w ręku, przywitał go z wielkiem uszanowaniem po niemiecku, kilka razy nisko się uklonił, i przez respekt u samych drzwi się usadowił. Dopiero kiedy wyproszone intruza, opuścił swoje miejsce, ciągle się jednak oglądając na wszystkie strony, czy kot przez jaką szparę nie dostrzeże tej zuchwałości.

— Aj! aj! czy tylko przypadkiem nie ma fixacji ten pan Chryzanty?

— Hm! na to pytanie dam ci odpowiedź, gdy mi dokładnie odznaczysz granicę, gdzie się kończy zdrowy rozum, a gdzie się zaczyna warjacja, albo jak wynajdziesz doskonały frenometr. t. j., instrument do doświadczenia, czy mózg utrzymuje się w stanie normalnym lub jest już nadpsuty? Bez tego instrumentu, mój bracie, nikt z nas nie byłby w stanie dowieść, że nie jest warjatem, gdyby go o to posądzano.

— Masz rację. Istotnie nie trudniejszego, jak wyrokować o mózgach ludzkich, chociaż naoslep nieustannie o nich wyrokujemy. Ale któż ten pan Chryzanty? Czy byłeś kiedy u niego na kwaterze?

— P. Chryzanty jest syn zacnych rodziców, którzy go w młodości odumarli. Ma dobra w Sandomierskiem. Wychował się w Niemczech. Wojażował po Europie i niedawno do kraju powrócił. Tu w Warszawie mieszka sobie w pierwszym hotelu u *Chovot*, ale nikogo u siebie nie przyjmuje. Wszakże pomimo tój ostrożności, z plotek zapewne służących wiadomo, że często, jak rabin, siedzi nad starymi księgami, że sam z sobą głośno rozmawia, maluje jakieś dziwne obrazy, i nocną porą takie czasami okropności wygrywa na fortepianie, że wszystkim włosy na głowie stają. Gdyby nie płacił wielkich pieniędzy, dawnoby go wyproszono z hotelu, bo już kilka osób z jego przyczyny stamtąd się wyniosło.

— Porządny sobie oryginał, nie ma co mówić! Ale jeżeli Różia go kocha, toć przecie musi się do niój zalecać? Czy widziałeś go kiedy w zalotach?

— Naprzód mylisz się mocno, mój dobrodzieju, sądząc, że kobieta tych tylko kocha, co się do niój zalecają. Bardzo często dzieje się zupełnie przeciwnie. A potem pan Chryzanty zna świat, i wie, że owo dawne nadskakiwanie niewiastom, owo cukrowane, płaskie pochlebstwo, dziś zupełnie już wyszło z mody. Kobięty same zrzuciły z siebie to upokorzenie, i dla pokazania, że zasługują, iżby się z nimi obchodzono po kawalersku, jeżdżą sobie na dzikich koniach, palą tytuń, piszą szalone romanse, najśmielsze lwice zajmują się nawet filozofją spekulacyjną i zaczynają nosić okulary.

— Jeszcze jedno pytanie, mój Marcelli! czy p. Chryzanty od dzieciństwa zawsze był takim dziwakiem?

— Nie. Powiadają, że po przyjeździe z Niemiec, odwiedziwszy dom rodzicielski i szperając w familijnych papierach, znalazł w nich pewnie jakąś ważną tajemnicę, bo właśnie od tego czasu wpadł w mistycyzm i excentryczność, do których zresztą oddawna miał usposobienie.

WIECZOREK KAWALERSKI.

Ich und Sie mein Herr Graukern, sind
ein paar Köpfe voll Licht und passen da-
rum — schlecht zusammen.

J. P. RICHTER — *Brog. Belust.*

— Mnóstwo młodzieży zebrało się u Marcelego. Zwyczajnym trybem takich wieczorków był w sali wielki ruch, gwar i dym od tytoniu; była gra, herbata i kolacja z winem. Klócili się przy kartach, klócili się w dysputach o ekonomji politycznej, o stanie Europy, o nowych parowozach i t. d.; rozprawiali najgoręcej o literaturze bieżącej i najciemniej o filozofji niemieckiej, zachowując we wszystkiem więcej lub mniej grzeczności. Co się mnie tyczy, odbywszy wszystkie ceremonje, zachowywane przy spotkaniu się dawnych znajomych, odpowiedziawszy na liczne zapytania i sam ich zrobiwszy niemało, siadłem sobie przy oknie, opatrując całe towarzystwo w milezeniu. Z obserwacji mojej zrobiłem następujące wnioski:

Żadna rozmowa młodzieży nie obejdzie się u nas bez żywej dysputy, *alias* bez kłutni, co pokazuje, że młodzież nasza jest charakteru gorącego; a ponieważ młodzieńcy południowych prowincji uporczywiej jeszcze od innych się sprzeczzają, *ergo* widać, że szerokość geograficzna ma wpływ na nasze usposobienie.

Najradsze kłótnie i najgrzeczniejsze dysputy bywają w przedmiotach nauk ścisłych, przyrodzonych, nawet historycznych, słowem, w tych gałęziach wiadomości, w których potrzebna praca, w których bez gruntownego znanja rzeczy rzadko kogo porwie ochota sprzeczzania się. Stąd wniosłem, że młode pokolenie nie ma zamilowania w pracy i gruntowném poświęceniu.

Przeciwnie najzaciętsze kłótnie zdarzają się w przedmiotach literatury i krytyki, co pokazuje, że dziś każdy dybie na Parnas w nadziei laurów i pieczonych gołąbków od szanownej publiczności.

Nareszcie, ponieważ najniezrozumialsze i najniedorzeczniejsze zdania, jakie w życiu słyszałem, odnosiły się zawsze na karb filozofji, przeto sądziłbym, że już z natury nie mamy powołania do tój mądrości, i że lepićby nam, za przykładem przodków, powszednie potrzeby opędzać zdrowym szlacheckim rozumem, a w rzeczach większej wagi nieciekać się do katechizmu.

Po tych uwagach pewnie z nudów byłbym sobie spokojnie zasnął, lecz wtém drzwi się otworzyły, i, ku nieopisanój mojej radości, wszedł długo oczekiwany p. Chryzanty.

— Aaa!... — rozległ się ze wszystkich stron wykrzyknik gawroni, do którego, przy najlepszym nawet ukształceniu, mamy jakieś szczególne przywiązanie; potém już słyhać było: Witamy! przecie! nareszcie! i t. d. Chryzanty zatrzymał się przy drzwiach, położył palec na usta, i przybrawszy minę niezmiernie cierpiącego człowieka, w pół-głosu zawołał:

— Cyt! błagam panów, miejcie litość nademną, nie róbcie hałasu, bo dziś właśnie księżyc jest w pełni i nerwy moje znajdują się w stanie nadzwyczajnej drażliwości.

Gospodarz przywitał go uprzejmie, inni to samo, i kiedy wrzawa nieco ucichła, Marcełi spytał z troskliwością: Cóż to? p. Chryzanty! czy istotnie niezupelnie czujesz się zdrowym?

— Ach! tak, mój dobrodzieju! odpowiedział Dewilski, księżyc oddawna jest zaklętym moim nieprzyjacielem. Ciągłe w moje okna zagłada, dopatrując co robię, ciska mi prosto w oczy swoje fatalne światło, trzyma mnie w nieustannój trwodze i w nocy spać przeszkadza. Kazałem już podwójne okiennice sporządzić i story z angielskiej ceraty zawiesić, a przecie wszystko to nie nie pomogło! Zawsze ta niegodziwa gwiazda ściga mnie swemi ognistemi bieżami i mózg mi do szczętu psuje. Doszedłem do takich cierpień, że teraz prawdziwie nie wiem co począć.

— Trzebaby się poradzić doktorów, dla czego miesiąc ma tak mocny wpływ na pańskie nerwy?

— Doktorów? mówisz pan; co oni wiedzą? Ja jeden tylko wiem doskonale przyczynę tój antypatji księżycy do mojej osoby.

— To zapewne sekret? nie śmiem prosić...

— O! nie! bynajmniej. Chętnie panu to *maleficium* nocnego

podglądacza odkryję. Nie zważaj pan na to, że on się tak błyszczy. To kradzione światło, a nie jego własne. Przeciwnie, wszystkim wiadomo, że on zupełnie ciemny i jak fałsz pozornie się tylko świeci. Na nim też właśnie jest siedlisko fałszu; w jego głębi szaleją pożerające ognie, tysiąc razy gorsze od naszych wulkanów, i niemasz kropelki wody, ani różeczki zielonej, ani piędzi cienia, gdzieby głowę można skłonić i na chwilkę użyć błęgiego chłodu! Słowem, na księżycu jest *tartarus*, jest *dzechenem*, jest *piekło*, i moc szatańska dopóty mnie będzie prześladować, dopóki się nie ożenię....

— No, jeżeli tylko o tę bagatelę chodzi, to żeń się pan prędzej. Sądzę, że nietrudnoby mu było znaleźć stosowną dla siebie partję.

— Ha! jak to dla panów wszystko bagatela! Odtąd jak zmierzyliscie słońce, jak za pomocą pary wyścignęliście ptaki w locie i jak dla przedszego oświecenia się wybudowaliście sobie nową wieżę babilońską, wszystko już wam się zdaje łatwem.

— Mój dobrodzieju! jużei wybrać sobie żonę, nie trudna rzecz.

— Ba! właśnie że jedna z najtrudniejszych! *Znaleźć, wybrać, wyszukać*, wszystko to są bardzo piękne wyrazy, ale to ludzkie, ziemskie, nędzne wysiłki, to krzątanie się w ciemnościach! Świeczka żydowska jaśniej się pali w latarce, jak rozumek największego filozofa w jego znakomitęj czasce. Za półtora szeląga sprzedam cały mój rozum, i jeszcze do nóg się poklonię temu, kto się na niego złakomi.

— Ale któż panu radzi rozumem szukać żony? Szukaj pan sercem.

— O! to zupełnie inna znów kwestja. Serce wielkim ogniem gore, i, jak pożar Etny, wielką jasność wkoło siebie rozlewa. Każdy spekulant, co się ostróżnie do niego podkradnie, obaczy wszystko, czego mu potrzeba, najmniejsze ździebelko wydobędzie z ukrycia. Ale samo serce jest biedniejsze od Cyklopa, bo ten przynajmniej jedno miał oko, a ono, mój panie, ślepe, zupełnie ślepe, aż litość bierze! Nie; dobrodzieju! Słusznie chłopci powiadają, że dwie rzeczy na świecie najłatwiej znaleźć, ale ich szukać nie należy, bo same w swoim czasie się znajdują. Te dwie rzeczy, to *śmierć* i *żona*.

— A pfe! Cóż to za porównanie.

— Przepraszam, pochwycił jeden z gości, to zbliżenie bardzo

mi się podoba. Zastanów się tylko, Marceli, a zgodzisz się, że gmin nasz jest wielkim filozefem, wielkim poetą! Śmierć od Boga i żona od Boga, jaka głęboka prawda! Im więcej myślę nad tém zdaniem, tém szczerzej go dzielam, tém mocniej go podziwiam.

— O! i ja, rzecze Marceli, najchętniej słuszość panom przyznaje, wszakże chciałbym, żebyście przynajmniej rozum z sercem będący w zgodzie więcej szanowali.

— Fatalna rzecz! fatalna rzecz! dziwnym głosem wyśpiewał p. Chryzanty, że właśnie téj błogiej zgody biedny człowiek nie może się żadną miarą doczekać. Powiadają, że kiedyś za dalekimi morzami urodziło się dwoje bliźniąt Syameczyków, ale tak hermetycznie z sobą zrosniętych, że formowały jedno ciało, jedno monstrum z dwiema głowami i czterema nogami i rękami. Połączenie ich fizyczne było tak doskonałe, że kiedy jednego pociągniesz za ucho, to obaj bracia jednakowy ból czują i jednakowo krzyczą, albo kiedy jeden zażyje tabaki, to dwa nosy kichają. Zdawałoby się, że i w moralnym względzie powinno było powtarzać się to samo, bo komuż należało żyć zgodniej z sobą, jak tym dwóm ichmościom, co za nie nie mogli się rozdzielić? a jednak co pan sądzisz? stało się zupełnie inaczej! Jak tylko sił nabrali, zaczęli się natychmiast kląć, bić się pięściami po bokach, wyrwać sobie włosy z czupryn, słowem, dręczyć siebie najokropniejszym sposobem. Oczywiście warjacja. Mój dobrodzieju! bo każdy wdwójnasób cierpiał: bolały go jednakowo uderzenia, które odbierał od brata, i te, które mu dawał. A wszakże to jest fakt. Jeżeli nie było takich Syameczyków zrosniętych w jedną personę, to każdy z nas jest tego rodzaju *dwojakim*, i rozum z sercem tak się ciągle swarzą, jak owi bracia bliźnięta. Ot, niedaleko szukając, naprzykład ja: kupiłem sobie dziś konterfekt kobiety z dziwnie pięknymi czarnymi oczyma, i jestem zupełnie szczęśliwy. Radość z tego nabycia tak gwałtownie mię zajmuje, że jak sami państwo widzicie, zrobiłem się wielkim gadułą, czego nigdy nie bywało. Taki fenomen zwyczajnie bywa znakiem zupełnego zadowolenia, a ja zaciętą sam w sobie staczam walkę, serce mi szeptee, żeby się ożenić z cudownym konterfektem, a rozum z ironją odzywa się z drugiej strony: Chi, chi, chi! Jaki téż to acpan glu—u—u—u—u—pi!

— A zacz nie prościć byłoby się ożenić z żywą niewiastą?

— Tak, istotnie, w saméj rzeczy, wybaknął p. Chryzanty, kto może. Twarz jego zbladła jak chusta, zatrzymał się, spojrzął na nas badawczém okiem, i ochłonawszy nieco, dodał z wymuszonym

uśmiechem: Państwo nie wierzycie w moje strachy księżycowe, więc uważajcie to, com powiedział, za chwilową fantazję! Doprawdy jest to nic więcej, jak fantazja, ani na jeden włoszek więcej! Zabawna rzecz, skąd mi dziś przyszła manja wywnętrzenia się, i plotę rozumnym ludziom wszystko, co mi do głowy przychodzi. Po nabyciu tego obrazu język mię przestał słuchać. Tak więc kiedy zacząłem, to już i dalej pójdę. Żebyście nie myśleli, że tylko ja jeden miewam fantazje, opowiem wam, przepraszam — przeczytam zaczęta powiastkę o pewnym młodzieńcu, co w Niemczech chodził ze mną razem do uniwersytetu. Żeby nie zdradzać cudzych sekretów, nazwę go *np.* Izydorem.

Przysunęliśmy się z krzesłami bliżej, i p. Chryzanty zaczął w te słowa.

POWIASTKA O P. IZYDORZE.

Eigentlich... eigentlich werden sie nur lachen... freilich auf etwas wunderliche Weise; wer kann aber dafür, dass schwach nervige Personen darüber erschrecken? Adieu.

HOFFMANN.

Za granicą żyliśmy z Izydorem w ścisłej przyjaźni. Wyborny to był chłopiec, tylko miał sobie malutką skłonność do warjacji, która zresztą uważa się w naszym romantycznym wieku za cechę prawdziwego rozumu. Nie uśmiechajcie się tak ironicznie, moi najmilsi panowie! Nie masz nic złego, kiedy kto bez krzywdy drugich, odrobinę sobie warjuje, ot choćby dla własnej satysfakcji! Ludzie tyle lat upędzali się napróżno za mądrością, że dziś już filozofowie osądzili za rzecz najprzyzwoitszą puścić samopas machinę ludzkiej inteligencji, i rozdziawiwszy gęby, przysłuchiwać się tylko z boku, jak w niej warczą kółka i cewki. Dla śmiałych ludzi bawić się takim sposobem nic nie znaczy; ale ja, co jestem tchórzliwszej natury, lękam się pomyśleć, jakie ztąd mogą nastąpić skutki. Wszakci ostróżny mechanik nieustannie z wyciągniętym nosem chodzi koło parowego kotła. A cóż jest para w porównaniu z elektrycznym żywiołem myśli ludzkiej? Wszakci to mniej jak kropla wody w porównaniu z piorunem.“

Za pozwoleniem, czy nie obrażam kogo z panów? Może kto się zajmuje niemiecką filozofją?

Koledzy śmiejąc się pokazali na młodzieńca zabawnie poważnej postaci, który miał oczęta uzbrojone ciemno-fioletowymi szklami, pewnie dla tego tylko, żeby mu się świat Boży nie wydawał białym, tak, jak innym ludziom. Pan Chryzanty spojrział na niego z wielką uwagą i zawołał jakimś piskliwym głosem, jakby wyciągniętym z fałszywej piszczałki:

— Przepraszam najmocniéj! Chciałbym poprosić pana o szczypteczkę tabaki.

Młodzieniec podał mu ogromną tabakierę, a Dewilski mówił dalej:

„Owo, mój przyjaciel opuścił uniwersytet rokiem wcześniéj odemnie, i osiadł na wsi o parę mil od mego majątku w Sandomierskiem. Powróciwszy do kraju, posłyszałem o nim najdziwaczniejszą wieści. Mówiono, że niby kwalifikuje się do Bonifratrów! Gdzie tam! pomyślałem sobie zaraz to być nie może, żeby rzeczy tak daleko zaszyły. Mój Izydor pewnie ma sobie tylko *ćwieka we łbie* — i pojechałem do niego, żeby nieborakowi ten ćwiek po przyjacielisku wyciągnąć ze łba. Pomówiwszy z nim, zmiarkowałem, że przyczyną całego kwereśu był początek własnej jego biografji, szczególny o pierwszych latach jego życia, których Izydorek po powrocie z uniwersytetu przypadkiem się dowiedział.“

— O tych szczegółach właśnie zacząłem pisać powiastkę, i chętniebym ją poddał pod sąd tak doskonałych znawców, jak panowie, ale lękam się, żebyście obcesem nie skrytykowali mego pierwotnego utworu.

— Nie będziemy go ostro sądzili, bądź pan spokojny — odezwało się kilku.

— Ach! nie o surowość krytyki mi chodzi — odrzekł p. Chryzanty — owszem chciałbym szczerze i zdrowe ich zdanie słyszeć, ale nie wiem czy wiele zyszczę; bo ile mogę lichym moim rozumkiem skonkludować, żeby sądzić o dziele, trzeba je doczytać do końca, a moja powiastka nie ma jeszcze końca! ach, nie ma! nie ma końca.

— To prosimy przynajmniéj o początek.

P. Chryzanty milczał czas jakiś, jakby passując się z sobą, czy dotrzymać przyrzeczenia, czy jakimkolwiek młynkiem humorystycznym wywinąć się od téj powieści. Nareszcie odsunawszy się nagle z krzesłem w stronę, tak, iżby mu nikt nie patrzył w oczy, z największą flegmą wy dobył jakiś szpargał z pugilaresu, i poważnym tonem, unikając wszelkiego sarkazmu, zaczął czytać:

„Matka Izydora była niewiasta przykładnej bogobojności, ale urodziwszy się na Ukrainie i całą młodość tam przepędziwszy, mocno w niektóre gusła i czary wierzyła. Jużci to prawda, że z dopustu Bożego siła nieczysta może ludzi nieraz nagabać, wszakże pobożny człowiek nigdy jęj się strachać nie powinien, bo w modlitwie ma skuteczny oręż, którym ją zawsze potrafi odpędzić z infamją. I to tęż pewna, że wyszedłszy zamąż za półkownika Z., i mieszkając w Sandomierskiem, gdzie naród mniej zabobonny jak w stepach, owa pani musiałaby z czasem zdrowszego nabrać pojęcia; wiele jednakże okoliczności stało jęj na zawadzie. Półkownikowa była zdrowia niezmiernie delikatnego, kibić miała wątłą i wiotką, piersi wązkie, nerwy nadzwyczaj drażliwe, a przeto każda drobnostka mocno ją dotykała i wszystko strach w nięj wzbudzało, który jak wiadomo, jest u kobiet wiernym zawsze towarzyszem mistycznych i zabobonnych wyobrażeń. A co gorsza nad to wszystko, przywiozła z sobą z Humanśczyzny starą swoją mamkę Makrynę, która od dzieciństwa dziwny wpływ wywierala na jęj umysł. Makryna od pierwszego momentu zarobiła sobie między ludźmi dworskimi na opinię strasznęj sekutnicy, a potęm coraz więcej gadek zaczęto o nięj opowiadać, i z nich widać było oczywiście, że miała z czartem pewną kolligację. Czeladź najsolennie zaręczała, że to doświadczona czarownica. Jedni ją widzieli, jak rano we czwartek, przy wschodzie dnia białego, szła sobie nawspak po krzyżowęj drodze i makiem sypała za siebie; inni śmielsi dowodzili, że w nocy przed nowiem podpatrzono ją, jak sobie siadała na ogromnego czarnego koguta, i uderzywszy go kociubą po bokach, w mgnieniu oka w chmurach znikła. Nie podpadało więc żadnej wątpliwości, że odwiedzała znajomych na łysęj górze. Półkownik lubo nie wierzył w żadne gusła, przykro mu jednak było mieć w domu babę tak podejrzanej reputacji, a wiedział tęż, że Makryna, korzystając z affektu, który jęj pani okazywała, ciągle jęj głowę maciła swemi czarami. Nieraz już zbierał się ohydny sekutnicę ze dworu wyrugować, ale przez wzgląd na żonę, zawsze odkładał na później egzekucję tego postanowienia. Nareszcie w następującym wypadku cierpliwość starego wojaka wyczerpała się do szczytu.

Kiedy Bóg dał półkownikowi pierwszego syna, właśnie tego Izydora, o którym mówię, szczęśliwy ojciec błogosławił go ze łzami, i tak sute wyprawił chrzciny, że roezna intrata dziedzicznęj wioski poszła na jedno *vinum hungaricum*. Sam biskup zjechał

z Sandomierza na chrzest nowonarodzonego. Owo trafunkiem w dzień chrztu księżyc był na młodziku. O północy, kiedy goście najweselsiej się bawili, kiedy rześcisto krążyły kielichy i dwór trząsał się od hucznej kapeli, pólkownik spostrzegł, jak kudłata głowa Makryny pokazała się w drzwiach komnaty i natychmiast znikła, a żona jego niebawem wyszła, jakby ją umyślnie wywołano. Nie obudziło to w nim żadnego podejrzenia, bo Makryna była generalną szafarką w domu i w każdym razie odbierała od pani mnóstwo poleceń, osobiście zaś w dni galowe. Wkrótce też potem i żona wróciła do towarzystwa, ale tak zmieniona na twarzy, tak przestraszona i nieprzytomna, że lubo starała się nie pokazać tego na sobie, wszyscy jednak wyraźnie jakąś tajemniczą alterację w jej fizjognomji czytali. Kobiety bliżej znajome jęły ją w sekrecie wypytywać i molestować. Nieboraczka wymawiała się jak mogła, coraz mocniej wpadając w roztargnienie, aż nareszcie nie będąc panią swych uczuć, z wielkim żalem zapłakała i pod pretekstem słabości nerwowej wyszła do swojej sypialni. Pólkownik pierwszy raz w życiu widząc w swjej żonie takie uchybienie starodawniej gościnności naszego narodu, niezmiernie był tém zmartwiony. Cała zabawa oziębła, goście wcześniej udali się na spoczynek, a na drugi dzień większa część się rozjechała. Ledwie ucichło w domu, stary wojak z miną lodowatą, kręcąc wasy to z jednej to z drugiej strony, zaczął indagować żonę, która z serdecznym żalem wyznała mu przyczynę swojej trwogi. W kilka dni po urodzeniu Izydora, dręczona macierzyńską ciekawością: jaki też los w życiu czeka to pachole? przyzwalała wierną Makrynę i wróżyć jej kazała. Czarownica podskoczyła z radości, bo i jej to już do głowy przychodziło, tylko pólkownikowa strasznie się obawiała, jakby domyślając się, że jej tych guseł płazem nie puści. Tylko usilne prośby cierpiącej matki skłoniły ją do tego hazardownego kroku. Przyrzekła wróżyć z jakichś tam ziół leśnych, ale że je trzeba było rwać w nocy przed młodzikiem, gotować o świcie i w następną dopiero północ do czarodziejskiej użyć operacji, więc całą tę sprawę na dwa tygodnie odłożyła, właśnie jak raz do chrztu Izydora. W naznaczoną godzinę wszystko przygotowawszy, wywabiła panią z gościnnej komnaty, i lejąc, przelewając na powietrzu jakieś djabelskie *elixiry* z jednego kozłego rogu w drugi, a patrząc przez dziurkę w sówiej czasce zrobioną na zakłętę zwierciadło, całą przyszłość małego Izydora pani swojej wygadała. Z początku nie było nic szczególnego

w jej słowach. Widzę, mówiła, jak panicz rośnie, robi się z niego piękny, udatny młodzieniec, do głowy sobie garnie kupę mądrości, dziewczęta do niego wzdychają, i t. d., jak zwyczajnie bywa przy każdym wrózeniu; ale potem nagle wrzasnęła okropnym głosem:— Dziwy, dziwy, okropności! panicz żeni się z umarłą kobietą! ot, już im ksiądz ślub daje!...

Półkownikowa słaba jeszcze po położu, nerwowa, lekkowiernego umysłu niewiasta, a do tego matka pierwородnego dziecięcia, krzyknęła tylko:— Jezus, Marja! i jak martwa upadła na podłogę. Makryna z fraucymerem doprowadziła ją do przytomności, ale nic nie mogło zatrzeć wrażenia przestachu, któremu uległa; wróżba głęboko zapadła w macierzyńskie serce; harpja założyła sobie w niem siedlisko i pożarła wątłą egzystencję biednej kobiety.

— Cóż panowie myślicie o tej wróżbie? Mocnobym pragnął wiedzieć ich zdanie.

Wszystcyśmy się z jakimś przymusem uśmiechnęli. Jakieś nieprzyjemne wrażenie na nas zostało. Nie mieliśmy ochoty ani rozmawiać, ani szydzić. Pan Chryzanty badawczym obserwował nas wzrokiem; oczy jego dziwnym błyszcząły ogniem, szybko biegając po twarzach słuchaczy; nareszcie uśmiechnął się z nieopisaną ironją i rzekł:

— Istotnie, jest to nie więcej jak guślarstwo, oczywiście szaleństwo, niegodne dzisiejszej cywilizacji. Teraz pantofel filozofa tyle ma rozumu, że bez straty reputacji może kilka łutów mądrości oddać w arędę. Ja sam pożywiam się takim sposobem arędowanemi rozumkami, i dobrze mi się dzieje. Jestem zupełnie szczęśliwy. Tylko memu biednemu Izydorowi nikt nie chce oddać cząstki swego mózgu w dzierzawę, bo go ktoś ogadał, że w uniwersytecie był zbyt wybrydnym gastronomem rozumów. O! szkoda mojego Izydora! Nie ma sposobu odprowadzić go od warjacji.

— Czyż on wierzy w tę wróżbę Makryny? — spytał Marcelli z oburzeniem.

— A jakże nie ma wierzyć, kiedy matka jego tak mocno w nią wierzyła, że jak miałem panom honor powiedzieć, umarła w tém przekonaniu, iż wróżba się spełni?

— Rozsądna kobieta miałaby być tak zabobonna?...

— Nie była w uniwersytecie, mój panie, a przytém matki mają czasami najwięcej, a czasami najmniej rozumu ze wszystkich lu-

dzi na kuli ziemskiej. Matka ze średnim rozumem, t. j. z takim, co to na funty się waży, jest rzadsza od sfinksów.

— Ale p. Chryzanty! podchwycił jeden z gości, powieść pańska ledwie się zaczęła. Słuchajmy dalej.

— A, prawda, jeszcze się panom coś odemnie należy — odpowiedział z westchnieniem fantastyk, i znów prostując się na krzesło i przybierając ton poważny, tak czytał dalej:

Owo, kiedy takim sposobem wyszły na jaw excessa bezbożnej czarownicy, stary sodalis niesłychanym gniewem się rozpałił. Nigdy jeszcze takim sierzdistym go nie widziano. Zapomniał nawet affektu dla żony, pobiegł co tchu do officyny, i znalazłszy tam drżącą już od strachu Makrynę, kazał jej naprzód sto bizunów odliczyć, a potem, przez wzgląd na żonę, sto złotych wsparcia jej odrachował i pacholkom za wrota wyrzucić polecił. Słudzy przez wielką życzliwość, jaką dla niej mieli, psami ją jeszcze na drogę poszczuli; a żeby przez jakie szatańskie sztuki w postaci kota lub nietoperza do domu wkradać się nie śmiała, na bramie, na drzwiach i kominach, święconą krędą wielkie krzyże ponakreślali.

Półkownikowa długo jej żałowała. Cały rok prosiła męża, żeby ją kazał odszukać, ale zawsze daremnie. Stary sodalis ślubował sobie na święte imię Matki Boskiej ani na jotę nie folgować żądaniu niewiasty, które wedle zdania x. biskupa, za grzech i podszept szatański uważał. Biedna matka zaprzestała próżnych molestacji, ale Makryny zapomnieć nie mogła, bo każdej nocy, kiedy księżyc był na młodziku, czarownica pokazywała jej się we śnie i upewniała, że wróżba z elixirów uczyniona kiedyś sprawdzi się na Izydorze. Jakas nieokreślona tęsknota gniotła do ziemi nieszczęśliwą niewiastę; zdrowie jej i bez tego wątłe, coraz bardziej się rujnowało; nerwowe cierpienia trapiły ją coraz częściej; nareszcie wpadła w trwożliwą nieprzerwaną niespokojność, w której na rozkolysanych falach jej wyobraźni dwie tylko myśli po wierzchu się unosiły: myśl o synie i myśl o śnierci. Półkownik srodze stroskany przywoływał doktorów i księży, ale niewiele pomódz jej mogli. X. biskup parę razy osobiście zjeżdżał i z wielką dobrocią pracował nad wypędzeniem jej tych urojeń z głowy. Słuchała go z wielką attencją, póki prawił kazanie, a na drugi dzień, choć sobie nanowo zaczynał, x. biskupie! — wszystkiego do szeptu zapomniała! Bywała wraca spokojna z kościoła, ale jak tylko syna obaczy, natychmiast widać w niej odmianę. Jak tylko księżyc stanie na mło-

dziku, a ścienny zegar północ wybije, widzi przed sobą Makrynę, i słyszy, jak jej szepee do ucha, żeby księżom i doktorom nie wierzyła, bo wróżba musi się spełnić koniecznie.

Ludzie domowi szczerze swojej pani żałując, często do późnej nocy rozprawiali o tych frasobliwych historjach, łamiąc głowy nad tém: jakby czary z domostwa wyprowadzić? Używali różnych wiadomych sposobów, lecz zawsze napróżno. Pewnego razu ktoś z nich podał projekt, żeby się poradzić młynarzewój, największój w całej wsi sekutnicy, rachując zapewne na to, że klin klinem najlepiej się wybija. Zaproсили tedy tę babę na małdrzyki, i dobrze uczęstowawszy, pytali: coby im czynić należało?

— Juźci wiadomo każdemu — rzekła ona białogłowa — że do czego tylko czarownica się dotknie, wszystko to może ludziom pokój klócić. Przetrząsnijta jeno wszystkie kąty w domu, musiały to zostać po tej djablicy jakie rupiecie, a w nich i kawałek sprzedanej czartowi duszy.

Domowi z wielkiem zadziwieniem spojrzeli sobie w oczy, poskrobali się w głowę i w jeden głos zawołali:

— A dyć to, kumo, szczerza prawda, żeśmy ostatków jój rupieci jeszcze nie szukali. Może w samój rzeczy co po niej zostało.

Nazajutrz o świcie, póki państwo jeszcze spali, poczeiwa czeladź rozbiegła się po całym dworze i żwawo zaczęli wszędzie płądować. Pokazało się, że domysł młynarzewój weale nie był płonny, bo na strychu znaleziono rańtuch Makryny, a z kalkulacji najwyrozumialszych łysin przekonano się, że leżał jak raz nad samém łóżkiem półkownikowój. Owo, takim sposobem odkryła się przyczyna złych snów, niespokojności i czareich nagabań tej pani. Zaraz tedy ów szkaradny rańtuch na długie wziąwszy kije, ostrożnie na zbiegowisko dwóch rowów wynieśli i tam na wielkim stosie wraz z kijami spalili. Naturalnie, że półkownikowa tego samego dnia o wszystkiem się dowiedziała, i dziwna rzecz! nigdy już odtąd nie widywała we śnie Makryny. Dobra czeladka płakała z radości, ale lzy te wkrótce zgorzkniały, pociekły strumieniem, stały się znakiem głębokiej żalości. Nieszczęśliwa, coraz bystrzój, coraz widoczniej dogorywała, i obłóźnie cały rok przeleżawszy, z wielką świętobliwością Bogu ducha oddała. Ostatnie jój chwile były spokojne, prawdziwie chrześcijańskie. Pocięszała męża, co wielkim głosem szlochał u śmiertelnego łoża, błogosławiła małoletniego syna,

żegnała się z całym domem, i na wszystkich solenną wymogła obietnicę, że Izydorowi nigdy słowa nie powiedzą o tajemniczej wróżbie. Stroskany starzec wkrótce złączył się w lepszym świecie z drogą swoją małżonką. Izydor został sierotą, i po dwudziestu latach przypadek zniweczył ostatnią przezorność troskliwej matki: dowiedział się o wszystkiém! Teraz nieszczęśliwy ma sobie ćwieka we łbie!

— Proszę panów, wiele też podług filozofji rachuje się mil od tego punktu do domu Bonifratrów?

— Wypadnie frakcja! wystrzelił młodzieniec w ciemnofioletowych konserwach.

— Tak, tak, masz pan zupełną słusność, — z pokorną miną precedził przez zęby p. Chryzanty, i grymasując dziwacznie, mówił dalej piskliwym głosem: — Proszę panów, ile to mądrości zawiera się w tych liczbach! To nie do uwierzenia! Widziałem rabina-kabalistę, co miał obie kieszenie w łapserdaku okropnie wypchane tym towarem. Ponieważ گیا się biedny pod brzemieniem, prosiłem więc tego *syna zatracenia*, żeby mi cząstkę swojej uczoności sprzedał, i tą cząstką chętnie się z panami podzielię. Naprzykład frakcja czyli ułamek, to cała studnia mądrości! Bo uważajcie tylko jak dziwnie formuje się frakcja: Bierze sobie ktoś jednostkę, i podkreśliwszy, stawia pod tą kreską, jakby pod ławą, drugą jakąkolwiek liczbę. Myślałby kto, że z jednostki przez to zrobi się więcej, bynajmniej! Owszem, im większą cyfrę widać na dole, tém ona, jak na złość, staje się mniejszą! Niechże mi kto wytłumaczy ten mistyczny wpływ położenia jednostki względem drugich cyfr? A rzecz bardzo prosta, zupełnie słuszna, i to samo dzieje się codzień przed naszymi oczyma w świecie moralnym. Piękne przymioty ludzkie można rachować jak liczby, bo każdy ich ma więcej lub mniej, i ztąd wielka liczba oznacza wielkiego człowieka; ale patrzcie państwo! jak tylko nad tą summą przymiotów wygórjuje jednostka, to jest osobistość, to jest miłość własnej osoby, to jest zarozumiałość, to jest... Aaa! sługa uniżony panów moich! Słyszę, że bije 9-ta godzina. Mój obraz, mój dziwny obraz, moje czarne oczy czekają na mnie.

To mówiąc, dziwacznie uklonił się kapeluszem całej kompanji i wybiegł z pokoju.

— Wiesz jakie mam podejrzenie? — rzekłem po chwili do Marceliego.

— Jakie?

— Zdaje mi się, iż nabycie obrazu tak go uszczęśliwia, że pod imieniem Izydora własną nam historję opowiedział, tylko nie rozumiem po co!

— I ja tak myślę — odrzekł Marcei. — Może tą wróżbą chce usprawiedliwić zwykłą swoją excentryczność, a może też istotnie ma tego *ćwieka we łbie*, i chciał, żebyśmy go w sekrecie ze łba mu wyciągnęli.

MATKA I CÓRKA.

Są tak dziwne charaktery, że filozof pogardzi niemi, a kobieta je odgadnie i oceni. Jest to osobliwszy przywilej serca.

ROMULUS, *albo może inny poeta.*

Fantastyczny młodzieniec w rejtraku tak mocno mnie zajął, że nazajutrz natychmiast odwiedziłem panią Szczeropolską. Zaczęła staruszka przyjąć mnie jak syna, a Różia, którą kiedyś widziałem maleńką dziewczynką, której tyle cukierków i lalek nosiłem, stała teraz przedemną dorodną panną, z twarzą nadzwyczaj miłą, z uśmiechem łagodności na ustach, z całą gracją osoby dobrego towarzystwa. Prędko woda bieży w strumieniu, ale prędzej życie ludzkie, pomyślałem sobie, i smutno mi się zrobiło, bo naturalna konsekwencja tej uwagi nastąpiła mi myśl, że ten kwiat, tak nadobnie rozkwitły, może zwiędnąć w otehlani świata przed przyjściem jesieni; że niespodziany chłód może go w jednej chwili złać, zamrozić, zmienić w suchą, twardą lodygę. Rozmowa staruszki oderwała mnie cokolwiek od tych smętnych marzeń. Mówię: cokolwiek, bo matka, pogadawszy o dawnych czasach, i o tém i o owém, nareszcie nie mogła się utrzymać, żeby nie powiedzieć czegoś o swojej jedynej, ulubionej córce. Poważnie, ale źle skrywając macierzyńską chlębę, wyliczyła mi talenta i nauki, które rozwinęła i zaszczerpiła w Rózi; chwaliła jej bogobojność, posłuszeństwo, pracowitość i skromność. To rozkoszne uczucie matki staruszki, nagroda długiego pasma starań, troskliwości, nocy bezsennych i cierpień, poruszyło najtkliwsze stróny w moim sercu miękkim z natury. Łzy mi stanęły w oczach. U staruszki dwie

czyste kropelki dawno wisały na drżących powiekach, i znak mego społeczenia stracił je na zwiędłe jagody.

Tymczasem Różia siedziała przy oknie, i czasami ciekawy wzrok jój, niby od niechcienia, przekradał się na ulicę. Przypomniałem sobie p. Chryzantego, i opowiedziałem p. Szczeropolskiej świeżo zrobioną z nim znajomość. Różia słuchała naszój rozmowy więcej jak z ciekawością. Zdawało się że siedzi na szpilkach. Chmurka zebrała się na jój czole, kiedy mówiłem o tém, jak żywo zajęły go czarne oczy w obrazie. Widać przyszło jój na myśl, że choć to malowana kobiéta, ale zawsze kobiéta, i w pierwszej chwili trwogi uważała ją może za rywalkę. Istotnie tak być musiało, bo Różia, zrobiwszy przymuszony uśmiech, rzekła do matki:

— No, mamó, teraz p. Chryzanty nieprędko nas odwiedzi.

— A to dla czego? moja córko! spytała staruszka.

— Ach, droga mamó, podchwyciła dziewczyna, wszak artyści całą duszą przywiązują się do każdego pięknego utworu. Pigmajlon zakochał się w posagu, a p. Chryzanty gotów kilka tygodni kochać się w obrazie.

— Kto wie? zawołałem uśmiechając się dwóznacznie, patrząc na Rózię, dla takiego dziwaka nie ma nic niepodobnego.

— Różia splonęła żywym pensem i oczki spuściła w ziemię, a pani Szczeropolska odezwała się łagodnie:

— Dałby Pan Bóg, żeby wiele było takich dziwaków, jak ten młodzieniec. Wyznam panu otwarcie, że w początkach naszój z nim znajomości, niepoehlebną o nim powzięłam opinię. Jego roztargnienie, jego oryginalne, często śmieszne zdania, jego tajemniczość, a szczególnie lakceważenie towarzyskiej manieri, nie podobały mi się. I dziś tego nie pochwalam, choć to pewnie musi być mimowolnie: bo taki rozumny człowiek z innój przyczyny ani na szyderstwoby się nie narażał, ani niegrzeczności by się nie dopuścił. Ale w zamian tych małych wad, ileż ten człowiek posiada gruntownych i pięknych przymiotów! Częścią z własnej obserwacji, a częścią trafunkiem wiem o panu Chryzantym daleko więcej jak inni. Nie uwierzysz pan co to za szlachetna dusza! jakie w nim tkliwe, dobre serce! Skrycie i z największą zawsze tajemnicą wspiera mnóstwo biednych; wychowuje kilka sierot; ledwie dowie się o jakim nieszczęściu, wraz niewidzialną ręką posyła pomoc; w każdej chwili gotów wesprzeć nieszczęśliwych bądź pieniędzmi, bądź protekcją, bądź radą; w interesach akuratny, w słowie niezachwiany, dla wieśniaków i służących łagodny, ale baczny na ich moralność;

słowem, więcej dla drugich jak dla siebie żyje. Ten obraz, co go tak mocno zajął, był przyczyną pierwszego może wielkiego wydatku, który dla własnej przyjemności zrobił.

— Ale cóż znaczą te nieustanne jego dziwactwa?

— A cóż? tak go już widać Pan Bóg stworzył i taki dał mu charakter. A zresztą w Niemczech odebrał edukację, jeździł do Anglii, może tam nabrał tej oryginalności. Powiadają, że w tych krajach podobne wybryki mocno są w modzie.

— O, nie! ani to natura, ani przyzwyczajenie. W tym wirze fantazji, humoryzmu, excentryczności, dwa słowa z wczorajszej jego rozmowy nie wiem dla czego zrobiły na mnie silne wrażenie i utkwiły mi w pamięci. P. Chryzanty, jak mi się zdaje, nie żartem powiedział, że wszystkie jego cierpienia od księżycy; a jak ja rozumiem, wszystkie dziwactwa skończą się, skoro się ożeni.

— Słyszałam kilka razy od niego to zdanie, ale to żart nie więcej.

— A jabym myślał, że mówiąc to, p. Chryzanty wcale nie żartuje.

W tej chwili oznajmiono nowego gościa, za nim wkrótce przypłynął drugi i trzeci, salon się napełnił, rozmowa zaczęła mnie nudzić, wymknąłem się niezznacznie i powędrowałem do domu.

FACTA MYSTICA.

O kołach i sprężynach rozum was naucza;
Lecz nie widzicie ręki i klucza.

M.

Wizyty moje u pani Szczeropolskiej powtarzały się dosyć często. Znajdowałem jakąś błogą rozkosz w towarzystwie tej starszki, w której charakterze zdało mi się widzieć rzadki dziś typ dawniej polskiej białogłowy. Zwyczajne kiedyś przymioty naszych pojęcie i rzetelna tkliwość serca, z biegiem czasu przeszły rozliczne fazy, ziębły, krzywiły się, ulegały gwałtownym transformacjom. Moralny proces tej fermentacji jeszcze nie skończony. Jaki nowy typ wykluje się z tego stanu, trudno zgadnąć. Wszakże dzisiejsza mieszanina światowego poloru, bujnego romantyzmu wyobraźni, chłodu uczuć, filozoficznych drożdży i innych ingrediencji, niewiele zaiste obiecuje, i tém miłszemi czyni dla nas te czcigodne matrony, co gdzieś w głębi wiosek żyją jeszcze i myślą po dawnemu. Cóż to dopiero spotkać taką osobę w Warszawie!

Domysł Rózi był bardzo trafny. Pan Chryzanty parę tygodni nie pokazywał się w ich domu; a kiedy potem stawił się z wizytą, to nie tylko biedna dziewczyna, ale nawet pani Szczeropolska dziwną w nim dostrzegła odmianę. Częściej i dłużej bywał markotny; opowiadał historie o tajemniczych przywidzeniach, które kiedyś ludziom się zdarzały; czasami nagle urywał zacętą rozmowę, zamyślał się i wyteżał sztywny wzrok przed siebie, jakby tam przed nim coś osobliwszego się działo; czasem wyciągał nawet dłonie do czegoś w powietrzu, i nie nie mogąc pochwycić, to śmiał się ze swego dzieciństwa, to wdychał boleśnie; nadewszystko

zaś, każdą razą musiał choć kilka słów powiedzieć o swoim obrazie, i o tych dziwnych czarnych oczach, nad które nie znał nic cudowniejszego. Różia wyraźnie brała rzecz na serjo; uważała to przywiązanie p. Chryzantego do czarnych oczu malowanej kobiety nie za uczucie artystyczne, nie za fantazję, lecz za rzeczywistą miłość, i to doprowadzało ją do największej niespokojności. Zmieniona na twarzy, roztargniona, z widocznymi śladami łez skrycie roniomych, siedziała zwyczajnie smutna przy oknie, i kiedy kto pytał, składała wszystko na chorowity stan swego zdrowia. Matka wierzyła, a przynajmniej zdawała się wierzyć temu.

Pocziwa staruszka starannie tając strapienie, częściej w tym czasie rozmawiała ze mną o p. Chryzantym. Domysły nasze o nowym kierunku jego excentryczności na niczem się zawsze kończyły. Żeby się miał zakochać w obrazie, nie podobna było przypuścić; bo rozmowa jego, lubo przeplatana dziwaczniemi wybrykami, świadczyła jednak wymownie, że rozumu bynajmniej nie stracił. Doszliśmy więc do ogólnej tylko konkluzji, że z tym człowiekiem dzieje się coś nadzwyczajnego, że dusza jego zetknęła się bliżej ze światem duchownym i pod wpływem wielkich jego tajemnic straciła zwyczajną równowagę. Ztąd biorąc powód, spytałem pani Szczeropolskiej: czy wierzy, iżby duchy innego świata mogły mieć z nami jaką komunikację?

— Wszystko to się dzieje z dopustu Bożego, odpowiedziała staruszka. W księgach świętych, w tradycjach familijnych i w opowiadaniach osób statecznych, godnych zupełnie wiary, znajdziesz pan liczne przykłady tajemniczych wydarzeń tego rodzaju.

— Nie widziałem jeszcze nikogo, coby sam był świadkiem obecności jakiego ducha na ziemi.

— O mój najmiłszy Boże! jeżeli panu tylko takiego świadectwa potrzeba, to ja ci opowiem dwa, niepodlegające żadnej wątpliwości, bo w pierwszym razie został taki dowód, który dziś jeszcze na własne oczy możesz widzieć, drugiego wypadku mój mąż nieboszczyk, ja, Różia i wszyscy domownicy byliśmy świadkami.

— Nieskończenie pani mnie zobowiąziesz.

— Bardzo chętnie. Słuchajże pan naprzód pierwszej historii. Rodzony wuj mojej matki p. Ignacy, cześnik Brzeski, ostatnimi czasy przed śmiercią miał bardzo zawikłany proceder z sąsiadem swoim p. Przaśnickim o granice wzajemnych posiadłości. Przaśnicki dowodził, że jego miedze dobiegały kiedyś do połowy gaju cześnika, a p. Ignacy nie tylko nie przyznawał tej pretensji, ale

nadto zarzucił sąsiadowi, że wiatrak i karcznię na jego gruntach wybudował, i rozsierdziwszy się, oba budynki w nocy ludźmi swojemi zwałił. Sprawa wytoczyła się do sądu. Obie strony doszły do takiej zaciętości, że każdy przysiągł sobie prędzej pójść z torbą, niżeli drugiemu ustąpić. P. Ignacy, jako nieporównanie zamożniejszy, potężną miał nad swoim adwersarzem przewagę, i do wielkiej biedy go doprowadziwszy, wszelkimi środkami forsował, żeby w sądzie *definitive* kondemnatę nań uzyskać. Nikt nie wątpił, że cześnik dokaże swego, lecz Bogu widać nie podobało się dać wpaść Przaśnickiemu w ostateczną mizerję. P. Ignacy, w sile wieku, nie doznawszy nigdy w życiu choroby, nagle zapadł obłóźnie i umarł. W testamencie, oddając matce mojej cały majątek, polecił usilnie, żeby proceder z Przaśnickim kończyła. Po odebraniu tój wiadomości, ś. p. ojciec mój, odprawivszy żałobne nabożeństwo za duszę zmarłego, już miał się zająć zostawioną mu sprawą, lecz oto w nocy ledwie matka zasnęła, stanął przed nią p. Ignacy i solennie przykazał zwrócić Przaśnickiemu wszystko, czego żądał od niego za życia, a za niesprawiedliwy z nim proceder hojnie go wynagrodzić. Nazajutrz rano przy kawie matka dziwny sen swój do joty mężowi opowiedziała, lecz pan ojciec śmiejąc się odrzekł jej: He, he, moja najmilsza królowo! jeżeli podług snów będziesz szkatułą szafować, to wkrótce ani tynfa nam nie zostanie. Na tém się skończyło. Matka westchnęła tylko, ale nie śmiała mężowi żadnych uwag czynić. Na drugą noc znowu ten sam sen jej się przyśnił, i nazajutrz taką samą odebrała odpowiedź. Ojciec jednakże, pomyślawszy nieco, i widząc, że żona oczy chustką zakrywa, żeby łez w nich nie dostrzegł, rzekł łagodniejszym głosem: Jużci ja nie od tego, moja panno, żeby komuś krzywdy nie wynagrodzić, tylko chciałbym się wprzód przekonać, że ś. p. cześnik istotnie niesprawiedliwy miał proceder, i że teraz pragnie rzecz poprawić. Otóż na trzecią noc p. Ignacy jeszcze raz pokazał się mojej matce, i żeby miała czém przekonać męża, rękę swoją położył na stole, na którym potem rano wypaloną dłoń i pięć palców wszyscy na własne oczy oglądali. Stół ten podziśdzień w naszej familji się zachowuje, a rzecz o nim mogą poświadczyć i Przaśnicy, którym natchmiast wszystko zwróciliśmy. Drugi wypadek nie wiem czy panu zdołam przytomnie opowiedzieć, bo będą mówiła o nieboszczce mojej Elżbietce.

— Śliczna to była dziecina, przerwałem z uczuciem, prawdziwy aniołek!

— Tak, istotnie, masz pan rację. Znałeś to dziecko, przeto moge mówić o niej bez narażenia się o zbytek macierzyńskiego uprzedzenia. Każda matka upatruje coś nadzwyczajnego w swoim dziecięciu, to pewna, ale w Elżbietce i obcy ludzie to samo co ja widzieli. Umysł jój i serce, prawie bez żadnego rodzicielskiego zachodu, weześnie się rozwinęły. Ledwie czwartego roczku dobiegła, już się zawsze sama modliła, sama o garderóbecie miała staranie. Przychodziła małeńka kruszynka po naukę do matki, na rozmowę do ojca; umiała wszystkim dogodzić, usłużyć, podobać się, a zawsze tak spokojna, tak łagodna i wyrozumiała, że serce macierzyńskie w każdej chwili napełniało się niewymówną rozkoszą. O, żebyś pan ją był widział, kiedy miała ósmy roczek, co to za ujmująca, rozumna i bogobojna była dziewczynka! Daruj pan, że mi łzy przerywają opowiadanie. Pan Bóg dał, Pan Bóg wziął, wola Jego święta, ale nie każdy pojmie, cośmy stracili w tém dziecięciu. Bywało ojciec nieboszczyk ma jaki smutek, jużci ten aniołek natychmiast zmartwienie jego odgadnie, uwiesi mu się na szyi i woła: — Papo! papo! po co mnie nie powiesz, że ci smutno? Ja się pomodłę do mojej Mamy, co jest w niebie, (tak zawsze nazywała N. P.), a ona ci natychmiast dopomoże. I wraz biegnie przed obraz, kłęka i nieustannie *Zdrowaś* powtarza, przeplatając dziecięcemi prośbami, dopóki (jak mówiła) jasności przed oczyma nie obaczy. Możesz pan wierzyć słowu matki, że każdą razą, kiedy wedle jój słów, Elżbietka ową jasność widziała, cierpienia fizyczne lub moralne, albo przykre okoliczności życia, zawsze pomyślny obrót przybierały. W przeciwnym przypadku dzieciątko pomodliwszy się aż do strudzenia, przybiegało do ojca albo do mnie z prostą, ale głęboką chrześcijańską pociechą: Tak Bóg chce. Od urodzenia Elżbietka była ciągle chorowita, lecz wszystkie dolegliwości znosiła bez szemrania i najprzykrzejsze lekarstwa przyjmowała cierpliwie. W wigilję Wniebowzięcia Matki Boskiej, po rannym pacierzu, bardziej jak zwyczajnie słaba, przyszła nam powiedzieć dzień dobry. Chcieliśmy posłać po doktora, ale dziecko rzekło nam spokojnie, z niejaka nawet wesołością, że na ten raz doktor jój niepotrzebny, albowiem Mama, co jest w niebiosach, w następną jutrznię zabierze ją do siebie. Spojrzeliśmy na siebie z bolesnym przerażeniem, i zrobiwszy przymuszony uśmiech, pytaliśmy: skąd to wie? Dziś w nocy — rzekła nam, widziałam wielką światłość i mnóstwo pięknych dzieciaków ze skrzydełkami wokół mego łóżeczka. Dzieatki powiedziały mi, że rano, jak będą dzwonić na jutrznię, przyjdą mnie

zabrać do Mamy. Perswadowaliśmy dziecku, że to przywidzenie, że Pan Bóg jeszcze nam ją zachowa na pociechę naszej starości, ale Elżbietka najspokojniej odpowiedziała, że dziatki białe prawdę jej mówiły. Wieczorem z dziwną jakąś solennością żegnała się z ojcem, ze mną, z Rózią, ze służącymi; pocieszała nas, że jej owe dziatki przyrzekły, iż się prędko z nami zobaczy, i prosiła piastunkę, żeby ją przed jutrznią na pacierz ranny obudziła. Całą tę noc przesiedziałam przy niej, na chwilę nie zmrúżywszy powiek i nieustannie się modląc, ale nad rankiem nie pojmuję jakim sposobem sen mnie na moment zmorzył. Wtém Elżbietka obudziła się, i biorąc mnie za rękę, rzecze: Prędziej, mamó, ubierz mnie, bo ślaba jestem, a już czas. Napół-przytomna ubrałam ją. Dzieciatko uklękło przed obrazem Matki Boskiej..... zmówiło pacierze.... pocałowało mnie jeszcze raz.... prosiło jeszcze o błogosławieństwo.... i położyło się znów do łóżeczka. Wtém zaczęli dzwonić na jutrznię..... schwyciłam ją mimowolnie za rączkę..... zimna jak lód!..... Moja Elżbietka umarła!...

Lzy obficie płynęły z oczu staruszki; i ja chustką ocierałam swoje powieki. Po chwili pani Szczeropolska znów rzekła:

— Tak się Bogu podobało! Ten aniołek w niebie za nas się modli!...

PAN CHRYZANTY.

Das ich auch nicht einmal von meinem wunderlichen Zustande reden kann!

NOVALIS.

Nareszcie mi się udało zastać go u pani Szczeropolskiej. Było kilka osób w salonie. P. Chryzanty cudownie grał *Septuor Bethovena*. Rózia stała przy fortepianie, jak posąg nateżonej uwagi, i duszą chwytiała strumienie harmonji, płynące z instrumentu, którym władał artysta. Twarz p. Chryzantego jaśniała natchnieniem, oczy iskrzyły się ogniem zapału. Każdy zapomniał o jego dziwactwach i widział w nim tylko wielkiego muzyka. Ja patrzyłem umyślnie na Rózię. Nie podobna opisać, co się musiało dzieć w jej duszy. Każdy dźwięk czarodziejskich strón odbijał się widzialnie na jej twarzy, jakieś konwulsyjne drżenie grało w fibrach skroniowych, wzrok utracił swoją ruchomość, oddech zatrzymał się w piersiach; artysta był samowładnym panem jej istoty. Zbliżyłem się umyślnie do niej, i spytałem z cicha: Czy nie czuje się słabą?

— Ach! nie — odpowiedziała mi skwapliwie — tylko ten człowiek opanował całą moją duszę.

Odegrawszy finał, p. Chryzanty spuścił głowę na piersi i kilka chwil został nieporuszony, w głębokim zadumaniu. Zdało się, że jakaś ważna myśl zajęła całą jego uwagę; potem w półgłosu rzekł do Rózi:

— Nigdy tego *Septuoru* więcej grać nie będę.

— A to dla czego? spytała dziewczyna z zadziwieniem.

— Muzyka poważna nie podobała się *czarnym oczom*. Kilka razy już tego doświadczyłem. Muszę gust swój przemienić i poko-

chać *Donizetti*. *O mio caro Donizetti! gran, famosa, meraviglioso maestro del'universo e di altri citti!*

— Co takiego *Donizetti*?

— Oczywiście jego muzykę. Kiedy gram *l'Elizir d'Amore*, zawsze je widzę przed sobą uśmiechające się, wesole, szczęśliwe.

— Jakie pan oczy widzisz? na miłość Boga! podchwycała Różia z trwogą.

— Aha! co takiego? *de quoi s'agit-il?* — zawołał fantastyk, jakby ze snu się budząc, i wyciąwszy sobie szcztka w nos, z arcy-komicznym grymasem rzekł sam do siebie: Znowu, panie Chryzanty, kardynalnego głupstwa dopuścić się raczyłeś! *O poverino!* dopókiż będziesz chodził między ludzi z prózną głową, a rozumek swój zostawiał w domu pod zamknięciem, dla maceracji w occie siedmiu złodziei? — Potém zwracając się do Rózi: — *Pardon, Madame!* dziś księżyc znów w pełni. Pani wiesz, że to jest najfatalniejsza dla mnie epoka w każdym miesiącu. Ach! żeby to astronomowie prędzej wykreśli tę *niesforną gwiazdę* ¹⁾ drugą stroną do ziemi, tobym może nareszcie odpoczął sobie.

— Uspokój się pan. Kiedyś przyrzekłeś mi... szepnęła błagającym głosem Różia. Nieopisana żalność ocieniła jój fizjognomją, oczy lśniły się nadbiegającymi łzami.

Pan Chryzanty natychmiast wstał od fortepjanu i wniósł się do ogólnej rozmowy. Roztargnienie jednak coraz mocniej brało nad nim górę. Kręcił się na krześle w różne strony, uśmiechał się albo się krzywił, pochylał się naprzód, jakby coś chciał rozpatrzeć, i po jakimś czasie z nieukontentowaniem ciało w tył odrzucał. Dziewczyna była w rozpacz. Staruszka z boku także obserwowała wszystkie jego ruchy, i nie mogąc dłużej wytrzymać, spytała niby nawiasem:

— Cóż to tak niespokoi pana Chryzantego?

— Oczywiście! zawsze oczywiście! odpowiedział nieborak zmieszany głosem.

— Pan cierpisz na oczy? — podchwycił w samą porę jakiś otyły jegomość w peruce — ja mam wyborne *specificum* od tej dolegliwości.

— Chi, chi, chi! czy to być może? odrzekł naiwnie pan Chry-

1) Tak nazwał księżyc Jan Śniadecki, z powodu zawikłanych jego ruchów.

zanty, prostując się na krześle jak student; czy to być może? *specificum* od oczu?

— To jest, od *Ophtalmii*, jak mówią doktorowie.

— A, a! jaka szkoda, że to tylko dobre dla tych, których oczy bołą.

— A na cóż panu lekarstwo na zdrowe oczy?

— Właśnie, właśnie potrzebuję go, dla tego, że moje oczy za nadto widzą, i przez to serce mnie boli, głowa warjuje.

Człowiek w peruce spojrział na niego z litością. Może go wziął za fiksata, a może pomyślał, że p. Chryzantemu umarła ubóstwiana kochanka i cień jęj przesładuje go.

Tymczasem niespokojny fantastyk, spotkawszy kilka razy moje badawcze spojrzenie, zaczął mi się także ukradkiem przypatrywać. Po jakimś czasie wstał z krzesła, zaczął ze mną rozmowę o Marcelim i innych znajomych, i odprowadziwszy w stronę, żalonym zapytał tonem:

— Dla czego pan przez cały wieczór tak uporeczywie mnie obserwujesz? Wierz mi, że niczego się nie dowiesz z tych tajemniczych poglądów i podsłuchiwań.

— Istotnie, słusznie mi pan wyrzucasz uchybienie grzeczności, odpowiedziałem; przepraszam go najszczerzej.

— Och, och, grzeczność! zawołał, — chwytając mnie poufale za rękę. — Czy wiesz pan kto wynalazł to słówko? czy jesteś oznajmiony ze *sztuką* i *filozofją hermetyczną*?

— Nie.

— Otóż dla tego nie wiesz, że to wynalazek alchimiczny. Sławny pod koniec XIV wieku Mikołaj Flamel¹⁾ odkrył, jak sam powiada, starożytny kabalistyczny foljał, pod tytułem: *Złota Księga żyda Abrahama*, i z téj księgi doszedł kompozycji kamienia filozoficznego. Wiadomo, że kiedy robił ten kamień, żona jego *Perrenella* bywała zawsze przytomna czarodziejskim operacjom, dmuchała na węgle, poprawiała ogień pod lufami i retortami, wyjmowała z nich ostatki smażenia i dystyllacji, słowem, rządziła całym gospodarstwem djabelskiej kuchni. Co oni tam nareszcie wydobyli, trudno zdeterminować; dość, że w krótkim czasie ogromnie się zбогacili. Niektórzy utrzymują, że dociekł sekretu robienia złota; drudzy powiadają, że *Perrenella* z doświadczenia nabywszy nie-

1) Historyczne.
SZTYRMER.

mało wiadomości alchemicznych, sama zaczęła robić experyencje, piekła mózg ludzki przez trzy doby na węglach i wypiekła z niego *grzeczność*. Ostatnie podanie zdaje mi się podobniejszym do prawdy.

— Więc pan nie lubisz grzeczności? i pewnie szczerosc nad nią przekładasz? Kiedy tak, to powiem otwarcie, że wiedząc dziwny początek i kawałek środka pańskiej historii, nie mogę być obojętnym na dalszy ciąg.

— Nie, nie nie! tysiąc razy nie! Pan nie nie wiesz! Przyznaj się, mój dobrodzieju.

— Ale jakże bo nie wiem? Początek słyszałem u Marcelego na wieczorze, a środek zaczął się, jak myślę, na licytacji...

— O ja nieszczęśliwy! — zawołał pan Chryzanty stłumionym głosem — ten człowiek oczywiście o mnie powieść napisze! Zmiłuj się, mój łaskawco, umiarkuj swoją wenę, pij obficie zimną wodę, a zrobisz i miłosierny uczynek i zdrowie sobie podreperujesz podług metody *Priesnitz* *von Gräfenberg in Schlesien*. Jeżeli ci już konieczne potrzeba przedmiotu tajemniczego, to chętnie dam ci do przeczytania najszacowniejsze dzieła, któremi świat obdarzyli: *Geber*, *Ebnsina*, *Alzaharavius*, *Albertus Magnus*, *Arnaud de Villeneuve*, *Raymond Lulle*, *Reuchlin*, *Cornelius Agrippa*, *Paracelse*, *Basilius Valentinus*, *Robert Fludd*, *Van-Helmont*, *Jacob Röhme*, nasz *Michał Sędziwój* i kupa innych warjatów. Z tych dzieł tysiąc dziwnych powieści możesz napisać, a mnie daj pokój, zmiłuj się.

— Bądź pan spokojny, ja nie literat, ja sobie obywatel.

— To znaczy, że pan jesteś literat-obywatel, i piszesz tylko dla swego powiatu, ale zawsze liczysz się do atramentowej klasy stworzeń. Kto teraz nie literat, proszę? Hoffmanowi udało się nawet kota zbałamucić do tego stopnia, że ogoniasta bestja niezłą niemiecką powiastkę podała do druku. Co to pan sobie żartujesz? Bez obiadu i bez autorstwa żaden cywilizowany człowiek dziś obejść się nie może; ja sam książki piszę!..

— Panie Chryzanty! — przerwała w tej chwili staruszka — zapomniałam ci powiedzieć jedną szczęśliwą nowinę, którąśmy dziś odebrały. Czy nie uważasz jak wesoła moja panna?

Dewilski rzucił smętny wzrok na Rózię i z największą uwagą zaczął słuchać.

— Córka moja — mówiła dalej pani Szczeropolska — dawnym zwyczajem wychowała się czas niejaki u mniszek w klasztorze i

w najściślejszej była przyjaźni z drugą panią Marynią Miecznikowską...

— Miecznikowską? mówisz pani. To nazwisko bardzo dobrze mi znajome z papierów pozostałych po ś. p. ojcu moim. Czy nie córka to pólkownika Miecznikowskiego, co kiedyś w*** regimencie służył?

— Jakże? jego samego młodsza córka; starsza przed kilką laty umarła.

— Ach! jak mnie cieszy to odkrycie! Wszakci to dawny kolega mego ojca i najszczęszy jego przyjaciel. Gdzież on teraz mieszka?

— W Kaliskiem.

— Czy dawno go pani widziałaś?

— Teraz niedawno był w Warszawie, ale tylko kilka dni ba-
wił, ciągle był zajęty sprawunkami, i z tój przyczyny raz tylko nas odwiedził na małą chwilkę. Gdybyś pan nie był w Busku, mo-
żebyś się był z nim spotkał. Píše teraz, że go tutaj na samém wyjezd-
nym jakieś zmartwienie spotkało, i dla tego nawet nie po-
żegnał się z nami; obiecuje jednakże wkrótce z całą familją tu przyjechać. Nie uwierzysz pan, co to za radość dla Rózi! bo choć
sobie państwo żartujecie z przyjaźni kobiéczej, wszakże szczerze po-
wiadam, że te dziewczęta z osobliwszym affektem się kochają.

W tym momencie wszedł do salonu Marceli.

ODKRYCIE.

Nicht ohne Schaudern greift des Menschen Hand in des Geschick's geheimniss volle Urne.

SCHILLER.

— Słuchaj, *caro amico!* opowiem ci zabawne odkrycie, rzekł Marcei. Przed kilku dniami dybię sobie rano po Krakowskiem Przedmieściu, aż tu pewny młodzieniec wychodzi z mieszkania znajomego mi doktora C***, z niezmiernie kwaśną miną.

— Cóż to, pan jesteś cierpiący? spytałem. A tak, odpowiada mi półgębkiem, w samą rzecz niezupełnie zdrow jestem. Siadł do powozu i pojechał ku Świętemu Janowi. No, poczekajże, pomyślałem sobie, na złość dowiem się wszystkiego. Idę więc wieczorem do szanownego eskulapa, i ten w gawędce, bez żadnej prośby, całą rzecz mi wypowiedział.

— Zaczekaj, przerwałem, któż to był ten młodzieniec?

— Sam się domyślisz; uważaj tylko; ja ci opowiem całą scenę powieściowym sposobem. Może ci się to z czasem przyda.

W mglisty jesienny ranek gustowny kabriolet zatrzymał się przed mieszkaniem doktora. Młody mężczyzna, starannie owinięty płaszczem, lekko wyskoczył z niego, szybko przebiegł po wschodach, i wszedłszy do sali napełnionej pacjentami, w milczeniu zajął najwygodniejsze, jakie mógł znaleźć krzesło. Młodzieniec widać źle spał w nocy, bo oczy miał mocno snem zmorzone i nieustannie ziewał. Wszyscy obecni, wpatrując się w dziwnie skrzywioną jego

fizjognomię, myśleli w duchu, czy nie sfiksowany to przypadkiem kawaler?... Tymczasem jeden pacjent po drugim wchodził do gabinetu doktora, liczba chorych ciągle się zmniejszała, a młodzieniec nie śpieszył bynajmniej, siedział sobie wciąż cierpliwie i pasował się tylko ze snem. Nareszcie zegar wybił 10-tą godzinę. Doktor wszedł do sali z kapeluszem i laską w rękę, i tłómacząc się, że jedzie do chorych, prosił pozostałe osoby odwiedzić go nazajutrz. Wtedy dopiero młodzieniec porwał się z miejsca, przystąpił z najdziwniejszą miną do poważnej osoby eskulapa i szepnął mu do ucha: *Pardon Monsieur!* jedną sekundę posłuchania. Doktor najuprzejmiej wprowadził go do gabinetu. Reszta pacjentów odeszła w złym humorze.

— Nie zabierałbym panu czasu, rzekł młodzieniec, gdybym nie był przekonany, że dwie połówki człowieka: moralna i fizyczna, tak ściśle z sobą są złączone, iż w wielu razach działając na ciało, można duszy dopomódz.

— O, to rzecz niezawodna! przerwał doktor. Jednak jeśli pan cierpisz moralnie, to w ogólności radziłbym...

— Udać się raczej o kilka kroków ztąd do proboszcza u Św. Jana? podchwycił młodzieniec. Istotnie tam też myślę szukać ostatecznej rady; pana zaś chciałbym tylko zapytać, czy są w medycynie jakie przyczyny fizyczne, przy rozwinięciu się których człowiek widzi wyraźnie przed sobą przedmioty nieegzystujące w samej rzeczy? i widzi wtedy, kiedy inni nie dostrzegają?

— Hm! odezwał się doktor, — spoglądając na niego z uśmiechem — takie przywidzenie nazywa się *Hallucinatio*; zdarza się zwyczajnie w malignie, manji, hipokondrji; bywa nawet u ludzi zdrowych, tylko zbyt krwistych.

— Zdaje mi się, iż żadnej z tych chorób nie mam. Może zbytek krwi?..

— Doktor wziął go za rękę, i po chwili rzekł żartobliwie:

— Puls pański bije równo siedmdziesiąt razy na minutę, *ergo* znajduje się w stanie normalnym; na twarzy też widać doskonałe zdrowie. Nie pojmuję czegooby panu mogło brakować?

— Ba któż to pojmie? Będziesz się śmiał ze mnie konsyliarzu!

— Istotnie mam do tego szczerą ochotę, podchwycił doktor z ironją. Mów pan śmiało, i nie traćmy czasu. Jestem niezmiernie ciekawy pańskiej choroby.

— Ciągła hallucynacja!

— Wybornie! Cóż pan widujesz?

— Parę czarnych oczu.

— I te oczy ładne zapewne?

— Dziwnie piękne! ach! cudowne! i to mnie okropnie dręczy.

— Cha, cha, cha! Mój łaskawy panie! takich hallucynacji doktorowie nie leczą, ba, sami je w młodości miewają, zupełnie tak samo, jak pan teraz. Idź pan co prędzej do proboszcza i poproś go o zapowiedzi, to najpewniejsze lekarstwo. Jeżeli byś zaś nie mógł go użyć, to radzę mu modną dziś metodę hydropatycznej kuracji. Pij, zmiłuj się, pij codziennie *aproximative* trzydzieści szklanek zimnej wody, żeby cię te oczęta nie zawiadły na dalekie i cierniste manowce. Tymczasem żegnam pana. — To mówiąc, bez ceremonji wyszedł z gabinetu i śpiesznie dążył na wschody. Młodzieniec idąc za nim, szepnął mu w przedpokoju:

— Pan mnie nie zrozumiałeś, i dla tego sobie żartujesz.

Doktor się zatrzymał.

— Ja widzę oczy bez ciała.

— Wszystko jedno — rzekł doktor — wszystko jedno! W każdym przypadku radzę zimną kryniczną wodę. I szybko zbiegł po wschodach.

— Ależ bo konsyliarzu! jeszcze raz zawołał młodzieniec, nie miéj mnie przynajmniej za warjata; *parole d'honneur* jestem zupełnie spokojny.

— O, jakżebym miał o tém wątpić, widząc tak oczywiste wody? — mruknął eskulap — jednak na wszelki przypadek rekomenduję panu memu *aquam fontanam puram, aquam frigidissimam*. Hippokrat i wszyscy filozofowie starożytni mocno wierzyli w skuteczność tego napoju, osobliwie Cicero i Plinusz młodszy. Adieu.

— Oto masz połowę mojej powiastki, rzekł Marceli.

— Jak to? spytałem niby zdziwiony, czy jeszcze dalej śledziłeś cudze tajemnice? godziż się to?

— Cóż robić? *mon cher!* Gdybyśmy żyli w błogiej epoce klasycyzmu, kiedy ludzie niewiele mieli ciekawości, i we wszystkiém byli powolni, poważni, odkrycie, które zrobiłem, możeby mnie zaspokoilo zupełnie; ale należąc do pokolenia romantyków, pragnąłem powziąć więcej szczegółowe wyobrażenie o wizjach pana Chryzantego. W tym celu nazajutrz udałem się na zwiady do księ-

dza proboszcza. Zaczny ten starzec zna mnie od dzieciństwa, i rad mi zawsze, kiedy go odwiedzę. Przyszedłem cokolwiek nieśmiało, ale proboszcz tak mnie serdecznie powitał, tak akuratnie zaczął konwersację o życiu terażniejszej młodzieży, że najnaturalniejszym sposobem cała konsultacja pana Chryzantego na jaw wyszła.

Księżę dobrodzieju! — rzekłem niby nawiasem — biedny Dewllski miał w tych dniach być u jegomości i prosić o radę. Dziwne rzeczy z nim się dzieją.

— A był właśnie wczora, odpowiedział proboszcz, żal mi prawdziwie tego młodzieńca. Z początku nie chciałem wierzyć jego osobliwym frasunkom, i myślałem, że to prosto przywidzenie, brednie jakieś...

— Ja dotąd sędzę, że to nie więcej, jak wyobraźnia, wybujała fantazja.

— Pomądrzeliściebo za bardzo w ostatnich czasach, moi panowie! Jak tylko co się nie da wytlómaczyć powszednim rozumem, wraz powiadacie, że to głupstwo. Jakże nie wierzyć panu Chryzantemu? Zastanów się tylko, wszak to bez żadnej egzaltacji wyznaje człowiek rozumny, zupełnie przytomny, i nie w pierwszej chwili, ale po kilku tygodniach ciągłego nagabania.

— Ba! może jegomości co innego mówił, jak mnie?

— Wyznał mi prosto, że widuje też przed sobą parę czarnych oczu; że te oczy patrzą na niego zupełnie, jak żywa osoba, że go łudzą swoją pięknnością, weselą się lub są smutne; że kiedy odwróci się w drugą stronę, to i oczy tam wędrują; wyjdzie do drugiego pokoju, to i tam go znajdują; siądzie na koń, oczy przed nim galopują. Co chcesz rób, nie nie pomaga! Czapkę aż na nos nasuwa sobie, a wszystko owe dziwne oczy patrzą na niego.

— Cóż jegomość o tém myślisz i jaką dałeś mu radę?

— Nie nie myślę: bo na co się przyda łamać głowę w rzeczach dla rozumu niedostępnych? Żaden mędrzec wpanu tego nie wytlómaczy. Może to jaka dusza pokutująca żąda od niego pomocy? a może też siła nieczysta go kusi? Zamiast wszelkich rozumowań, powiedziałem mu:

— Idź wpan z Bogiem do domu, panie Chryzanty, i nie frasuj się. Jak cię te ślepki będą nagabaly, połóż na się znak krzyża ś. i zawołaj pobożnie: J. M. J.! Udając się na spoczynek, łóżko zaw-

sze przeżegnaj i przynajmniej raz w miesiąc bywaj u spowiedzi. Po niej jakim czasie daj mi znać o skutku mojej rady.

— Owo widzisz, mój Pantofelku — rzekł Marceli, kończąc opowiadanie — że w życiu pana Chryzantego teraz właśnie musi nastąpić jakieś tajemnicze *crisis*; bo jużci nie podobna przypuścić; żeby te czarne oczy, bez żadnego celu, tak nieodstępnie za nim chodziły. — O tém zaś, co dalej będzie, dowiem się od proboszcza.

SPOTKANIE U WOLSKICH ROGATEK.

Heute geh'ich Komm'ich wieder,
Singen wir ganz and're Lieder.
GÖTHE.

P. Chryzanty najściślej wypełniał wszystko, co mu proboszcz był nakazał, i duchownemi środkami swawole czarnych oczu znacznie poskromił. Jak zrobi znak krzyża świętego, i zawoła: J. M. J.! oczy natychmiast odsuną się od niego dalj; jak powie drugi raz, odchodzą jeszcze dalj, i tak aż do samej ściany; albo kiedy leżał w łóżku, to aż do sufitu; ale oparłszy się o mur, tak żalśnie ztamtąd na niego spoglądały, że mu serca nie stawało wypędząć je do szczytu z pokoju. Nieraz, przy użyciu tych środków, spojrzenie oczu robiło się tak nadzwyczajnie smutne, tak wyraźnie błagające o litość, że samego Dewilskiego ogarniała nieopisana tęsknota; nieraz lzy nawet w nich dostrzegał, i wtedy sam nie mógł się utrzymać od płaczu. Położenie jego stało się więcj zakłamaném, niż przed odwiedzeniem proboszcza: bo chociaż znalazł skuteczny oręż, którego żarliwie był szukał, jednak niewiele mu to pomogło, bo nie czuł w sobie dość odwagi używać go w każdym przypadku. To upokorzenie, ta boleść w spojrzeniu zaklętych oczu, przy blasku ich i nadzwyczajnej piękności, oczarowały go zupełnie. Pokochał je tak mocno, jakby żywą jaką kobietę, i sam nie wiedział, czy je odganiać od siebie, czy pragnąć, żeby bez ustanku nań spozierały. Do tego dołączył się bez wątpienia jeszcze drugi frasunek. Z rozmów z panią Szczeropolską i jej córką zmiarko-

wałem, że pan Chryzanty, przed nabyciem obrazu, lubo żadnego wyraźnego kroku nie uczynił do pozyskania ręki Rózi, jednak widocznie jęj sprzyjał i w poufałym towarzystwie swęgo przywiązania nie tał; teraz zaś, polubiwszy namiętnie owe tajemnicze oczy, ozięł dla nięj, i obojętności nie starał się lub nie umiał ukryć. Cierpienia Rózi były zbyt widoczne, żeby mogły ujść jego baczności. Rumiana niegdys i jak jagoda świeża twarz jęj, od głębokiego smutku pokryła się chorowitą bladością, oczy przybrały wyraz roz-targnienia i od łez jakby mgłą się powlekły; cała jęj fizjognomia była zmieniona. Niepodobna, żeby człowieka poczciwego, jak Dewilski, nie dręczyło sumienie, że tę dziewczynę rzadkich przymiotów, tak bogobojną, cichą i skromną, a poczciwie w nim rozmiłowaną, dawnym affektem kochać już nie czuł się na mocy. Postanowił na czas jakiś wyjechać do dóbr swoich w Sandomierskiem.

Właśnie kiedy przez wolskie rogatki wyruszał z miasta, jakiś powóz wjeżdżał do Warszawy umiarkowanym klusem, a w nim siedział podeszłych lat mężczyzna i drzémał. P. Chryzanty ledwie spojrzał na niego, natychmiast wyskoczył na ziemię, dopędził nieznanomego, jak wiewiórka wskoczył do jego powozu i tuż przy nim leciutko się usadowił.

— Hola! zawołał biorąc go za rękę, budzę wpana dobrodzieja i uniżenie pod stopki mu się ścielę.

Nieznanomy otworzył oczy z niejakim przestraczem, i z największém zadziwieniem wpatrując się nieproszonemu towarzyszewi podróży, spytał go surowo:

— Co wpan robisz w moim powozie?

— Natychmiast dam panu akuratną i kategoryczną odpowiedź, rzekł pan Chryzanty, zabawnie trzęsąc się cały niby od strachu, tylko racz mi pan wprzód objaśnić jedno psychologiczne zagadnienie.

Poważny mężczyzna, patrząc na komiczną jego figurkę, nie mógł się utrzymać od gwałtownego śmiechu; długo trzymał się za boki i pracował pierściami jakby w konwulsjach wesolości; wreszcie dusząc się zapytał znów:

— Czego panu potrzeba?

— Potrzeba mi wiedzieć maluczką bagatelkę *ein lumpig-kleines Splitterchen*, ot jak ten nikiemny włoszek z mojęj czupryny, który dla miłości psychologii w oczach pańskich teraz sobie wrywam; nie więcęj nie chcę, tylko decyzji p. dobrodzieja, ażali *możebną* jest taka metamorfoza, żeby człowiek w granatowęj wę-

gierce, widziany na licytacji w ratuszu, mógł się zjawić po jakim czasie u wolskich rogatek, w zielonej futrzanej bekieszy?

Poważny mężczyzna spojrział na niego z wielką uwagą i odpowiedział sucho:

— Tak jest, w samą rzecz.

— W takim przypadku proszę mi powiedzieć, z kim mam honor odnowić znajomość? bo chciałbym panu zrobić jedną propozycję.

— Jestem pólkownik Miecznikowski.

— Czy to być może? O mój dobrodzieju! któżby się tego był spodziewał! Wybaczcie mi pan wszystkie warjacje przez wgląd na panię mego ojca. Nazywam się Chryzanty Dewilski.

Jaka była ich wspólna radość, jak się ściskali, jakie nauki stary dawał młodemu i jak ten się usprawiedliwiał, nie mogę z historyczną dokładnością opisać, bo pólkownik nie mówił pani Szczeropolskiej o tych szczegółach; dość, że kiedy się zupełnie uspokoił, Miecznikowski zapytał:

— Jakąż to propozycję chciałeś mi uczynić?

— Chcę panu odstąpić obrazu, bo mnie on już niepotrzebny, a dla pana zdaje się być drogi.

— O! i bardzo drogi! bo to najdoskonalszy wizerunek nieboszczki mojej córki, Antoniny.

Nieboszczki!... zawołał okropnym głosem pan Chryzanty, nie wierz pan temu. Ona nie umarła! Ot tu! ot tu przedemną błyszcza się w tej chwili śliczne jej czarne oczy i patrzają na mnie!...

— Szaleńcze! uspokój się, nie krzywdź umarłej w grobie. Widzisz, jaki z ciebie lekkomyślny człowiek! Na licytacji po warjaku sypałeś pieniędzmi, żeby kupić ten obraz, przeszkodziłeś mi go nabyć, a teraz już cię znudził i sam chcesz się go pozbyć.

— O, jakże się pan uylisz! rzekł młodzieniec z goryczą. Odstępuję go dla tego, że najlepszą część malowidła noszę teraz w sercu, widzę żywą przed oczyma. Weź go pan sobie, a pieniądze, jakiebyś bez mojego przeszkodzenia był zapłacił, obróć na biednych i na nabożeństwo za duszę nieboszczki.

Pólkownik zamyślił się, czy przyjąć ofiarę pod tym warunkiem lub nie? Fałszywe pojęcie honoru i miłość rodzicielska miały nim naprzemiennie. Passował się z sobą widocznie. Pan Chryzanty, przerywając jego zamyślenie, zawołał z niechęcią:

— Przyjaciel mego ojca, co gotów był życie za niego poświęcić, co tyle niebezpieczeństw z nim dzielił, tyle razy go zob-

wiązał, waha się teraz, czy mu nędzna ludzka opinja pozwala przyjąć od syna portret własnej córki. Czy zgadłem?

— Nie zgadłeś! odstrzelił pólkownik, bo go przyjmuję. Chciałbym ci się jednak czémkolwiek wywdzięczyć. Wracaj prędzej do Warszawy; zastaniesz mnie tu już z familją, dla której właśnie teraz przyjechałem przygotować mieszkanie.

— Możesz mi pan i w obecnej chwili się wywiązać: opowiedz mi historję tego obrazu.

Nie podobala się starcowi ta ciekawość; jednak po niewielu wymówkach zgodził się zadość uczynić prośbie pana Chryzantego, i zajechali do pierwszej kawiarni po drodze.

HISTORJA OBRAZU.

Infandum.... jubes renovare dolorem.
VIRG. *En* 11. 3.

— Wielki to jest obowiązek rodziców, rzekł pólkownik wzruszony, czuwać od młodości nad wychowaniem dziatki, bo i Bogu kiedyś przyjdzie się z tego zdać rachunek, i cały charakter ich najwięcej od edukacji rodzicielskiej zależy. Antonina była naszym pierwszym i długi czas jedynym dzieckiem. Od urodzenia kochaliśmy ją niewymownie, pieściliśmy nieustannie, unosiliśmy się nad każdym jej przymiotem, szczególnie nad dziwną urodą, i zupełną we wszystkiem zostawiliśmy jej swobodę. Prawdziwe zaślepienie na nas padło! Córka opanowała nas zupełnie. Ja, com służył kiedyś w pólku z tegoż charakteru, w domu nie śmiałem w niczem jej się sprzeciwić. Matka też, co później inne dzieci tak przykładowo poprowadziła, dla tej dziewczyny była tylko pokorną służką. Już w dziecinnych latach najmilszą jej zabawą było wdzięczyć się do chłopczyków, łudzić ich, i kiedy ją który polubił, obojętnie go porzucać, a stawiać sidelka na drugiego. Wypadające ztąd zatargi miłośne i maleńkie rozpaczki kawalerów bawiły nas, i zamiast żeby się osrożyły na młodą zalotnicę, samiśmy jej poklaskiwali. Mój Boże! jak to boleśnie przypominać sobie teraz własne winy! bo powtarzam ci, że myśmy ją przez nasze zaślepienie zgubili. Zalotność, lekkomyślność i jakaś namiętna żądza doprowadzania mężczyzn do rozpaczki, z latami coraz mocniej się w nią rozwijały. Kiedy dorosła, jedyną jej myślą było zawrócić komu głowę i potem drwić sobie z nieboraka. Miała kilka pięknych partij, ale wszystkie się

rozchwiała. Jeden młodzieniec odebrał sobie życie. Błagaliśmy ją ze łzami, żeby się upamiętała. — Ojciec kochany! rzekła mi żałośnie. chęszcie żebym bez wyboru, bez miłości, rzuciła się na szyję pierwszemu, kto zażąda mojej ręki? — Nie wiedziałem co jej na to odpowiedzieć, i wszystko znów poszło dawnym trybem. Młodzież dawała sobie słowo nie przystępować do niej, nie rozmawiać, nie tańczyć, a jednak jak się Antosia pokaże na balu w Kaliszu, jak spojrzy na którego, to jakby oczarowany tym uroczym wzrokiem, natychmiast duszę gotówby jej oddać. Jakaś tajemnicza potęga była w jej oczach, to ci każdy potwierdzi, kto ją znał.

Raz latem, na wsi, dano mi znać, że pewien cudzoziemiec, podróżny, któremu na drodze powóz się zepsuł, stanął gospodą w chłopskiej chałupie, i nic nie robi, tylko sobie węglem na ścianach jakieś dziwolągi kręśli. Korzystając z pięknej pogody, poszedłem sam zobaczyć nieznanego i ofiarować mu we dworze szlachecką gościnność. Był to średnich lat Niemiec, małego wzrostu, chudy; na cienkich jak badyle nóżkach, z dziwną twarzą i jakąś diabelską ironją w spojrzeniu. Cała persona jego, jakby na sprężynach zrobiona machinka, odznaczała się nadzwyczajną ruchliwością. Czoło miał ogromne z dwoma wielkimi po bokach guzami. Po krótkiej rozmowie pokazało się, że to był malarz; a ponieważ oddawna życzyłem sobie mieć w kościele obraz męczeństwa mego patrona, Ś. Wawrzyńca, zrobiłem mu więc propozycję, czyby nie mógł się tego podjąć? Zgodził się chętnie na moje żądanie, nawet jakiś blask artystycznego zapалу ożywił jego oczy, ale kiedy idąc z nim do dworu, wspomniałem o honorarjach, chudy wstrząsł się cały, zaczął dryptać na miejscu, jak gdyby nóżkami bębnił po ziemi, wyrabiał różne grymasy, ciągle piszcząc desperackim głosem: *Der Herr will dich kaufen! Martinchen! dich selbst, mit Fleisch und Blut, Martinchen!* — nareszcie strącił sobie kapelusz z głowy, i podbiwszy go nogą, jak piłkę, w najzabawniejszych susach umknął do swojej gospody. Podniosłem artystowski kaszkiet, i powróciwszy do dziwaka, z wielką trudnością poprawiłem moją nieostrożność. Żona przyjęła go jak mogła najuprzejmiej, czego się nie spodziewałem, Antosia słuchała do później nocy z osobliwszym zajęciem się mistycznej jego rozmowy o malarstwie. Zaraz nazajutrz naciągnął płótno i zaczął malować obraz, ale dla roboty wybrał sobie umyślnie pokój na górze, zawsze starannie się w nim zamykał i nikogo do siebie nie wpuszczał. Wieczory przepędzał z nami, zadumany i milezący, jeśli nie było Antosi w pokoju. Wtedy

niczego nie można się było od niego dowiedzieć; zdawało się, że usta jego nie umiały nic więcej wymówić, jak: — *Fräulein Antosine zürnt doch nicht?*—Ale kiedy Antosia siadzie koło niego, albo pozwoli mu towarzyszyć sobie na spacerze, wtedy język i oczy, i cała figurka jego przybierają nadzwyczajną ruchliwość; niemiec szwargocze, i kręci się, i grymasuje za dziesięciu. Z początku zwracaliśmy uwagę na ich rozmowę, lecz przekonawszy się, że w niej nigdy nie było nic do zganienia, oprócz może egzaltacji malarza, bez której zresztą nie mógł słowa powiedzieć, patrzeliśmy na nich potem tylko zdaleka. Po niejakim czasie artysta zaczął straszne dziwactwa wyrabiać, a Antosia drwie sobie z niego. Nie podejrzewaliśmy bynajmniej, że ta nowa fiksacja pochodziła z miłości, i miłości nieszczęśliwej. Antosia zrobiła z nim to samo, co z innymi: doprowadziła go do szalu, a potem w jednej chwili potargała całą ognistą tkanę jego affektów. Prawdę powiedziawszy, artysta powinien był się sam domyślić, że kolligacja z naszym domem z wielu względów była dla niego niedorzecznem marzeniem; wszakże nie dziwnego, że mu ta myśl nie przyszła do głowy, bo passja i rozum w jednej kwaterze nigdy nie mieszkają. Owo w tym to czasie, o niezwykłej porze, rano, malarz wszedł raz do salonu, i zjakaś rezygnacją prosił córki, żeby mu ostatecznie powiedziała, czy go kocha lub nie? Antosia siedziała na ottomance z pieskiem na kolanach, i na zabawne pytanie artysty odpowiedziała mu z ironją: Pozwalam panu wymalować mój portret i zapytać się u niego o odpowiedź. — Niemiec osłupiał, wytrzeszczył dzikie oczy, uderzył się pięściami w skronie i w szaleństwie wybiegł z pokoju. Nie znaleziono go nigdzie. W jego stancji leżały na podłodze poszarpane kawałki niedokończonego obrazu Ś. Wawrzyńca, na których zostały ślady cudownego pędzla. W kilka dni Antosia zaszła na ospę naturalną, która pomimo największej ostrożności, zupełnie twarz jej oszpeciła. Z całej piękności zostały jej tylko owe śliczne czarne oczy. Rozpacz biednej dziewczyny, kiedy pierwszy raz spojrzała w lustro, nie jestem w stanie opisać. Dla uniknienia szyderstwa świata, postanowiła nikomu z obcych się nie pokazywać, wyrzuciła wszystkie zwierciadła ze swojego pokoju i siedziała w nim kamieniem, ciągle płacząc i martwiąc się bez miary. Również w rocznicę fatalnej sceny z malarzem wieczór był cudownie piękny, Antonina siedziała samotna w swoim pokoju, przy oknie, które wychodziło do ogrodu, wtém ktoś wybiegł z poza drzew, trzymając przed sobą ten sam obraz, który kupiłeś na licytacji, i postawił

go przed samém oknem. Zobaczywszy cudowny konterfekt dawnéj swojej urody, nieszczęśliwa wydała przeraźliwy krzyk rozpaczy, któremu w téj saméj chwili odpowiedział przeciągły, okropny śmiech kogoś za obrazem, i ztamtąd rozległ się głos: *Schön Liebchen! schön Liebchen! uhu! uhu! bin verückett geworden!* Od tego momentu jakieś obląkanie napadło na biedną naszą córkę, i wkrótce potem umarła. Co się zrobiło z artystą, nie wiem; później dopiero dowiedziałem się, że tu w Warszawie siedział u Bonifratrów, cichy, ponury, z wzrokiem sztywno utkwionym w swoje ma-
lowidło.

ZNAJOMA OSOBA.

P. Kto pierwszy był wynalazcą czarnoksięztwa?
O. O nego Chama, który ojca swego wyśmiewał, syn Zoroastres wynalazł naukę czarnoksięztwa, był *bowiem* królem Baktrjanów w Persji, a to wprzód ośmuset lat przed zbudowaniem Troi. Tenże wyuczył się od czartów téj zaraźliwój nauki.

Rozmowy T. SZCZUROWSKIEGO. *Xięgi VI. pag. 353.*

Po kilku dniach drogi, p. Chryzanty o świcie stanął przed wrotami rodzicielskiego domu. Jesienny ranek był wilgotny i mroźny, gęsta mgła zalegała powietrze, tak, że światła Bożego nie było widać. Młodzieniec przeziębły, znużony podróżą, wysiadłszy z powozu, z rozpędu pobiegł do wrót, żeby prędkiej w ciepłym pokoju odpocząć, wtém uczuł pod nogą, że nastąpił na żywego człowieka, i w téj samój chwili ozwał się cichy jęk:

— A dyć przynajmniej skonać mi pozwólcie!

— Eheu! wrzasnął pan Chryzanty, wszelki duch Pana Boga chwali! Kto tu leży? odzywaj się!

Odpowiedzi nie było. Zdziwiony jął się baczniej przypatrywać, i spostrzegł zgrzybiałą jakąś białogłową w odartém odzieniu, w kłębek skuloną u samój bramy, drżącą od chłodu i słoty i prawie napół umarłą.

— Co tu robisz? niewiasto! — spytał łagodniejszym tonem.

— Widzisz, człeczce, odrzekła stara mdłym głosem, zem się tu przywlokła nie na żywot, ale na śmierć.

— Lepiejby wam, matko, w swojój chacie poczeiwie Bogu du-

cha oddać, jak walać się w ostatniej godzinie pod cudzemi wrotami.

— Coś ty za człowiek? szybko spytała owa niefortunna niewiasta, i podniósłszy się nieco z kałuży, a potrząsając głową, na której wiatr jesienny ostatki siwych włosów rozwiewał, dodała rozpaczliwie: Azali świata nie widziałeś? dzieciuchu! Ptaki mają gniazda, wiley mają łożyska, a stara i ślepa czarownica nie ma kąta, gdzieby żywot mizerny zakończyć mogła. Czemuż nie wiesz tego, co wszystkim wiadomo?

To powiedziawszy, zatrzymała się nieruchomie z twarzą zwróconą na p. Chryzantego. Wtedy dopiero dostrzegł, że istotnie była ślepa. Od długiego widać cierpienia, od poniewierki i głodu, na wynędzniałych licach kości z pod skóry sterczały. Litość go wielka ogarnęła, nie mógł patrzeć na tę styraną siwiznę, i ujawszy suchą jej rękę, rzekł dobrotliwie:

— Wstańcie, matko, wypocznijcie sobie przy ciepłym kominie. Każę wam dać strawy, i, jeśli chcecie, poszlę po księdza.

— Coś ty za człowiek? jeszcze raz zawołała niewiasta. Azali nie powiedziałam ci, że jestem czarownicą? Choćbyś był najstarszym w tym pustym dworze, o żadną łaskę cię nie proszę, pozwól mi tylko pod tą bramą ducha oddać, a zaświadczę o tobie na drugim świecie, że miłościwe masz serce. Tylko od tych wrót mnie nie odpędzaj! Wczora kiedy przyszedł, psy rzuciły się na mnie jak wściekłe, ale wycierpiałam złość ich, i widzisz, że teraz więcej mnie nie gryzą.

— Prawdaż to żeś ty czarownica?

— Spytaj staręj dworskiej czeladzi; powiedzą ci, żem nieboszczkę ich panię oczarowała, cha, cha, cha! Okropnie zaśmiała się stara i boleśnie szepnęła w pół-głosu: Oczarowałam moję czarobrewę! oczarowałam dziewczeczkę, którą piersi moje wykarmiły!

— Makryna! krzyknął Dewilski, i serce mu zadrżało wspomnieniem lat dziecinnych, i tajemniczych gadek, które o niej słyszał. Pójdź do mego domu, biedna kobyto, biedna mamko mojęj rodzicielki...

— Panicz! panicz! przeraźliwie wrzasnęła stara, i zaczęła sobie oczy rozdierać, jak gdyby jeszcze przejrzeć mogła, a potem załamawszy suche, żylaste ręce, jęknęła z rozpaczą: Nie sądzono mi było oglądać dorosłe orle!...

Zaraz ją tedy z rozkazu p. Chryzantego przeniesiono do tego

samego pokoju, gdzie niegdyś, jako powiernica półkownikowej, miała swoje siedzibę. Trudno sobie wyobrazić jej radość. W pierwszej chwili nie chciała jeść, pić, ogrzać się, wypocząć, tylko pokój naoslep obchodziła i jak dziecię z nieumiarkowaną rozkoszą dziwiła się, że wszystkie sprzęty zostały na tych samych miejscach, gdzie dawniej były. Gbyby Pan Bóg pierwszym naszym rodzicom pozwolił był wrócić z ziemi do raju, nie cieszyliby się więcej niespodzianém szczęściem, jak ta biedna, styrana białogłowa. Pan Chryzanty, opatrzywszy pierwsze jej potrzeby, kazał wypocząć, a sam wyszedł, mając zamiar, jak się nieco polepszy zdrowie staruszki, dowiedzieć się od niej wielu szczegółów o matce.

Po północy dano mu znać, że Makryna usilnie chce się z nim widzieć. Pobiegł więc bez zwłoki i zastał ją mocno wzruszoną i niespokojną. Kiedy się zbliżył do niej, rzekła mu skwapliwie:

— Widziałam moje czarnobrewę! moje panią!

— Bój się Boga, niewiasto! rzekł pan Chryzanty surowo, — a u kogo oczu pożyczylaś, żeby zobaczyć jakieś duby smalone?

— Duby smalone! O moje paniątko! nie mów tak o rodzonej matce.

— Ale cóż bo pleciesz, kobięto, jakiemież oczyma mogłaś ją widzieć?

— Temi, paniezu, co nigdy nie ślepną, nigdy nie śpią, nigdy nie zwodzą. Tak jak jestem pewna, że teraz stoisz przedemną, tak samo wiem, że ona tu była.

— Słyszałaś moje stąpanie, rozmawiam z tobą, to co innego.

— Właśnie tak samo słyszałam szelest jej sukni, kiedy się zbliżała do mnie, a głos jej znam doskonale; wiem, że to ona mówiła do mnie: Makryno! mój chłopczyzna wkrótce się żeni; panna młoda przyjechała z nim razem; tylko księdza brakuje. Niedługo wszystko się skończy. Usnij sobie Makryno, usnij!

Pan Chryzanty pobladł jak chusta, położył palec na czole i zadumał się. Wtém czarne oczy w dziwnym blasku zajaśniały przed nim, i zalotnie mrugając, zdały się mówić: Tak, tak, ta stara szczerą prawdę ci mówi, narzeczona jest przy tobie. Czyliż to ma być panna młoda? pomyślał sobie, i żeby nie zdradzić swego wzruszenia przed Makryną, rzekł jej sucho:

— Usnij, usnij, Makryno! tak, jakeś słyszała, niewiasto! a więc nie mów o takich rzeczach.

— O, ja usnę, paniczku! — rzekła z żalnością starszka, ale mnie już więcej nie obudzicie.

W kilka dni potem umarła! Pogrzebiono ją w cichej mogile, u nóg pani, którą mléką swoją wykarmiła. O to też tylko błagała od pierwszej chwili, w której po tylu latach wróciła do samego dworu swojej miłej czarnobrewy.

WYPADAŁO SIĘ TEGO SPODZIEWAĆ.

.... Obstupui.....
Steteruntque comae.....

VIRG. *En. III.*

P. Chryzanty markotnie sobie przesiadywał sam jeden w pokoju. Czarne oczy ludziły go coraz więcej; prawie nieustannie już je widział przed sobą, i dziwna myśl o małżeństwie z niemi boleśnie passowała się w mózgu z resztą zdrowego rozsądku. Rozsądek powoli ustępował, i kwestja wyjaśniała się, jak zwyczajnie, na korzyść tego, czego pragnęło serce. Kilka razy chciał osobiście pojechać do księdza i naradzić się w tym przedmiocie, lecz wstyd go zawsze wstrzymywał.

Wieczorem w wigilję Nowego Roku oczy więcej jak kiedykolwiek dokazywały. Przymilając się na różne sposoby, wdzięcząc się, używając to wesolój kokieterji, to smętnego spojrzenia, to małego niby gniewu, to błagającej o litość łezki, doprowadziły biednego fantastyka do takiej rezolutności, że się porwał z krzesła i głośno zawołał: Ożenię się z wami, śliczne oczki! tylko dajcie mi choć chwilkę odpoczynku. Zakłęte oczy dziwną zablysły radością, przyjęły wyraz błogiej spokojności i znikły. P. Chryzanty chciał natychmiast jechać do księdza, ale na dworze szalała okropna zimowa zawierucha, szyby w oknach brzęczały od podmuchów wiatru i uderzeń przemarzłego śniegu; siadł sobie więc przy kominku, dorzucił drew do ognia i pogrążył się w marzeniach. A ponieważ szkaradna pogoda, osobliwie zaś zimowy szturm i huczenie akwilonów w kominowej trąbie najdoskonalej do snu usposabiają, przeto i p. Chryzanty nie ustrzegł się téj kolei, i wkrótce bohatersko zachrapał.

Wtém drzwi się cicho rozwarły, i ks. Bernardyn z poblizkiego klasztoru wszedł do pokoju, cały drżący od mrozu.

— Niech będzie pochwalony, rzekł u progu. Spodziewam się, że jasny pan na tę straszliwą noc dasz mi gospodę w swoim domu.

— Na wieki! odpowiedział pan Chryzanty, i biegnąc skwapliwie na jego spotkanie, dodał: Zmiłujże się, wielebny ojcze, za kogóż to mnie masz? Dziękuję Bogu, że mi zesał tak drogiego gościa. Musiałeś nie mało wycierpieć od tój zawieruchy!

— Na życiu nie pamiętam okropniejszej pogody! Wichher gwałtowny i naskrós mnie przejął, śnieg w polu wszystkie drogi zasypał, a noc tak ciemna, że o kilka kroków nie widać.

— No, siadajże, Wielebny, bliżej przy ogniu i ogrzej się, a póki wieczere przyniosą, pogawędzimy sobie *de omnibus rebus in coelo et in terra*; siadaj, zmiłuj się.

Z początku rozmowa toczyła się kategorycznie i spokojnie. Zakonnik opowiadał, jak się był wybrał z klasztoru chrześć dziecię u p. Sobka w Lipnicy; jak ztamtąd po obiedzie wyjechawszy, został na drodze zaskoczony ową straszliwą zawieruchą; jak kilka godzin błądził, i wreszcie prawie cudownym sposobem, po zmówieniu gorącej modlitwy do Matki Boskiej Częstochowskiej, na gościniec znów trafił. Rozprawiali i o tём i o owém, i przy wieczery dyskurs przyzwoicie winkiem podsycali. Wszystko szło jak najlepiej, tylko po niejakiem czasie wszczęła się między nimi żwa-wa sprzeczka.

— Powiadam wam, wielebny ojcze! zawołał p. Chryzanty z wielkim animuszem, że ja żyć nie mogę bez tych oczu, i nie wypuszczę was z domu, póki mi z niemi ślubu nie dacie.

Bernardyn głośno się rozśmiał.

— Ja nie żartuję, rzekł znów gospodarz, nie puszcę z domu i kwita!

— No i cóż? odpowiedział Bernardyn spokojnie, — to zostanę, wszakci tu nie turma.

— Hm! i ta się może znaleźć.

— Dla bezbronnego zakonnika? dla gościa w szlachetnym domu? temu nie mogę wierzyć. Pan sobie jesteś w krotochwilnym humorze.

P. Chryzanty w wielkim frasunku targał się za czuprynę, wstał od stołu, chodził po pokoju robiąc najdziwaczniejsze grymasy, narzeczcie usiadł znów i rzekł:

— Zdaje ci się, żem w wesółym humorze? gdzie tam, jestem w rozpacz, że mi nie chcesz uczynić tego, o co cię molestuję.

— Bo nie mogę, odrzekł zakonnik.

— Dla czego?

— Bo żądanie twoje nierozumne.

— Jak to nierozumne? krzyknął zapaleczywie p. Chryzanty i ręką w stół uderzył.

Zakonnik ręce złożył na piersiach i milczał. Dewilski uspokoił się natychmiast, łzy mu stanęły w oczach, wziął obrażonego za rękę i zawołał z żalem:

— Daruj mi, ojcze! nie wiesz jak jestem nieszczęśliwy!...,

Rozszlochali się obadwa i dawną zgodę odnowili. Wtedy dopiero *da capo* zaczęli rzecz roztrząsać bez hałasu i z właściwą powagą. Bernardyn dowodził, że małżeństwo może być udzielane tylko żywym osobom, albowiem celem jego jest pocziwe życie na ziemi, tudzież wychowanie dzieci na chwałę Bożą i pożytek kraju. Pan Chryzanty powtarzał ciągle, że chociaż rozumem potępia myśl swoją, jednak w sercu czuje, że życzenia jego powinny się ziścić. Mówił, że jeżeli może widzieć przed sobą oczy bez ciała i tyle myśli w nich czytać, to i ślub z niemi nie jest niepodobny. Ksiądz słuchał cierpliwie i uśmiechał się.

— No, mój panie, rzekł nareszcie, zgadzam się zacząć obrządek, lecz jeżeli twoja narzeczona nie wypełni jakiej formalności, jeśli nie odpowie na zapytanie, albo ręki nie poda, to natychmiast wszystko przerwę. Spodziewam się tym sposobem najlepiej przekonać cię o niepodobności spełnienia twych życzeń. Czy zgadzasz się?

P. Chryzanty zaczął się nieco frasować, przewidując, że ze strony przyszłej małżonki znajdą się konieczne przeszkody, lecz w tej chwili przy samych drzwiach pokazały mu się owe cudowne oczki i tak wesoło się wdzięczyły, iż nabrawszy stąd otuchy, śmiało zawołał:

— Zgadzam się.

Położyli tedy kobierzec na środku komnaty i zrobili wszystkie przygotowania. Potem pan Chryzanty stanął na kobiercu.

— A gdzież panna młoda? — spytał zakonnik.

Młodzieniec się obejrzał ku drzwiom, i w tej samej chwili dziwne oczy pędem błyskawicy poleciały ku niemu i zatrzymały się po prawej jego stronie, jak raz na równi z jego oczyma. Sam ksiądz je widział tą razą. P. Chryzanty drżał jak liść, włosy mu

na głowie stanęły. Kiedy kapłan spytał o imię panny młodej, pokazały się w stosownej od oczu odległości małeńkie usteczka i skromnie odpowiedziały: — *Antonina*. Ten sam głoszek odpowiadał i na inne zapytania. Kiedy wypadło stałą związać ręce państwa młodych, niebawem wysunęła się pulchniutka dłoń niewieścia. Narzeczcie kiedy się wszystko skończyło, zegar wybił północ, i pan Chryzantynagle ujrzał przed sobą lekką, eteryczną postać swojej małżonki, z owemi ślicznemi czarnemi oczyma, które go tak oczarowały w obrazie, ale z twarzą mocno od ospy zeszpeconą. Pelen zdumienia i trwogi nie mógł nieborak słowa wyjąkać. Stał jak skamieniały. Tymczasem niewiasta, jako nienależąca do tego świata, zupełnie była spokojna. Powiedziała mu w kilku słowach, że oczyma najwięcej za życia zgrzeszyła, przeto sądzono jęj było temi samemi oczyma dopóty pokutować na ziemi, póki się jaki mężczyzna nie zgodzi z niemi ożenić. Podziękowała mu, że ją od pokuty wybawił, i rzekła:

— Ty tam nie pójdziesz, gdzie ja wrócić muszę, a ja przy tobie zostać nie mogę, niechże więc ten sam kapłan, co nam ręce związał, teraz je rozwiąże, iżbyś znów był swobodnym. Nie frasuj się, że tracisz żonę: wkrótce znajdziesz piękniejszą odemnie niewiastę, co ci tę stratę wynagrodzi.

Dano im rozwód, i Antonina znikła.

Nazajutrz rano p. Chryzanty, zbudziwszy się ze snu zapytał służącego.

— A co? czy wstał już ks. Bernardyn?

— Jaki Bernardyn? odrzekł zdumiony sługus.

— Ten co w nocy przyjechał.

— W nocy, panie, nikt nie przyjeżdżał, chyba się panu śniło.

Hm! czyliżby to istotnie miał być sen? pomyślał sobie pan Chryzanty; wszakże od tego czasu nigdy już nie widział tych dziwnych oczu, a wspomniawszy, że i wróżba Makryny już się spełniła, poczuł się zupełnie spokojnym, przytomnym, poważnym człowiekiem. Zdało się, że mu ktoś kamień odwalił od serca, albo *ćwiek wyciągnął ze łba*. Zaczął bywać u sąsiadów, bawił się wesoło i całą zimę przesiedział na wsi. Tego zaś, co wprzód marzył, nie miał przyczyny żałować, bo ufał mocno przyrzeczeniu Antoniny, że wkrótce spotka piękniejszą od nięj niewiastę.

DWIE PRZYJACIÓLKI.

O, wer einen Freund auf Erden hat, der halte
ihn doch fest, denn die Welt ist so arm für ein
fühlendes Herz.

JEAN PAUL.

.....Une pente insensible
Va du monde réel à la sphère invisible;
La spirale est profonde, et quand on y descend
Sans cesse se prolonge et va s'élargissant,
Et pour avoir touché quelque énigme fatale
De ce voyage obscur souvent on revient pâle!

VICTOR HUGO.

Po wyjeździe p. Chryzantego z Warszawy, Różia, oprócz kościola, prawie nigdzie nie wyjeżdżała, a na wieczorach w domu swojej matki z wielką dla młodzieży była obojętnością. Każdy też od niej się odstryczał, szczerze ubolewając nad biedną dziewczyną. Nie można było spojrzeć na nią bez wzruszenia, tak głębokie znaki tęsknota serca na bladłej twarzy wypiętnowała. Bywało, kiedy goście w najlepszym humorze, a biedna Różia wejdzie do salonu i cicho przy staruszcze usiądzie, to, zda się, żalność wieje od niej na całe towarzystwo, taka się robi cisza i smętność. Przybycie państwa Miecznikowskich na mieszkanie do stolicy było dla niej prawdziwą pociechą. Przyjaźń Maryni słodziła jęj samotne i z nikim nie dzielone cierpienia. Choć to nie każdy dziś zrozumie, a wielu nawet wyszydzi, wszakże powiem, że równy wiek tych dziewcząt, podobieństwo gustów i charakteru, a szczególnie jednakowa dobroć duszy, z dziecinnośc ich związku, zrobiły uczucie trwałe; prawdziwa zaś obu pobożność oświeciła go blaskiem nie ziemskiej jasności, uszlachetniła go i podniosła. Słodko było patrzeć na chrze

ścijańską przyjaźń tych młodych białogłów, pełnych jeszcze prostoty, bo jak czyste gołębicę unosząc się duszą nad zgorzeniem i samolubstwem ziemskim, w parze ku lepszemu światu ulatywały. Łatwo sobie wyobrazić ich radość, kiedy po kilku latach rozłąki znów się zobaczyły. Szczęśliwe, naiwne istoty! ciągle jedna drugą pytała: czy to nie sen? Zdało się, że te dziewczęta niespodzianie z dwóch końców ziemi się zbiegły. W pierwszych czasach po przyjeździe półkownikowstwa, Różia i Marynia po kolei jedna u drugiej gościły, żeby, jak dawniej u Mniszek, cały dzień nierozdzielnie z sobą przepędzić. Razem bywały w kościele, razem spacerowały, siedziały nad robótką i opowiadały sobie wszystkie dziewczęce sekreta. Różia wynurzyła się przed przyjaciółką z całym swoim przywiązaniem do Chryzantego, przedstawiła ję z zapalem piękne Dewilskiego przymioty, jego talenta, naukę, niepojęte zmiany w umyśle i wreszcie jego tajemniczy affekt do malowidła. Ubolewając nad tęm dziwactwem, dodała, że ma zamiar wstąpić do klasztoru, jeżeli matka na to się zgodzi. Marynia z opowiadania ojca wiedziała już, że p. Chryzanty zakochany był w portrecie ję siostry; wszakże widząc, że przyjaciółka ję nie wie tego szczegółu, przez jakiś instynkt delikatności niewieścięj domyśliła się, że ta wiadomość mogłaby być dla nię przykrą, i nie ję o tęm nie powiedziała. Obie się tylko rzewnie rozplakały.

Wigilję przed Nowym Rokiem dziewczęta przepędziły razem. O częm najwięcej mówiły wieczorem, każdy łatwo się domyśli. Nazajtrz rano Różia była bardzo smutna, i kiedy Marynia zaczęła ją wypytywać o przyczynę, odpowiedziała z westchnieniem:

Widziałam we śnie siostrę moję Elżbietkę...

— O, ten aniołek dobrą wieść ci zapewne przyniósł? rzekła Marynia.

— Tak, w samęj rzeczy, bardzo dobrą. Mam nadzieję, że moje cierpienia wkrótce się skończą.

— Jak to? Opowiedzże mi cały sen.

— Niema prawie czego opowiadać. Sen prosty, ale w sercu zostawił głęboką bliznę. Elżbietka siedziała przy mojem wezgiłowiu, patrzała na mnie z żałością, i kiedy zegar wybił północ, szepnęła mi z cicha: Wszystko się skończyło, p. Chryzanty się ożenił.

Marynia zbladła jak trup i krzyknęła mimowolnie:

— Jezus! Marja! A czy powiedziała ci Elżbietka, z kim się ożenił?

— Nie. Właśnie kiedy chciałam ją o to zapytać, znikła.

Marynia uspokoiła się. Widać było, że jakaś nagła myśl zatrużyła ją na chwilę. Ochłonawszy, pocieszała przyjaciółkę najczulszemi słowy; powtarzała jej, że w sny nie godzi się wierzyć, że gdyby p. Chryzanty istotnie się ożenił, toby dawno o tém wiadzano; mówiła, że wszystko jeszcze może się przemienić, p. Chryzanty porzuci dziwactwa, i ona będzie szczęśliwą drużką na weselu Rózi.

— Nie, nie — chwiejąc głową odpowiedziała Rózia, nie doczekacie się mego wesela! Elżbietka zawsze była opiekuńczym aniołem naszej rodziny, Elżbietka prawdę powiedziała. Wszystko się już skończyło! Proszę tylko Boga, żeby tobie, moja miła, dał prędzej pocziwego męża, żebym ci jeszcze mogła towarzyszyć do ołtarza, a potem, potem ty pójdziesz za moją trumną!

Marynia siliła się wszelkimi środkami odprowadzić swoją przyjaciółkę od tych smutnych myśli, lecz wszystkie jej perswazje nie zrobiły żadnego skutku, bo i sama równie była niepokojna w duszy. W tę tajemniczą dla dziewcząt noc Nowego Roku miała ona sen jeszcze dziwniejszy od Rózi, ale nie mówiła jej nic o tém, wiedząc, że zbyt bolesne sprawiłby na niej wrażenie. Pragnęła tylko zobaczyć się jak najprędzej sama jedna z matką, i kiedy znalazła nareszcie powolną chwilę, rzekła jej:

— Mamo! nie uwierzysz jaki ja dziwny sen dziś miałam.

— Coż takiego? moje dziecię! opowiedz.

— Tylko mama się nie lękaj, bo początek tego snu bardzo straszny.

Matka się uśmiechnęła i rzekła:

— Czegóż się mam bać, kiedyś ty spokojna? Mów.

— Wystaw sobie mamo, widziałam wyraźnie, jak Antosia brała ślub z jakimś mężczyzną, a podług tego, jak papa i Rózia opisywali p. Chryzantego, zdało mi się, że to był on. Obrządek odbywał się nie w kościele, lecz w jakimś pokoju, zastawionym staroświeckimi meblami. W jednym kącie stał duży ścienny zegar; na wielkim kominie palił się ogień; na środku stał stół białym obrusem nakryty, a na nim dwie świece i krucyfix. Oprócz księdza i państwa młodych, nikogo więcej nie widziałam. Antosia była w tém samym odzieniu, w którym ją pochowaliśmy, z gałązką mirtu na skroniach. Kiedy się skończył obrządek, zegar zwolna wybił północ. Wszystko to doskonale pamiętam, jak gdyby się działo w biały dzień przed memi oczyma...

To powiedziawszy, Marynia zatrzymała się, upiekła raczka i

wyraźnie czekała, żeby matka wymogła na nią koniec snu. Pani Miecznikowska doskonale to pojęła i uśmiechając się rzekła:

— Żle ojciec zrobił, że ci pozwolił słuchać opowiadania o dziwactwach p. Chryzantego. Otóż ci się wszystko to przyśniło przed Nowym Rokiem! Nie widzę w tym śnie nic tak strasznego, jak mi zapowiedziałas; raczej jestem ciekawa, na czém się to też skończy. Cóż dalej?

— Potém, mamó! podchwyciła córeczka nieśmiało, zaciemniło się w pokoju, jakby gęsta mgła go zaległa, i czas jakiś nie widziałam przed sobą. Jakiś mimowolny strach mnie ogarnął. Ale i w tój trwodze myślałam najwięcej o tём: jakby to się Rózia zmartwiła, gdyby powzięła wiadomość o tój niespodzianej niestateczności p. Chryzantego! i przyrzekłam sobie nie jój o tём zdarzeniu nie mówić.

— Miałas bardzo rozumną myśl we śnie; a może na jawie wszystko jój wygadałas?

— O, nie, mamó! ani słóweczka jój nie mówiłam. Ona i bez tego śmierć sobie przepowiada.

— Dla czego?

— Tój samój nocy i o tym samym czasie, kiedy ja miałam sen, jój pokazała się Elżbietka, i powiedziała z jakimś żalem: — Wszystko się skończyło! P. Chryzanty się ożenił. Cóżby to było, gdyby się dowiedziała jeszcze wszystkich szczegółów mego snu!

Pani Miecznikowska niezmiernie się zdziwiła. Obraz tajemniczego malarza, dziwny charakter p. Chryzantego, jego dziwniejsza miłość do portretu nieboszczki jój córki, sny obu dziewcząt, wszystko to długim pasmem myśli dręczyło jój duszę i upokarzało umysł niepojętością zagadki. Marynia mówiła dalej:

— Potém wśród głębokiego zmroku padła z góry jakaś jasność, i kiedy spojrzalam, wszystko się przemieniło koło mnie. Ani tamtego księdza, ani nieboszczki siostry już nie było, a zamiast owego pokoju znalazłam się w kościele, jakoby tu w Warszawie u ś-go Jana; stałam przed wielkim ołtarzem, w ślicznym weselnym stroju, z wiankiem róż, mirtu i rozmarynu na głowie; przedemną ksiądz proboszcz pontyfikalnie ubrany, za mną mnóstwo gości i krewnych, a między niemi, Rózia družka.

— Ale kiedy tak dobrze wszystkie okoliczności pamiętasz, to powiedz mi, *kto był przy tobie?*

— Mamó! doprawdy już to prawdziwy sen, istne dzieciństwo.

Jednakże któż?

— Znów p. Chryzanty! ale zupełnie w innej postaci, daleko przystojniejszy i bez żadnych dziwactw.

Pani Miecznikowska, hamując w sobie niepojęte uczucia, które powieść Maryni w niej wzbudziła, rzekła jęj poważnie:

— Moja córko! dobrze mówi stare przysłowie: *sen mara, Bóg wiara*. Zapomnij o tych dziwactwach, módl się do Boga. On najlepiej wie jak twoim losem rozporządzić. Nie mam ci potrzeby powtarzać, żebyś biednej Rózi nie o tém nie wspominała.

Jeszcze w tym samym dniu pólkownik dowiedział się o wszystkim od żony. Stary wojak dziwił się zbiegowi tylu niepojętych okoliczności, lecz wkrótce myśli swoje przyprowadził do porządku i rzekł spokojnie:

— Od samego urodzenia p. Chryzantego jakaś tajemnicza siła duchownego świata w jego losy się płacze. Nie wiem szczegółów, ale to pewna, że matka jego od jakichś przywidzeń w kwiecie wieku umarła. On sam, powróciwszy z cudzych krajów, nagle wpadł w excentryczność i dziwactwa. Musi w tém wszystkiém być palec Boży, moja panno! Nie szperajmy napróżno w tój tajemnicy. Tak będzie, jak Bóg chce. Co się zaś tyczy mego zdania, to gdyby się podobał Maryni syn dawnego mego przyjaciela, młodzieniec, pomimo pozornój fiksacji, pełen rozumu i szlachetnych uczuć, dla czegożbym go nie miał przyjąć za zięcia?

— A biedna Rózia?

— Ha! jużci rozumie się, że ta nieboraczka ma pierwsze prawo do ręki p. Chryzantego; sądzę też, że wbrew wszystkim snom, z nią się najpewniej ożeni.

BIELANY.

Oft greift mit eiserner Hand in die Harfe des Lebens,
Wenn sie am zartesten Klingt, gollend das düstre Geschick.

SCHULZE.

Tymczasem nadeszły Zielone Świątki. Na drugi dzień tego festu odpust w Bielanach. Cała Warszawa śpieszy tam, ażeby rano wysłuchać nabożeństwa, a potem przespacerować się po lasku bielańskim. Kto nigdy nie był na tym feście, nie ma wyobrażenia, co to za życie, co za ruch, jaka wesołość mu towarzyszy! Od samego rano tłumy ludu, pieszo, konno, w bryczkach, powozach i karocach różnego kalibru, wałą po drodze usadzonej topolami, a czółna i łódki, przybrane w kwiaty, ozdobione różnobarwnymi żaglami, płyną po spokojnych nurtach Wisły. Przyroda w tej najpiękniejszej porze lata zachwyca urokiem całej swojej wspaniałości. Drzewa i kwiaty zielenią się wokoło; lekki wietrzyk faluje wysokie żyto na polach; ptaszęta, jakby radując się z wielkiego świata, śliczniejszym zda się świergotaniem na chwałę Stwórcy dzwonią; a słońce, ten najpiękniejszy klejnot świata, w pełnym blasku tocząc się po czystym błękitcie, snopami ciska na ziemię swoje brylantowe promienie. Cóż to za rozrzuwający widok, kiedy się zacznie nabożeństwo! Kościółek bielański niewiele osób może w sobie pomieścić; dla tego też ci tylko do niego wehoda, którzy w tym dniu się spowiadają; wszyscy zaś inni wielkim tłumem świątynię Pańską otaczają dokoła, i w cieniu lasu na kolanach gorące modły do Pana Zastępów podnoszą. Wszyscy w sercu przyjmują udział w świętej ofierze, tajemniczo spełniającej się przed ołtarzem, i skromny przybytek Pański, grzmiący pobożnym pieniem, wydaje się ową arką przymierza, przed którą lud izraelski na pustyni

część Bogu oddawał. Po summie cały tłum zebrany rozsypuje się po lesie, muzyka gra w kilku miejscach, pajace figle pokazują, a kręgielnie, huwstawki i szalase, w których sprzedają się trunki i łakocie, gmin szczęśliwy bawią. Echo zmieszanego gwaru wesółych piosnek rozlega się wokoło. Rodziny zamożniejszych mieszczan, z przyniesioném z domów jedzeniem, w chłodzie usiadłszy, obiad konsumują; a wyższe towarzystwo przechadza się po lesie, ciesząc się ogólném weselem. Żadnych tam niemasz wyrafinowanych ceremonij, żadnej przymuszoneści; wszędzie zupełna swoboda i widok jakby wiejskiej zabawy. W tym dniu kobiety najgustowniej się stroją, młodzież w najświeższém występuje odzieniu, słudzy nawet odbierają nową liberję. O, co to za szczęśliwy dzień! Z jakim upragnieniem wyglądają go młode dziewczęta! Ileż to cukierków zjedzą w tę dobę! wiele komplementów, grzeczności i wierszyków usłyszą od chłopców! Matki, co najsurowiej cały rok patrzą za córkami, w Bielanych nieco więcej dają im swobody, i kto kilka miesięcy nie mógł pannie słówka powiedzieć o swoich uczuciach, w ten dzień może spacerować z nią pod rękę, i cały sonet na jęj pochwałę złożony zadeklamować. Zabawa trwa do późnej nocy, a dla gminu całe trzy dni.

W czasie tego festynu, Rózia i Marynia, postrojone jak laleczki, jaśniające urodą, przechadzały się wzdłuż gościńca, przeryniającego las bielanski. Rózia była smutna, i mówiła swojej przyjaciółce, że to ostatni jęj spacer w Bielanych. Nikt im nie towarzyszył, wszystkich bowiem oddawna odstraszył smutek biednej cierpiącej. Weseli ludzie szukają wesółej kompanji. Z harcującą po gościńcu na dzielnych koniach młodzieży, znajomi spotykając się z niemi, zatrzymywali się na chwilę, i oddawszy rodzicom ukłon, a do dziewcząt kilka słów przemówiwszy, w misternych susach i karakolach, sadząc się jeden przed drugim, odjeżdżali. Szczęśliwi! szepnęła Marynia, znaleźli sobie porę popisania się z rycerskim duchem; tylko po cóż taką obfitość pomady i olejków spotrzebowali, że o sto kroków daje się czuć zapach magazynu kosmetycznego? Wtém w niejakięj odległości od nich kłęb kurzu wzbił się na drodze, i w tejsze samęj chwili, jak gdyby z chmury wypłynął, pokazał się czwaujący jeździec. Koń gorącej krwi tureckiej z osobliwszą lekkością sadził po gościńcu, a chociaż w powietrzu była cisza, tak, iż liście na drzewach ledwie się chwiały, wszakże od bystrego pędu rumaka wiatr zdawał się rozwiewać rozpuszczoną jego grzywę. Jeździec był w codziennym rejtraku, i tak zajęty

szlachetnym zwierzęciem, że na nikogo ze spacerujących nie zwracał uwagi. Rodzice i dziewczęta zdaleka go poznali. Różia ledwie nie zemdlała; Marynia jakby od uderzenia elektrycznego prądu, nagle zadrżała i żywy rumieniec pokrył jej lice; obie matki ogarnęła skryta niespokojność; jeden tylko pólkownik zachował zupełną przytomność, i kiedy jeździec porównał się z niemi, i widać było, że popędzi dalej, jeżeli go nie zatrzyma, zawołał głośno:

— P. Dewilski! a cóż to? na starych znajomych i spojrzeć nie raczysz?

Jeździec natychmiast poznał Miecznikowskiego, i z wielką radością tak mocno szarpnął konia munsztukiem, że dzika bestja, od urodzenia nie doświadczywszy takiego bólu, zaczęła się straszliwie miotać na wszystkie strony, brykać i dębem na tylnych nogach chodzić. P. Chryzanty był *in summo periculo*. Kobięty strwożone przeraźliwie krzyknęły, pólkownik milezał i z ukontentowaniem przyglądał się zręczności i hippodromicznemu talentom jeźdźcy, który wkrótce rozjuszonego rumaka do posuszeństwa doprowadził. Koń stanął na miejscu, gryzł gwałtownie żelazne wędzidło i kopytem rył ziemię, a p. Chryzanty całą kompanję mile przywitawszy, oświadczył, że właśnie tego dnia rano przyjechał ze wsi i z tój przyczyny nikogo jeszcze nie mógł odwiedzić. Kiedy tych słów domawiał, wzrok jego padł na Marynię i nieruchomie na nią się zatrzymał. Dziewczyna spuściła oczy. Dewilski, jak posąg Komandora w *Don Juanie*, siedział na koniu bez znaku życia z oczyma sztywnie w twarz nieznanomęj mu dziewczyny utkwionemi. Wszyscy na niego patrzyli z podziwieniem.

— Cóż to za czary znów dzieją się z waszmością? rzekł narzeczcie pólkownik, patrzysz na moję córkę, jakbyś ją żywcem chciał połknąć. Proszę pana porzucić te dziwactwa.

— Dziwactwa? dziwactwa? podchwycił zbudzony z zadumania młodzieniec. O! mój Boże! już tego przynajmniej nie nazywaj pan dziwactwem. Od wigilji Nowego Roku, to, co dziś widzę na jawie, widziałem ciągle w wyobraźni, w najslodszych chwilach moich marzeń! Gdyby mnie kto przekonał, że to jest nie więcej jak *dziwactwo*, całą machinka mego rozumu rozprzęgłaby się. Ale nie na tём miejscu i nie w obecnym czasie wypada mi wytłómaczyć się panu obszerniej. Jutro rano stawię się z winnym szacunkiem, i wtedy pan sam całą sprawę osądzisz. Teraz żegnam państwo!

Dał koniowi ostrogi i jak błyskawica znikł im z oczu.

Całe towarzystwo spojrzało po sobie w milczeniu. Nikt słowa

nie wymówił, a jednak nikogo między niemi nie było spokojnego. W każdym sercu rozlegało się echo ostatnich słów p. Chryzantego, jak dzikie dźwięki arfy, kiedy kto gwałtownie szarpnie wszystkie jęj stróny. Biedna Różia! biedna jęj matka! biedna i Marynia! dla której w tym momencie zaczynała się bolesna walka między miłością i przyjaźnią. Stali wszyscy na miejscu jak wryci. Tajemnicza trwoga, jak wąż, wiła się po zakątkach każdego łona. O arfo! wiele bolesnych dźwięków może z ciebie wypłynąć, ale są ciosy tak gwałtowne, że z ostatnim jękiem cierpienia, pęka jedna stróna po drugiej, i nikt już nie zdoła ci ich powrócić!

OSTATNI SEN.

A wandering bark, upon whose pathway shone
All stars of heaven, except the guiding one!

MOORE.

Czas upływał. Nadszedł i wielki post przedwielkanocny.

W pokoju oświetlonym młdym światłem nocnej lampy leżała w łóżku biedna suchotnica i przez sen szeptała niezrozumiałe słowa. Widać było, że litościwe Niebo zsyłało jej jakieś błogie marzenia, bo młoda, ale wychudła od cierpień twarz nieszczęśliwej jaśniała niewymówną słodyczą. To była Różia. U wezglowia nieustannie pochylając się od bezsenności, siedziała sędziwa jej matka, a o kilka kroków od niej smutna Marynia przy stoliku troskliwie przyrządzała napój dla chorąg. Zegar bił pierwszą godzinę. Postawiwszy imbryczek z napojem na framudze od pieca, Marynia na paluszkach zbliżyła się do pani Szczeropolskiej i błagała ją, iżby, po tylu bezsennych nocach, wypoczęła sobie choć parę godzin; przy cierpiącój zaś przyrzekała czuwać na jej miejscu.

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko, za twoją dobroć, rzekła staruszka. Dziękuję ci za toskliwość o mnie, a jeszcze więcej za staranie około Rózi, ale już ja tu zostanę. Ja stara, łatwiej się bez snu obejduję, a ciebie mi żal, moje dziecię! Wszak to już piąta noc z rzędu, którą kamieniem przesiadujesz przy mojej córce. Posłuchaj mnie choć dziś, idź wywczasuj się, żeby ci ta bezsenność na zdrowiu nie zaszkodziła.

Wszczął się tedy między matką i przyjaciółką cichy spór: komu zostać przy Rózi? obie się rozrzewniły; wszakże po niejakiem czasie pani Szczeropolska, pobłogosławiwszy córkę i jej miłą

ochmistrzynię, wolnym krokiem wyszła z pokoju, chustką lży z oczu sobie ocierając.

Marynia spojrzała zbliżona na twarz cierpiącej, a widząc, że spokojnie, poszła przed obraz Matki Boskiej, padła na kolana i gorąco modliła się do tej najpierwszej orędowniczki naszej przed Bogiem. W tej modlitwie slychać było nieustanną prośbę, żeby ta Matka miłosierdzia dała jój zapomnieć o panu Chryzantym, a Rózi dawną jego miłość wrócić. Wtém chora przebudziła się ze snu i ochryplym głosem zawołała:

— Pić mi dajcie.

Marynia podała jój szklanke napoju, ale tylko co oderwawszy się od modlitwy, cała była zmieszana, rozczulona, zalana łzami. Różia dostrzegła tego i rzekła do niój:

— Czegóż płaczesz? moja droga Maryniu! Siądź tu przy mnie, chcę z tobą pomówić otwarcie, jakbym księdzu na spowiedzi wyznała i jak Bogu na strasznym sądzie odpowiem. Dawno już zabierałam się to uczynić, ale zawsze odkładałam nadal, sądząc, że mnie uprzedzisz. Zresztą dobrze się zrobiło, że nie przyszło między nami do explikacji, bo dopiero teraz jestem po chrześcijańsku do tego usposobiona. O! żebyś ty wiedziała, jaka zmiana zrobiła się we mnie przed kilku chwilami! Nie przerywaj mi, opowiem ci wszystko.

O twojój przyjaźni nigdy nie wątpiłam, moja miła towarzyszko! bo znam z gruntu twoje dobre i tklive serce; ale od czasu twego poznania się z Dewilskim w Bielanych, a osobliwie odtąd, jak przez plotki znajomych dowiedziałam się, że on bez ciebie żyć nie może, że i ty go mocno kochasz, i że rodzice twoi odkładają wasz ślub jedynie przez wzgląd na cierpienia biednej suchotnicy, o! od tego okropnego momentu boleś moja przebrała wszelką miarę! trucizna ognistym potokiem rozlała się po mojem sercu! Były chwile rozpaczy, w których ciężkiego dopuszczałam się grzechu; narzekałam na Opatrzność, nienawidziłam Dewilskiego, nienawidziłam ciebie, o! szczególniej ciebie! Twoja łagodność, troskliwość o moje zdrowie, nocy przy mojem łóżku bez snu spędzone, lży, pocieszenia, wszystko to, wszystko wydawało mi się udaniem, fałszem, obłudą...

Marynia szlochala w milezeniu. Serce biednej dziewczyny krajało się z żalu.

— Uspokój się, moja droga! rzekła Różia, wszystko to już się skończyło. Jeszcze wczoraj dręczyło mnie szaleństwo, miotala mną zazdrość. Teraz, dzięki Bogu, jestem zupełnie spokojna. Nie ozięblałam

dla *niego*, lecz odzyskałam dawną przyjaźń dla ciebie, i z pokorą poddaję się wyrokowi Nieba. Przebacz mi, przebacz, moja najmilsza towarzysko! ja cię obraziłam skrycie, ale okropnie, nielitościwie! Bądź lepszą odemnie i zapomnij o mojej słabości.

Obie przyjaciółki długo, długo nie mogły się powstrzymać od łez i uściśnień, choć jedna drugą starała się uspokoić. Nareszcie Różia rzekła:

— Opowiem ci w kilku słowach, jakim sposobem Bogu podołało się oświecić moje sumienie, żebym grzechu śmiertelnego nie poniosła z sobą do mogiły. Wiesz, że dziś dręczona kaszlem usnęłam ledwie przed północą. Śkoro tylko sen skleił moje powieki, zrobiło mi się jakoś ciężko na sercu i złe mury zazdrości poczęły mi snuć się po głowie. Wtém moja siostrzyzka Elżbietka, ten opiekuńczy aniołek naszej rodziny, stanęła przedemną z twarzą surową, ale też tak pełną politowania, że i bojaźń i ufność razem we mnie wzbudziła. Za co nienawidzisz twoją przyjaciółkę? rzekła mi dziwnie poważnym głosem; maszli dowody, że ci się w przyjaźni przemieszła? a choćbyś je miała, czyliż słów Bożych już zapomniała?... Strach mnie ogarnął, słowa nie mogłam odpowiedzieć, a w sercu poczułam niewypowiedzianą zgryzołę, albowiem pierwszy raz w życiu niecny uczynek mi wyrzucano. Elżbietka, ręką dotknawszy mego czoła, powiedziała: Patrz i słuchaj, biedna zazdrośnico! I natychmiast oczy moje przejrzały tak, iż widziałam nie tylko co się tu w pokoju działo, ale pokój mojej matki, mieszkanie wszystkich znajomych i *jego*; uszy moje otworzyły się, i słyszałam co wszędzie mówiono; umysł mój stał się tak przenikliwym, że w głębi dusz najskrytsze myśli czytałam. Nie mam nieprzyjaciół, prawie wszędzie mnie żałowano, ale w trzech sercach najwięcej było boleści; u mojej drogiej matki, u ciebie i u *niego*. Matka moja, strudzona bezsennością, odpoczywała, ale i we śnie moje cierpienia ją bolały. Znajomi bawili się wesoło, albo sobą byli zajęci. Dewilski myślał o tobie, a ty, ty, moja droga, modliłaś się za mnie do Matki Boskiej, a Anioł z rozkoszą chwycił twoje modły, łzy i westchnienia, które w jego dłoniach przemieniały się w jakieś cudowne, niebieskie kwiatki...

— Róziu! Róziu! na miłość Boską! nie mów dalej, zawołała Marynia szlochając, to rozrzewnienie niezawodnie ci zaszkodzi.

— Muszę skończyć, moja droga! odpowiedziała suchotnica. Owo, wzruszona swoją szlachetnością, przyznałam się przed siostrą do winy, natychmiast w sercu mojem dziwna zrobiła się przemiana.

Jakiś ogień tajemniczy naskrós je przepalał i trawił wszelką go-rycz, którą do pewnego czasu było przesyczone. Ciężar ogromny spadł mi z piersi. Oddychalam swobodnie jakimś czystym, nieziemskim powietrzem, które jak balsam lało się w oświeżone moje łono. Elżbietka rzekła mi: Pozwolono mi objawić ci jeden moment przyszłości, ażebyś lepiej mogła nad nim się zastanowić, i znów dotknęła się mojej skroni. W tej samej chwili ciało moje, jak rozbita glinianka, spadło ze mnie, uczułam się lekką jak piórko, uniosłam się razem z Elżbietką wysoko nad ziemię, i ztamtąd patrząc na ten padół, widziałam trzy osoby smętnie stojące nad świeżą mogiłą. Matka moja stała spokojna, jakby zamarzła na miejscu, ty i Chryzanty modliliście się za mnie... Niech ich Bóg błogosławi rzekłam z góry, i przeżegnałam was krzyżem Pańskim... W tej chwili obudziłam się.

— Nie płacz, moja droga przyjaciółko! Powtarzam na jawie to, co uczyniłam we śnie. Błogosławie ciebie i twego bogdanka; pobierzcie się w Imie Boże i bądźcie szczęśliwi! Tobie, Maryniu, przyrzekłam kiedyś towarzyszyć do ołtarza, i spodziewam się, że mi jeszcze sił wystarczy dotrzymać słowa. Święty Józef niedaleko; błagam was, nie odkładajcie na dłużej ślubu. Już ja to sobie wyproszę u twoich rodziców. Ale oto i biedna moja mama już do mnie wraca. Mój Boże! jaka to krótka noc tych matek, co mają chore córki!...

Teraz, Maryniu, twoja kolej odpocząć.

ZAKOŃCZENIE.

Der Schmerz um Liebe, wie die Liebe selbst, bleibt unheilbar und unendlich!.....

GÖTHE.

Das arme Herz hienieden,
Von manchem Sturm bewegt,
Erlangt den wahren Frieden
Erst, wenn es nicht mehr schlägt.

SALIS.

W połowie postu odbyło się wesele Dewilskiego z Marynią Miecznikowską. Gości proszono bardzo mało. Różia w białej sukience, z twarzą spokojną i smętnym uśmiechem na ustach, towarzyszyła pannie młodej do ołtarza. Widok tej wątłej istoty, wycieńczonej chorobą, tak, iż się chwiała od słabości, a jednak spełniającej z dziwną rezygnacją najcięższą dla niewiasty ofiarę, do łez wszystkich poruszył. Po skończonej ceremonji w kościele, odwiozła swoją przyjaciółkę do nowego mieszkania, i czule ją pożegnawszy, powróciła z matką do domu, na łożo boleści.

Na drugi dzień nie mogła już odwiedzić państwa młodych! W nocy umarła! Pochowano ją, podług wyraźnego życzenia, w tej samej białej sukience i z temi kwiatami, w których przyjaciółce u ołtarza assistowała.

Po roku znajdując się znów w Warszawie, poszedłem do pani Szczeropolskiej. Była w kościele. Stary sługa oprowadził mnie tymczasem po mieszkaniu. Gościnny i wesoly niegdyś dom jój obrócił

się w przerażające pustkowie. Staruszka odprawiła większą część sług, i wybrała sobie jeden tylko pokój nieboszezki córki. W innych pokojach nie było śladu życia; pająki porozpinały w oknach misterne siatki; zegary stały bez ruchu; pod grubą warstwą kurzawy nie widać było bronzów i adamaszku na meblach. Dreszcz mnie przeszedł, kiedy posłyszałem głuchoe echo własnych kroków wśród téj rudery niegdyś świetnych i pełnych gości salonów.

Kiedy wróciła staruszka, widziałem ją bardzo krótko, bo od śmierci Rózi nikogo nie przyjmowała. Kiedy ją chciałem pocieszać, rzekła mi spokojnie: *Bóg dał, Bóg wziął, wola jego święta!*

Petersburg,
Styczeń, 1844 r.

BŁOGOSŁAWIENSTWO MATKI

Wydawnictwo Księgarni św. Anny
Warszawa, 1900

BŁOGOSŁAWIENSTWO MATKI.

BŁOGOSŁAWIENSTWO MATKI.

Miłość była źródłem jej błędu i miłość też stała się dla niej narzędziem kary.

I.

W jednej z bokowych alei Saskiego ogrodu, późno wieczorem, młody ułan siedział sobie zamyślony na ławce i machinalnie kręślił szabelką po piasku jakieś fantastyczne figury. Chłodny wiatr jesienny świszczął między obnażonymi z liści drzewami; zegary miejskie, jeden po drugim, były dziewiątą godzinę. Nikt już nie spacerował w ogrodzie, tylko kiedy niekiedy przesmykała się jeszcze żyjąca istota w płaszczu albo w salopie i śpiesznie peregrynowała do bramy. Ułan nie myślał widać o tém, że ogród mogą zamknąć na noc, i spokojnie kręślił sobie dziwolągi.

Wtém jakiś młodzieniec w bekieszy, z przecikiem w ręku i kapeluszem *Waterproof* na głowie, zatrzymał się przed nim w milczeniu. Ułan podniósł głowę do góry, żeby rozpatrzeć śmiałka, co mu przerywał tajemniczą medytację. Nieznajomy spojrzawszy mu w oczy, parsknął wielkim śmiechem, i z najzabawniejszą miną rozpostarł ręce dla objęcia człowieka z szabelką.

— Wacław!

— Henryk!

I uścisnęli się po przyjacielsku. Widać dawno nie widzieli się z sobą.

— O szaleńcze, rzekł Henryk, od trzech dni szukam cię po całym mieście, jak szpilki w wozie siana. Rozesłałem pięciu żydów faktorów, pytałem znajomych, byłem we wszystkich kawiarniach, nie ma i nie ma Wacława! Myślałem już, żeś się raczył utopić. Ani mi do głowy przyszło, że waszmość polubiłeś sobie (zapewne dla strawności serca) samotne dumania w Saskim ogrodzie.... Powiedz, warjacie, co tu robisz w ciemnościach i na chłodzie?

— Zachowaj żarty na inny czas, a teraz powiedz mi tylko, czy dawno przyjechałeś ze wsi? i co cię do nas sprowadza?

— Od trzech dni jestem w Warszawie; jadę sobie na wojaż za granicę, *mon cher!* będę we Włoszech, w Niemczech, w Szwajcarii....

— Winszuję ci. Jedź z Bogiem, baw się dobrze.

— Brr! Jaki waszmość dziś zimny, lodowaty, doskonale nastrojony podług kamertonu jesienną temperatury. A czy nie raczysz po chłodzie wieczornej medytacji pójść ze mną do pierwszej cukierni na szlankę gorącego ponczykku? Spodziewam się, że ten wyborny elixir doprowadzi cię natychmiast do należytej równowagi fizycznej i moralnej, he?

— Aj! mój kochany! przestań mnie dręczyć, dziś jestem w złym humorze, nudzę się okropnie, pozwól mi pójść do domu, jutro sam cię odwiedzę, może będę weselszy.

— A mnie co do tego, żeś ty nie wesóły? Jutro może wyjadę z Warszawy. Chodź prędzej, opowiedz mi z jakiego źródła spłynęły na twoję duszę nudy. Mam prawo do twojej otwartości, bom ci przyczyny własnych moich nudów nigdy nie taił.

Poszli.

— Idę z tobą, trzpiocie! rzekł Wacław, ale wierz mi, że nie mam ci nie do opowiedzenia.

— Oho! już temu to nie wierzę; owszem przewiduję, że jakieś licho wplątało się do twego życia. Ty, coś był zawsze tak wesóły, coś ciągle miał na podorędziu śmiech, figle i koncepta, teraz deklamujesz mi jakieś lakoniczne perjody dziwnie pokutniczym głosem. Co to znaczy? Czyś się na serjo zakochał? czy cię zły duch namówił do poezji?

— Ale wierz mi, Henryku, że się ze mną nic nie stało; wszystko jak było dawniej; stara, oklepana historia warszawskiego życia.

— Właśnie, właśnie tej historii chcę się dowiedzieć. Wiesz? moja siostra Lucja wyszła zamaż.

— A, winszuję! Zdaje mi się, żeś pisał o tém do mnie?

— Jakże? prosiłem cię na wesele. Nie raczyłeś przyjechać i nie odpisałeś nawet. Mocno to nas wszystkich zdziwiło.

— Ach! nie mogłem; podobno byłem chory. Czy nie pamiętasz za kogo wyszła?

— Wacławie! dalibóg musisz być zakochany! miewasz sobie olbrzymie dystrakcje!

— A co takiego? a co ja zrobiłem?

— Jakże? zmiłuj się! pytasz się brata, co cię prosił na wesele rodzonej swojej siostry, czy wie za kogo ona wyszła za mąż. Cha, cha, cha! to wybornie! to śliczny materiał do komedji. Co się z tobą dzieje? biedaku!

— Nie, duszko! Przepraszam, wyszło mi z pamięci. Teraz przypomniałem sobie, za Konstantego?

— Cha, cha, cha! Konstanty od trzech lat żonaty. Wstydź się zapomnieć tak prędko naszego poczciwego Karola.

— Aha! prawda. Cóż? wszak wesele trwało cały tydzień? W Sandomierskiem i chłopci trzy dni hulają.

— O! żałuj, żeś nie był. Doskonale bawiliśmy się.

I zaczął mu opowiadać wesele swojej siostry, baliki w sąsiedztwie, polowanie, kuligi, miłości swoje i drugich młodzieńców, i inne ciekawości. Tymczasem weszli do cukierni, siedli w osobnym pokoiku i kazali sobie dać ponezu.

Rozmowa z początku podtrzymywana prawie przez jednego tylko Henryka, ożywiła się coraz więcej. Po niejakiem czasie Wacław wstał od stołu, zapalił cygaro, i chodząc po pokoju, rzekł z uśmiechem:

— Opowiem ci swoją historję, kiedy jesteś tak ciekawy.

— Brawo! zaczynaj. Domyślam się, że to pewnie jaka zawierucha w romansie.

— Ba! gorzej jak zawierucha, panienska się we mnie kocha, a matka....

— Nie pozwala jej wyjść za ciebie?

— Wzbraniać nie wzbrania, ale nie daje córce błogosławieństwa.

— Dla czego?

— Narzucą mi koniecznie starszą córkę, w której kiedyś się kochałem.

— A to zabawnie! Jakże się nazywa ta stara pani?

— Marszałkowa Starosławska. Ty jej nie znasz. Ledwie od dwóch lat mieszka z dziećmi w Warszawie.

— Nie znam.

— Poczekaj, opowiem ci wszystko, ale muszę zacząć od matki, bo ona gra w mojej historii niepospolitą rolę.

— Spodziewam się.

— Widzisz, *mon cher*, ta pani Starosławska całą swoją młodość była rezydentką po różnych dworach. Trafiały jęj się poczciwe partje, ale w każdym upatrywała jakąś wadę, i odrzucała, czekając czegoś lepszego. Chciało jęj się koniecznie dostać sobie męża młodego, bogatego, z imieniem, z światową manierą, amatora francuzechy i wykwintnego życia, a biednej rezydentce niełatwo znaleźć takiego bogdanka. Skończyło się na tém, że się zestarzała, jak się mówi, na koszu. Chciała już wstąpić do klasztoru, a przynajmniej głośno o tém mówiła, kiedy niespodzianie okoliczności się przemieniły, i udało jęj się złowić w siatkę nieboszczyka Starosławskiego. Ojciec mój był przytomny zawiązaniu się tego małżeństwa i później nieraz nam rzecz całą opowiadał. Wystaw sobie bal na wsi w Kaliskiem. Młodzież tańczy, matrony siedzą sobie i rozmawiają pocichu, panna rezydentka rej między nimi wiedzie. Wtém podeszły, lecz bezdzietny i bogaty wdowiec marszałek Starosławski, podochocony węgrzynem, zbliża się do nich w posuwistych susach, i zwyczajem dawnych Polonusów, poważnie a krotocfilnie zaczyna robić attencje i bawić opuszczone od mężczyzn białogłowy. Niewyczerpane komplementa i dykteryjki, jakich dziś nigdzie już nie usłyszysz, leją się z ust poczciwego szlacheica. Wesołość i pochlebstwa białogłów zagrzewają jego wenę. Kurzy mu się z czupryny, oczy błyszczą ogniem, rumieniec gra na licach, kładzie dłoń na sercu i przysięga się, że affekta jego są najszczerze. Słowem, oświadcza się formalnie pannie rezydentce, powtarzając ciągle: — Moja królowo! moja cesarzowo! wszak wiesz, że człowiek taki jak ja rozumie co znaczy *verbum nobile*. — Panna rezydentka płoni się, zakrywa sobie twarz chustką, pod którą tłumi śmiech mimowolny. Matrony mniej żenowane pękają ze śmiechu, mówiąc konkurentowi, że sobie z panny żartuje. — Ja żartuję? — krzyknął nareszcie Starosławski i upadł na kolana przed panną rezydentką: otóż dopóty nie wstanę z miejsca, dopóki mi *decidive* słowa nie dasz, moja królowo! moja cesarzowo! — Stało się jak sobie życzył: dała mu słowo uroczyście, a matrony lękając się, iżby marszałek wytrzeźwiwszy się na drugi dzień, nie zaparł się swego przyrzeczenia, wymogły na nim, że odciął róg od swojej chustki na szyi, i na znak przyjętej honorowej obligacji oddał go swojej narzeczonej.

Oprócz tego całe towarzystwo natychmiast wychyliło liczne toasty za pomyślność tój niespodzianej kuliigacji.

Jakie było nazajutrz zadziwienie starego szlacheica, kiedy mu powiedziano, co zrobił, kiedy panna młoda przywitała go z rogiem chustki w ręku, niełatwo sobie wystawisz. Ale ponieważ całe życie trzymał się prawidła, że *verbum nobile, debet esse stabile*, więc i w tym razie od niego nie odstąpił i ożenił się z panną rezydentką.

— A to wyborna historia! Myśliłem dotąd, że najgorszym skutkiem węgryna jest podagra, ale pan marszałek fatalniejszego doznał losu! Jakież było pożycie tój pary?

Na pozór niezłe, bo stary sodalis nikomu się nie skarżył, a pani marszałkowa umiała przy ludziach dobrze udawać rolę czułej małżonki, ale wiem, że w domu było piekło. Szlachcie dostał się pod małżeński pantofel. Żona wraz po ślubie przekreśliła wszystko w domu na francuzki manier: mężowi dopóty suszyła głowę, dopóki nie zaczął nosić kusego odzienia, lokajów postroiła w białe pończochy, sprowadziła sobie kompanionkę z Paryża, wyrzuciła z salonów staroświeckie meble, a co najgorsza, dziwnego pokroju przyjmowała u siebie gości. Marszałek ciągle się oburzał, zawsze jednak w końcu ustępował, tylko za nic nie chciał wyjechać z dóbr do Warszawy, chociaż kilkakrotnie tego się domagała.

Kiedy im się urodziła córka, Starosławski, podług kalendarza, chciał ją nazwać Małgorzatą, ale matka ani słyszeć nie chciała takiego barbarzyńskiego imienia, i nazwała ją Felicją. Ta dziewczyna od samego urodzenia stała się bożyszczem matki. Pani Starosławska wylała na nią wszystkie skarby macierzyńskiej miłości, chowała ją jak pieścidełko, i im więcej niweczyła się później zgoda między rodzicami, im więcej marszałkowa ziębła i stawiała się przykrą dla męża, tём mocniej przywiązywała się do pierworodnej swojej córki. Późniejszym dzieciom nawet imion nie dała; sam Starosławski nazwał syna Michałem, a córkę Katarzyną. Matka od urodzenia była dla nich obojętna, nie lubiła ich nawet, może dla tego, że i syn i córka byli żywym portretem ojca, z którym wtedy w jawnej już była niezgodzie. Biedne te dzieci wychowały się między służącymi. Nigdy nie puszczano ich do salonu. Znajomi ledwie wiedzieli, że pani marszałkowa oprócz Felicji, ma jeszcze inne dzieci. Dolegało to niezmiernie ojca, i takim sposobem zawiązała się najczulsza sympatja między starcem i pokrzywdzonymi od matki dziećmi. Marszałek przesiadywał z nimi wszystkie wolne

od zatrudnień chwile, pieścił, pocieszał, kształcił ich umysły i żywą wiarę wpajał w młode ich serca. Uczucie religijne, krzepione ojcowskim przykładem, podsycane upokorzeniem, przy widocznym łasce Bożej stało się węgielnym kamieniem charakteru Michała i Kasi. Ojciec mój, zajechawszy raz do Starosławskiego, zastał go w odległym pokoiku, czytającego tym dziatkom Żywy ŚŚ. Pańskich, przy jednej łojowej świeczce, wtedy, kiedy salony jego małżonki pełne były gości, gorzały światłem, brzmiały muzyką. Widok téj abnegacji starca niewymownie go wzruszył. Opowiadał nam później, co to za śliczne dziatki, jaka czuła miłość wiąże ojca z nimi i siostrę z bratem, jak smutno mu było patrzeć na ten dom rozdzielony na dwie nieprzyjazne partje! Ale pocóż ci o tém mówić? Wystawisz sobie łatwo, jakie smutne sceny zdarzały się codziennie w rodzinie Starosławskiego, i jak te swary rodziców musiały być bolesne dla młodych dziatki. Nareszcie marszałek, dla usunięcia od złego przykładu, oddał syna do Warszawy do szkół, a córkę na pensję. Tu się wychowywali, i ojciec mój każdą razą, kiedy był w stolicy, odwiedzał je i pocieszał. Przed dwoma laty Starosławski umarł, i marszałkowa przeniosła się natychmiast tutaj. W kilka tygodni po przyjeździe odkryła salon dla młodzieży, i ja jeden z pierwszych poznałem ją.

— Pewnie w grubéj żałobie?

— Gdzie tam! Nie słyszałem nawet od niéj, że niedawno straciła męża. Żyła wystawnie, dawała huczne bale. Ludzie mówili, że panna Felicja jest do wzięcia.

— A Kasia?

— Ta była jeszcze na pensji. Trzymano ją tam umyślnie, żeby nie przeszkadzała siostrze. Zresztą prawie nikt nie wiedział, że pani Starosławska ma jeszcze inne dzieci, bo w salonie jedna tylko jaśniała Felicja. Ja sam zapomniałem, co mi kiedyś ojciec mówił przed dziesięcią laty o Michale i o Kasi.

— Gdzież był pan Michał?

— W domu w tylnych pokojach.

— *Tandem* pokochałeś się w Felicji.

— A jakże? z pierwszego spojrzenia. I prawdziwie niepodobna było zostać obojętnym na tyle urody i wdzięków. Nie masz wyobrażenia co to za śliczna, czarująca, wspaniała brunetka, z ognistym czarnym okiem, bielutka, zgrabniutka, milutka, a do tego raz romansowa i sentymentalna, drugi raz żywa, szydząca, lekkomyślna, jak najmodniejsza paryzka kokietka; to łezki ma na oczach, to

śmiech spazmatyczny krzywi jęj twarzyczkę. Ja wtedy należałem do lwów warszawskich, lubiłem niezmiernie kobiety nowj romantycznej szkoły, podobne do bohaterki Sue i Sanda. Zdziwisz się niemało, kiedy ci powiem, że miłość moja nie spotkała żadnych przeszkód. Owszem, po kilku wizytach, po kilku tańcach, Felicja widocznie zaczęła mi sprzyjać i dystygować między mnóstwem swoich wielbicieli. Matka też, może nawet zbyt widocznie, okazywała mi przychylność. Kiedy stałem się prawie codziennym gościem, nazywała mnie żartobliwie synem, ztąd i ja zacząłem ją nazywać mamą, a Felicję, siostrą. To pokrewieństwo doprowadziło nas do zupełnej poufałości. Mów sobie co chcesz, a pierwsza miłość, choćby później zmarniała, zostawia jednak wspomnienia, których zatrzeć nie podobna. Nie mogę zapomnieć naszych rozmów, naszych wieczornych przy świetle księżyca spacerów, tych ognistych wybuchów dziewiczego serca, które mi się oddawało na wieki, na ziemi i za ziemią, tych nawet w późniejszym czasie dość częstych sprzeczek i prędkiej po nich zgody, przez pośrednictwo matki. Była w tém wszystkiem jakaś upajająca siła, słodycz, rozkosz, oczarowanie, prawdziwa gorączka szczęścia. Miotany namiętnością, nie znałem pokoju, nie mogłem o niczem pomyśleć z rozwagą, nawet o tém, co się ze mną działo. Chaos w myślach, chaos w uczuciach, prawdziwe pijaństwo moralne! Prawie nieustannie kochanką miałem umysł zajęty, ale myśli moje przewracały się w głowie, jak bryły rozpalonego granitu, zbite w jedną masę, nieuszykowane porządnie, nieprowadzące do żadnego zdrowego zdania. Myślałem, że tak rzekę, *całą istotą*, tak samo, jak człowiek nieustannie myśli o sobie samym, nie rozpatrując jednak siebie w każdej chwili. Nigdy nie zastanawiałem się nad charakterem Felicji, nad jęj oświeceniem, sercem, i ztąd doszedłszy do zupełnej poufałości, wcale jęj jednak nie znałem. Była to prawdziwie ślepa i szalona miłość.

Taki stan duszy nie jest naturalny, i dla tego długo trwać nie mógł. Egzaltacja wycieńczyła ostatnie moje siły zacząłem słabnąć.

— Ale mój kochany! cóż to dziwnego? przerwał Henryk, ile mi wiadomo, ty już kopę razy tak samo się egzaltowałeś i tak samo ziębleś.

— Może być, odpowiedział sucho Waclaw. Słuchaj cierpliwie. W miarę tego, jak umysł mój przychodził do równowagi, zacząłem rozpatrywać Felicję, i co chwila coś mi się w nięj niepodobało. Pełna dumy arystokratycznej, mówiła ze wzgardą o innych stanach.

Skłonna do szyderstwa, nie przepuszczała żadnej wady w swoich znajomych, szczególnie u kobiet, i sarkazmy jej były jadowne. W jej sercu nie było litości. Raz kiedy spotkaliśmy żebraka na spacerze, ofuknęła się na niego, że ją prosił o jałmużnę. Oburzyła mnie ta nieludzkość, i oddałem mu całą sakiewkę. Felicja, żeby się usprawiedliwić, zaczęła dowodzić, że większa część żebrzących nie zasługuje na litość, że to są próżniaki, oszusty, łotry i t. d. Odpowiedziałem jej zimno, że takie rozumowania mogą być bardzo mądre, może i słuszne pod względem ekonomii politycznej, ale w kobiecie pokazują brak zasadniczego uczucia. Tego wieczora poróżniliśmy się, i matka ledwie nas pogodziła. Felicja, przy całej swjej namiętnej miłości, była uparta w zdaniach, kapryśna, egzaltowana, romansowa do śmieszności. Sentymentalne jej perjury, które wprzód mnie zachwycaly, powtarzając się nieustannie, znużyły mnie kompletnie. Pragnęłem widzieć więcej naturalności, więcej prostoty w mojej kochance, albo raczej w narzeczonej; bo chociaż się jeszcze nie oświadczyłem matce, jednak z tego nazwiska *syna*, które podobało jej się używać czasami przy gościach, wszyscy uważali mnie za przyszłego jej zięcia. Prosiłem Felicji, żeby porzuciła deklamację. Ztąd częste żale, nieporozumienia, gniewy, a nareszcie posądzenia o zmianę sentymentów. Śmiałem się, kiedy mi wyrzucała obojętność, bo ta była jeszcze daleka odemnie. Nie zważając na codzienne usterki, kochałem ją, i miałem nadzieję, że jak zostanie żoną, to zastosuje się do mojego charakteru. Rachowałem na to niezłomnie. Małżeństwo i stan macierzyński sprawiają tak ogromne moralne zmiany w kobiecie, że powinniśmy je uważać jako dwa wielkie cuda, które powtarzają się przed naszymi oczyma w życiu niewiast. Widziałem nieraz piętnastoletnią dziewczynę przed ślubem, i było to dziecko; po kilku dniach nie poznałem jej, tyle już w niej było zdrowego rozsądku, powagi i przenikliwości w kwestjach serca ludzkiego, a kiedy kobieta zostaje matką, o! wtedy zdaje się, że niebo opromienia ją światłością z góry! i jeżeli tylko serce jej nie jest do szczytu zepsute, to może powstać z najniższego nawet szczebla moralnego upadku. Rachunek był zbyteczny, Bóg inaczéj rozporządził...

— Mój Wacławie! pozwól, że ci przerwę. Powiedz mi, z kąd ci się wzięła taka pobożność? Dawniej jakoś tego nie było.

— Nie w cukierni miejsce mówić o tém przedmiocie.

— Oho! pan Wacław nie żartuje! Jednak zmiłuj się, powiedz choć kilka słów, niezmiernie jestem ciekawy.

— Proszę cię, nie męcz mnie. Wiesz, że miałem ojca wielce pobożnego, który z młodych lat starał się wszczepić we mnie religję. Na nieszczęście, ulanerja i światowość zatarły później owoc jego usiłowań. Teraz wróciłem tylko do prawdy.

— Wszystko to dobrze, *mon cher!* ale jakież był początek tego nawrócenia?

— Bądź cierpliwy, dowiesz się.

— No, cóż tedy dalej?

— Otóż, kiedy tak dziwnie splatały się gorycze z rozkoszą w mojej miłości, i kiedy całą nadzieję szczęścia budowałem na tej przemianie, która miała nastąpić w charakterze Felicji po ślubie, skończył się karnawał. Po wielkiéjnoey miałem zamiar napisać do ojca, który nie jeszcze nie wiedział o moich miłostkach, prosić go o błogosławieństwo i ożenić się. Pod wpływem myśli o tak ważnej przemianie w mojem życiu, na pierwszym tygodniu wielkiego postu postanowiłem pójść do spowiedzi. Od kilku lat już zaniedbywałem tego obowiązku religijnego, i czas przeznaczony od kościoła dla najważniejszych medytacji, przechodził dla mnie obojętnie, albo w pustocie i niecierpliwém oczekiwaniu świąt i zabaw. Tą razą jakiś głos wewnętrzny wymownie pobudzał mnie do upamiętania się, jakaś tajemnicza siła pociągała mnie do świątyni Pańskiej. W sobotę po popielcu pierwszy raz w życiu obudziłem się ze snu o szóstéj rano i za nic nie mogłem nanowo zasnąć. Chciałem kazać zgotować kawę, ale jakiś głos szeptał mi ciągle: — Idź do kościoła! idź do spowiedzi! — Nie mogłem się oprzeć mimowolnemu pociągowi serca, ubrałem się i poszedłem do fary. Ranek był słiczny, słońce wydało mi się cudownie piękném, świeże powietrze lało się jakby balsam w moje piersi, i dość puste jeszcze a spokojne ulice nowością widoku wprowadziły mnie w tęskne zadumanie. Kiedy wszedłem do kościoła, jakaś wonna świeżość przy drzwiach wionęła mi na twarz, jakby skrzydło anioła studzącego gorączkę światowej pustoty. Cisza głęboka, przerywana tylko szmerem modlitwy kilku osób, solenność świątyni, ogrom budynku, obrazy ŚŚ. Pańskich, wszystko to na człowieku przyzwyczajonym do zgiełku i pustoty musiało sprawić wielkie wrażenie. Postępowałem nieśmiało, jak winowajca, ku kaplicy Matki Boskiej Bolesnej, i zatrzymałem się prawie u samych kratek ołtarza. Długo myśli moich i uczuć nie mogłem doprowadzić do równowagi. Kilka razy zaczynałem mówić pacierze, ale wzruszenie moje było tak wielkie, że odejmowało mi władzę myślenia wyłącznie o tém co

wymawiały usta. Książki do nabożeństwa nie miałem ani z sobą, ani nawet w domu. Chciałem paść na kolana; lecz jakiś głupi wstyd, a razem przekonanie, że to będzie więcej dzieło instynktu, jak akt prawdziwej woli, wstrzymały mnie. Mimowolnie rzuciłem okiem przed siebie, i spostrzegłem młodzieńca i dziewczę klęczących przy kratkach, i tak podobnych do siebie, że nie mogłem wątpić, iż to brat i siostra. Modlili się tak gorąco, tak przykładnie, że cała moja uwaga skupiła się na tój parze. Twarz dziewczyny dziwnym jaśniała urokiem w uniesieniu modlitwy. Myślałem o tém, jakie musi być szczęście tój młodej gołąbki, czystą duszą ulatującej ku niebu! jaka rozkosz napelniała jój serce w tajemniczym akcie miłości Bożej, w pokornej odezwie do Ojca miłosierdzia! Długo, długo patrzyłem na nią i budowałem się jój przykładem. Widziałem łzy jój przed spowiedzią, widziałem niebieską spokojność po przyjęciu komunji. O mój biedny Henryku! ty nie pojdziesz tych uczuć, które wówczas napelniły moje serce.

— To prawda. Ale cóż to za dziewczica?

— Kasia, siostra Felicji, najmłodsze dziecko marszałkówój.

— Jak to? co ty mówisz? jakżeś jój nie widział w domu p. Starosławskiój?

— Zaczekaj, opowiem ci wszystko tak, jak się działo. Kiedy niezajoma z bratem wychodziła z kościoła, postrzegłem Jana lokaja marszałkówój, który wzięwszy ich książki do nabożeństwa, z tyłu poszedł za nimi. Tegoż samego dnia, upatrzywszy dogodną chwilę, wzięłem starego sługę na indagację.

— Powiedz mi, Janie, z kim ty chodziłeś dziś do fary?

— Z paniczem i z panną Katarzyną.

— A, to kuzynek i kuzynka pani marszałkówój....

— At, co pan sobie żartujesz? Dyc to rodzone dzieci.

Przypomniałem sobie natychmiast, co mi kiedyś ojciec o nich opowiadał, i żeby wyciągnąć od Jana resztę tajemnicy, podchwyciłem z uśmiechem:

— A wiesz, Janie, dla czego nazwałem ich kuzynkami?

— O! wiem, odpowiedział sługa, dla tego, że nie podobne do imości, ani do panny Felicji; ale żebyś pan znał ś. p. marszałka, tobyś wiedział, że te dziatki jak dwie krople wody do niego podobne. Były to téż ulubione jego dzieci. Och! one mu tylko zamknęły powieki, one go tylko pamiętają i modlą się za jego duszę. Nie uwierzysz pan, co to za dobre panięta! ledwie zbiorą jaki

grosz, wraz niosą do kościoła na żałobną mszę po ojcu, albo biednym, albo nam sługom pomagają, a sami często potrzebują.

— Ale gdzież te dzieci były do tego czasu?

— Panna Katarzyna niedawno z pensji wróciła do matki, a panicz zawsze był w domu.

— Dla czegoż ja ich nigdy nie widziałem w salonach?

— Panicz sam nie chce, a panience matka zakazała.

— Z jakiegoż powodu?

— At, długo o fém gadać! Idź pan sobie do panny Felicji i dowiedz się.

Stary zrobił grymas, otarł łzy z oczu i odszedł z niechęcią. Z głosu, którym były wymówione ostatnie słowa, i z twarzy Jana widziałem wyraźnie, że nie był przyjacielem panny Felicji, a z jój przyczyny i mnie nie bardzo sprzyjał. To mnie zastanowiło. Sympatja lub antypatja ludzi osiwiających na usługach jednego domu miała zawsze w mojem pojęciu wielką powagę. Przykro mi było, że Felicja przez całe życie nie potrafiła sobie zeskarbić względów Jana. Cały ten tydzień byłem w złym humorze, a wieczorem wcześniej jak zwyczajnie poszedłem do domu. Kilka razy sprzeczałyśmy się o błahe drobnostki. Felicja była uparta, ja się gniewałem, matka musiała nas godzić.

Na drugi dzień odbyłem spowiedź, i z kościoła pobiegłem natychmiast do Felicji, pragnąc ostatecznie załagodzić ślady wczorajszej usterki. Nie zastałem jój w domu. Snać nie spodziewając się, żebym tak prędko wrócił z kościoła, a może téż umyślnie dla mojego umartwienia wyjechała z matką do sklepów. Stary Jan powiedział mi, że pani ledwie na obiad przyjedzie.

— Jaka to szkoda, rzekłem, że się wszyscy porozjeżdżali.

— Panicz w domu, szepnął Jan nieśmiało.

— A, masz rację, muszę się z nim poznać. Prowadź mnie do niego.

Poszliśmy przez kilka pokoiów na sam tył domu. Otworzyłem drzwi i spostrzegłem brata i siostrę siedzących przy jednym stoliku. On czytał książkę, ona rysowała.

— Nareszcie! zawołał Henryk. Jakże wygląda p. Katarzyna?

— Śmieszny to jest zwyczaj, odrzekł Waclaw, opisywać ko-biętę człowiekowi, który jój nigdy nie widział. Powiedz mi, na co się to przyda? Śliczny profil twarzy, dziwnie urocze niebieskie oko, piękne sploty jasnych włosów, drobniotka postać. . . . cóż z tego zrozumiesz?

— O, bardzo wiele! Już ją sobie doskonale wyobrażam: Jakież na tobie zrobiła wrażenie?

— Wcale nieszczególnie, po scenie w kościele, należałoby się spodziewać czegoś więcej jak uczulem. Zresztą może i nie mogło być inaczej. Pokój Michała, w którym ją ujrzałem, żadnego nie miał podobieństwa do salonu, w którym królowała Felicja. Zamiast bronzów i adamaszku, bieda i praca wyglądały ze wszystkich kątów. Sama Kasia, nie spodziewając się wizyty, była w rannym prostym szlafroku, a nagle wejście moje wprawiło ją w przestrah, pod którego wpływem zwyczajna jej fizjognomja przyjęła zupełnie inny wyraz. Nareszcie ja sam po spowiedzi, pełen miłości dla Felicji, patrzyłem na jej siostrę więcej przez ciekawość i litość, jak z prawdziwem zajęciem się jej osobą. Ale później, kiedy ją lepiej poznałem, kiedy nasze serca zrozumiały się, codzien stawała się piękniejszą w moich oczach. Bo, widzisz, bez udziału serca nie można pojąć żadnej piękności. Jest to wielkie dobrodziejstwo Nieba, że uroda kobiet podobna jest sądowi serca mężczyzn; inaczej bowiem najpiękniejsza kobieta w kraju, w prowincji, w mieście, byłaby celem zabiegów całej młodzieży, i ta rywalizacja mogłaby mieć najgubniejsze dla społeczności skutki. Tak zaś, każde męskie serce szuka swojego ideału piękności, i w ogóle jeden drugiemu nie staje na zawadzie. Nawet rzadko jeden pojmuje gust drugiego, i często z czego jeden sztydzi, to drugiego doprowadza do zachwytu. Dla mnie największa zaleta Kasi jest w jej duszy, i ztąd też chociaż postać jej ustępuje w piękności Felicji, ale ten wyraz niebieskiej słodyczy, rozlany na twarzy, ta spokojność zamyślenia, ten łagodny rzut oka, i sama kibić wąta, eteryczna, co zdaje się może rozwiać się od thnienia wiatru, słowem, *dusza jej powierchowności*, jeśli tak mogę się wyrazić...

— Stój! stój! pocziwy Waclawie! Jak widzę, do jutra nie skończysz mi opisywać piękności swojej ulubionej. Wróć się do pokoju Michała, uspokój tego biedaka i jego siostrę, wszak oni dotąd patrzą na ciebie wielkimi oczyma i nie wiedzą czego chcesz od nich.

— Ach, prawda. Otóż wytłómaczywszy, że miłą mi i dawno upragnioną znajomość z nimi winienem protekcji starego Jana, zaprosiłem się do nich na kawę po spowiedzi. Michał przysunął mi krzesło. Kasia, cała zapłoniona, chciała wyjść z pokoju. Usilne moje prośby skłoniły ją do pozostania, i kiedyśmy wszyscy usiedli, rzekłem z niejakiem wzruszeniem:

— Winiem pani dozgonną wdzięczność...

— Jak to być może? Ja pana pierwszy raz widzę, chociaż oddawna wiele o nim słyszałam.

— Ale ja panią widziałem wczoraj u fary. Patrzałem z uwielbieniem, jak przykładowie odbyłaś pani wielkonocną spowiedź, i budująca jej bogobojność takie na mnie sprawiła wrażenie, że po kilku latach obojętności religijnej, dziś z prawdziwą rozkoszą poprawiłem swoją opieszałość. Pani to należy się...

— O, nie! to łasce Bożej, która nad każdym z nas czuwa.

— Niezawodnie; ale też i przykład pani nie był dla mnie daremny. Nie miałebym być jej za to wdzięcznym? Wszakże oprócz łaski Bożej, świątobliwe życie ojca pani i jego nauki przyłożyły się zapewne do ugruntowania jej w wierze.

— A, to co innego! to ojciec! i jeszcze jaki ojciec!... Nie wiem czy inne dzieci znajdując w jednej osobie tyle skarbów miłości, przyjaźni, światła, niewyczerpanej dobroci, ile my mieliśmy w papie! O, gdybyś pan go był znał!...

Łzy przerwały jej mowę.

— Znam go z opowiadań mego ojca, odpowiedziałem.

Lecz w tej chwili wszedł Jan, i powiedział, że marszałkowa, spodziewana ledwie na obiad, wróciła z córką do domu. Pożegnałem miłą parę i wsunąłem Michałowi mój adres, prosząc, aby mnie często odwiedzał. Michał uśmiechnął się, i oddając mi bilet, rzekł:

— Wiem oddawna gdzie pan mieszkasz.

— Jakim sposobem? — spytałem z uśmiechem.

— O! to najmniejsza moja wiadomość, odpowiedział spokojnie. Ja znam pana lepiej, niż się możesz spodziewać, i nie mówiłbym mu tego, gdyby wiadomości powzięte o nim przeszkadzały mi go prawdziwie szacować.

— Wybornie. Z jakichże źródeł?

— Pomówimy o tém w innym czasie. Żegnam pana.

— Wyszedłem za przewodnictwem Jana naprzód na ulicę, a ztamtąd już przez paradne drzwi do marszałkowej. Felicja zarzucała mnie pytaniami o wielkość pokuty, którą miznaczono; szydziła, drwiła, śmiała się z nagle zjawionej we mnie skłonności do pietyzmu; pytała, co też zrobiłem z moją świeckością, z mojem lekkomyślnem trzpiotalstwem, i doprowadziła do tego, że pomimo próśb matki, pożegnałem ją z niechęcią, nie skończywszy nawet kawy.

W krótkim czasie znajomość moja z Michałem ustaliła się. Po-

lubilem go z całej duszy, prawdziwą i szczerą przyjaźnią. Lubo znacznie młodszy latami, od natury jednak odebrał daleko poważniejszy odemnie charakter; samotność rozwinęła w nim więcej rozważliwości, a przez pracę nabył niepospolitej nauki. Ja z moją lekkością, z moją jeszcze niewygasłą namiętnością do pustoty światowej, czuję całą jego wyższość, lubię jego dojrzałą rozmowę, jego gruntowną pobożność, surowe prawidła poczciwości i honoru, i to wielkie pojęcie, które ojciec wlał w niego, o obowiązkach człowieka w tém życiu. A przytém zna mnie doskonale, częścią z listów mojego ojca do nieboszczyka marszałka, które jemu się dostały, częścią z opowiadań kogós z moich kolegów, a najwięcej z własnej obserwacji. Siostrę swoją, Katarzynę, kocha namiętnie, oświeca jęj umysł, rozwija w nięj talenta, pracuje po nocach, żeby jęj dostarczyć tego, czego matka odmawia, słowem, całkiem dla nięj wylany.

Pewną razą przyszedł do mnie smutny bardzo; ja także zdruzony sarkazmami Felicji, byłem w złym humorze. Rozmowa związała się o jego rodzinie. Po niej jakim czasie rzekł mi:

— Czy prędko będziesz naszym kuzynem?

— Spodziewam się.... odpowiedziałem zmieszany, że wkrótce to nastąpi. Muszę wprzód napisać do ojca.

— Słuchajże! będę z tobą mówił otwarcie. Może już wiesz od swego rodzica historję naszego domu, a jeśli nie wiesz, to poznasz ją niebawem. W każdym razie, jako człowiek honorowy, nie nadużyjesz tajemnicy. Rodzina nasza od dawnego czasu jest rozdwojona. Matka i starsza siostra składają panującą połowę; ja i biedna moja siostra jesteśmy Ilotami w domu. Odepchnięci od pierwszych chwil życia od macierzyńskiego serca, nie potrafilśmy ani miłością, ani pokorą zeskarbić sobie najmniejszej odrobinki ani przywiązania, ani sprawiedliwości, ani nawet łaski. Bóg to kiedyś rozsądzi w niebie, ale teraz serca nasze toną w goryczy i łzy płyną skrycie w zakątkach rodzicielskiego domu. Jeszcze od matki wszystko się łatwiej znosi; czasami też i odzywa się w nięj głos natury; ale siostra nasza Felicja jątrzy ją ciągle i kłóci pokój domowy. Dla czego? nie umiem ci wytłómaczyć, ale tak jest. Ja, jako mężczyzna, mogę się jęj oprzeć i obronić Kasię; lecz w mojęj niebytności, nieszczęśliwa dziewczyna narażona jest na wszystko, co tylko złośliwość może wynaleźć najboleśniejszego. Lękam się, żeby słaba, a nadzwyczajnie czuła jęj istota, nie upadła pod brzemieniem codziennych utrapień, żeby to serce, pełne anielskiej dobroci, nie załala trucizna nienawiści! Z tego

możesz pojąć, jak mocno pragnąłbym, żeby starsza moja siostra prędzej wyszła zamaż. Z jednej strony matka widząc, że Kasia nie może już siostrze przeszkadzać, niezawodnie stanie się dla niej łagodniejszą, a z innego też względu Felicja, dostawszy męża poczciwego i moralnego, przez jego wpływ może się stać przychylną dla Kasi. Daruj mi zbyt otwarte może wynurzenie się, ale pomyśl, że wypadaloby ci nareszcie coś stanowczego przedsięwziąć.

To mówiąc pożegnał mnie.

Nie wiedziałem prawdziwie na co się zdecydować. Obraz obu dwu siostr stał mi w myśli: jedna wspaniale piękna, ale dumna, uparta, lekkomyślna, sarkastyczna, a podług tego co słyszałem od brata, złośliwa i okrutna; druga dziwnie łagodna, skromna, cicha jak anioł, pełna żywej wiary, cierpliwości i nieskażonych uczuć dziewiczego serca. Napisałem list do ojca, prosząc go o radę. Odpowiadając na pismo, winał mi z prawdziwą rozkoszą nawrócenia religijnego, ostrzegał jednak, abym niezbyt ufal własnym siłom. Mówił mi, że każda nagła zmiana w trybie zwyczajnych usposobień człowieka rodzi egzaltację, pod wpływem której zbawienne postanowienie wydaje nam się niezachwianem. Radził mi dobrze zastanowić się nad sobą, korzystać z rad światłego kapłana, ażeby ten chwalebny zapal nie ostygł tak prędko, jak się we mnie obudził. Wiem, mówił mi, że teraz szczerze pragniesz powrócić do Boga, ale znam ciebie od dzieciństwa, lękam się, żeby zbyt uczucie upodobanie w pustocie światowej nie zagłuszyło w tobie dobrej woli. Zdaje mi się, że przykładowa pobożność młodej dziewczyny, jej łzy i miła twarzyczka, sprawiły na tobie mocne wrażenie, i to cię zagrzewa do naśladowania; ale cóż będzie później, kiedy czas pierwsze uczucie osłabi? Oczekujesz od religji prawdziwego szczęścia na ziemi, i w tém nie mylisz się; lękam się tylko, czy dobrze pojmujesz, że religja przedewszystkiem jest *obowiązkiem*, wymaga ciągłego ćwiczenia się, nieustannej walki, cierpliwości i pokory. Będąc źródłem najtkliwszych uczuć, nie przestaje jednak nigdy być poważną i surową. Co do rady, o którą go prosiłem, ojciec błogosławił przedsięwzięcie kolligacji z córką jego dawnego przyjaciela, ale upominał, żebym się nie kwapił, żebym wprzód dobrze poznał osobę, z którą mam życie podzielić. Z kilku słów, niby nawiasem rzuconych, widać było, że nie bardzo podchlebne miał zdanie o Felicji; przeciwnie opisywał z przyjemnością przymioty Kasi, które dostrzegł w niej z dzieciństwa i odwiedzając ją często w Warszawie na pensji; chwalił anielską dobroć tej dziewczyny, jej zdrowy rozum, upodo-

banie we wszystkiém, co jest piękne, szlachetne i wzniosłe, nade wszystko zaś żywą i gruntowną wiarę. Słowa szanownego starca stały się dla mnie świętą wolą, bo to były ostatnie jego rady. W kilka tygodni potem straciłem ojca, i ten wielki smutek przerwał na czas jakiś wszystkie moje miłości. Zamknęłem się w domu. Jeden tylko Michał odwiedzał mnie. Poczciwy chłopiec doskonale pojmował moje strapienia i bezużyteczność wszelkich pocieszeń, przeto albo milczał, albo zajmował mnie rozmową religijną, poważną, i krzepił siły mojej duszy. Pokochaliśmy się jak dwie sieroty.

Pierwszą razą kiedy wyszedłem na ranną przechadzkę, spotkałem brata i siostrę wracających z kościoła. Kasia powiedziała mi w kilku słowach, jak bolesną była dla niej wiadomość o śmierci mojego ojca, i lzy stanęły jej w oczach.

— Ach! rzekłem, starzec w ostatnim liście mówił o pani z uwielbieniem, z rozkoszą!

— O! zawołała Kasia, ja mam święty obowiązek pamiętać nieboszczyka. On był przyjacielem naszego papy, on nas z bratem zawsze kochał jak rodzone dzieci, odwiedzał, darzył, pocieszał, wspierał radą. Byłoby to największą niewdzięcznością, gdybyśmy go mogli zapomnieć!

Mimowolnie rozrzewniłem się.

— Nie płacz pan, rzekła Kasia. Kiedyś wszyscy będziemy razem, nasi ojcowie i my. Długieź to życie ludzkie na ziemi?... moment, chwila znikoma, w porównaniu z życiem w Bogu, z egzystencją zamogilną.

— O! na miłość Boską! podchwycił brat, skończmy tę smutną rozmowę. O takich rzeczach ma pieczę Opatrzność. Módlmy się, a nie jątrzymy rany Wacława rozbieraniem smutnej jego straty. W podobnych przypadkach pociecha jest tylko w Bogu. Spółzucie ludzi, przelane w słowa, staje się słodką trucizną, którą cheiwie pije strapiiony, nie postrzegając, że żalność swobodniej krzewi się w jego sercu.

Tego samego dnia wieczorem przyszedł do mnie Michał. Twarz jego była smutna, zachmurzona; jakaś myśl widocznie ciążyła mu na sercu. Po kilku zapytaniach o mojem zdrowiu, rzekł:

— Powiedz mi otwarcie, wszak ty kochasz Felicję?

— Kochałem ją kiedyś szalenie, odpowiedziałem na to, ale przyznam ci się, że od czasu poznania młodszej twojej siostry, po ostatniém piśmie mego ojca, miłość moja znacznie osłabła. Wprzód

towarzystwo Felicji było dla mnie niezbędnem, teraz kilka dni już zbieram się dom wasz odwiedzić, i zawsze odkładałam na jutro. Wyznaję ci szczerze, że nie oziębłem jeszcze dla Felicji, ale czuję w sobie wielką zmianę.

— A słowo? Wszak jesteś narzeczonym.

— Słowo, słowo? ja nigdy nie dawałem żadnego słowa. Jeżeli się podobało twojej matce, w poufalfnej rozmowie, czasami nawet przy obcych, nazywać mnie synem, to nie moja wina.

— Jak to? więc ty nie oświadczyłeś się mojej siostrze?

— Nigdy!

— A to co innego. Jednak.... jednak to nazwisko syna, na które zezwoliłeś bez oporu, które tak długo słyszałeś bez niechęci, wkłada na ciebie jakiś obowiązek....

— Bez wątpienia! Mam też nadzieję, że będę synem twój matki; myślę tylko ściśle porachować się z sobą, ażeby zapewnić szczęście i swoje i drugiej osoby.

— Jedna z nich zawsze będzie nieszczęśliwa.

— Słuchaj, mój drogi! czuję w sobie tyle przywiązania dla młodziej twojej siostry, że gdybym nie zbadawszy, czy to jest przyjaźń, czy miłość, ożenił się ze starszą, mógłbym sobie i jej przygotować najokropniejszą przyszłość. Znasz charakter Felicji. Kto mi zaręczy, że zostawszy żoną, zastosuje się do mojego sposobu myślenia? Kto mnie upewni, że ta sympatja, którą mam dziś dla drugiej, pomimo małżeństwa z Felicją, nie rozżarzy się w gwałtowny płomień w mojem sereu i nie zatruje nam całego domowego szczęścia? Kto wie, czy w usterkach z popędliwą Felicją nie wyrzuciłbym jej nieustannie łagodnej Katarzyny? Dla czegoż wreszcie mam dla błahych powodów kwapić się z tak stanowczym w życiu krokiem i nieroztropnie pozbawiać się szczęścia, które może Niebo dla mnie przeznaczyło?....

— Musi być w twoich rozumowaniach coś wątpiego, bo mnie nie zaspakajają.

— Na to mi sam daj rękę.

— Nie mogę.

Narada nasza skończyła się na niczem.

Kiedy znów zaczęłem bywać u marszałkowej, oziębłość moja dla Felicji jeszcze bardziej się powiększyła. Póki sam byłem lekkomyślnym lwem warszawskim, zmienny jej charakter podobał mi się; lecz od czasu, jak rozwaga i smutek odjęły mi trzpiotowstwo, stosunki nasze musiały się skrzywić. Matka, dawnym trybem, była

słaba, zaślepiona; córka raz sentymentalna, drugi raz sarkastyczna, chwilkę powolna jak dziecko, potem uparta i złośliwa. Dogryzała mi najwięcej wyrzucając pedantstwo, nudziarstwo, brak wesołości nareszcie zaczęła podejrywać zmianę w uczuciach. Raz na balu tańczyłem dwa mazury z jedną panną; natychmiast Felicji podobano się widzieć w niej swoją rywalkę, i zaczęła się zazdrość. Odtąd miłość tej dziewczyny przybrała tak gwałtowny charakter, że nie wiedziałem co z sobą począć; bywałem jednak u marszałkowej, chociaż mnie to wiele kosztowało. Lecz w tym samym czasie nieraz od poczciwego Jana wiedziałem, kiedy Kasia wychodziła z bratem, i mogłem chwilkę przepędzić w jej towarzystwie. Jakąż to różnicę widziałem między temi dwiema kobietami!... Jakże nie miałem pokochać Kasi wszystkimi siłami mego serca?

Przed kilku tygodniami, po ranniej mszy odprowadziłem Michała i Kasię do samego domu. Właśnie kiedy miałem ich pożegnać, Felicja, co w tym czasie zwyczajnie spała, wyszła niespodzianie na balkon, i zobaczywszy mnie czule całującego rękę jej siostry, wydała krzyk przenikliwy. Skutki tego zdarzenia były okropne. Nie mówię już o tém, co mnie się dostało od matki, a szczególnie od Felicji; ale biedna Kasia, czego też ona nie wycierpiała, czego dotąd nie cierpi z tej przyczyny! Rzeczy doszły do tego stopnia, że kiedy zobaczy Felicję, to mdleje z przestachu. Wpadła w rodzaj jakiegoś obłąkania. Wyobraźnia jej doszła do takiej potęgi egzaltacji, że często z głębokiego zadumania zrywa się i ucieka, wołając, że ją siostra chce zabić. Niekiedy też zamysłwszy się, wywołuje mój obraz, w duszy widzi mnie przed sobą, rozmawia ze mną w głos, słowem, marzenie staje się dla niej rzeczywistością.

— Więc ona ciebie kocha? spytał Henryk.

— O! więcej niż ci opisać zdołam, odrzekł Wacław. Jest to dawna miłość, wypięstowana w sercu jeszcze przed poznaniem mojej osoby. Wdzięczność dla mego ojca; to, co jej o mnie mówił; to, co czytała w listach do marszałka, co jej brat opowiadał wtedy kiedy uważając mnie za narzeczonego Felicji, zewsząd wywadywał się o moim charakterze, wszystko to usposobiło ją do tych uczuć, które później osobiste poznanie rozzarzyło.

— Nikt że jej nie mówił o twojem trzpiotowstwie?

— Poznała mnie wcale nielekkomyślnym człowiekiem.

— Czegóż tu medytować?... cha, cha, cha! idź do matki i oświadczyć się!

— Spóźniłeś się z radą, Henryku! Byłem już u niej przed dwoma tygodniami.

— No i cóż?

— Cóż? Felicja, której od kilku dni wtedy nie widziałem, zobaczywszy mnie, ledwie mi się na szyję nie rzuciła. Matka była pochmurna, smutna, patrzyła na córkę; i łzy jej się kręciły w oczach. Wiedziałem, że obie przyprowadzę do rozpacz; jednak zebrawszy ostatnie siły, rzekłem do marszałkowej drżącym od wzruszenia głosem:

— Chciałbym z panią pomówić kilka słów bez świadków.

Oczy staruszki zabłysły radością, Felicja zapłoniona wybiegła z pokoju. Usiadłem zmieszany i w pół głosu szepnąłem:

— Oddawna pani nazywasz mnie swoim synem....

— Tak, podchwycała marszałkowa wesoło. Spodziewam się, że pan o to się nie gniewasz?

— Przeciwnie, zawsze byłem pani wdzięczny za ten dowód Jój przychylności. Dziś chciałbym Jój otwarcie wyznać swoje uczucia, powierzyć najważniejszą kwestyję mego życia na jój decyzję. Jedno słowo pani może mnie uczynić najszczęśliwszym z ludzi lub wtrącić w przepaść cierpień. Lecz nie o mnie tu jednego chodzi. To samo słowo rozstrzygnie los drugiej osoby. Odwołuję się do macierzyńskiego serca pani, ufam....

— Co znaczą te zagadki? przerwała matka blada i pomięszana. Mów pan wyraźnie. Kochasz Felicję i o jój rękę prosisz? czy tak?

— Nie! Kocham p. Katarzynę....

Marszałkowa pochyliła głowę na piersi z niemą rozpaczą. Za drzwiami sąsiedniego pokoju rozległ się krzyk przeraźliwy, długi, okropny, i coś upadło z głuchym łoskotem. Pobiegliśmy z matką. Felicja leżała przy drzwiach jak martwa.

Kiedy ją przyprowadzono do przytomności, spojrzała na mnie wzrokiem dzikim, obłąkanym, przerażającym, i rzekła: Ja tego nie przeżyję! Matka szlochając, chciała ją przytulić do łona. Wyrwała się z jój objęcia, padła przedemną na kolana, wyciągnęła ręce, i łzy bryzgnęły z jój oczu. Zlituj się nademną! krzyknęła namiętym głosem, nie odpychaj mnie od siebie! o mój luby! mój miły! mój drogi Waclawie! Czy podobna, żebym ja w twoich oczach mnieją była piękna, jak ta zasmolona błaznica?...

— Pani! przerwałem, nie znieważaj tego anioła.

— Pani! Pani! krzyknęła zrywając się jak szalona, — mnie nazywa panią, a ja aniołem? O! dajcie mi noża albo trucizny!

I skwapliwie szukała po pokoju narzędzia do zabójstwa.

Nie podobna mi opisać ci tę okropną scenę. Bez wątpienia litowałem się nad Felicją, ale jeszcze wyraźniej czułem jakąś trwożę w sercu, widząc do jakich ostateczności, szaleństwa może się posunąć kobieta światowa, której namiętność nie zna hamulca wiary. Jak rozlukane morze burzliwemi porywy pędzi okręt do zguby, jeśli igła magnesowa nie prostuje jego drogi, tak rozkołysana namiętność unosi kobietę na bezdroże hańby i grzechu, jeśli światło religji nie przewodniczy jej na drodze żywota. Bez religji, ani rozum, ani przyzwoitość, ani wstyd niewieści, nie potrafią wstrzymać szalonych jej zapędów...

— Aj! aj! mój biedny Wacławie! wystawiam sobie fatalną twoją pozycję. Jakże się ta scena skończyła?

— Bardzo źle. Marszałkowa nie chciała słuchać mojego usprawiedliwienia, pokazała mi na drzwi, i milcząc, powiodła córkę do drugiego pokoju. Wyszedłem.

Całą tę noc Michał przewartował u łóżka biednej Kasi. Nie mogła oka zmrużyć, drżała od febry i strachu. Na korytarzu kilka razy słychać było przeraźliwy krzyk Felicji, wyrwijącej się ku drzwiom Kasi, żeby ją zamordować; słychać było bieganie ludzi wstrzymujących szaloną, płacz, jęki i upominania matki. Piekło było w tym domu!

Nazajutrz odebrałem list od matki, w którym zaklinała mnie na wszystkie obowiązki, żebym jej córki nie doprowadzał do rozpacz, może do mogiły, i żądała ostatecznej odpowiedzi. Napisałem, że kocham Kasię i jej tylko mężem być mogę. Wieczorem wpadł do mnie Michał okropnie zmieniony.

— Jak się ma twoja siostra? spytałem z największą niespokojnością.

— Najgorzej! odpowiedział z boleścią. Gdyby rozpaczala, gdyby miotała się gwałtownie, miałbym nadzieję, że boleść wkrótce się przesili, ale nie mogę patrzeć na cichą jej męczarnię. Siedzi smutna, milcząca, nie odpowiada na moje pytania, cała zatopiona w myślach, których wrażenia ciągle zmieniają się na jej twarzy. To łzy zwolna spadają na jej lica, to uśmiech przelotny je ożywi, to się wzdryga ogarniona tajemniczą trwożą, to padnie na kolana i gorąco się modli. Czasami sama z sobą w głos rozmawia, i

w smutnych wyrazach widać truciznę ulatniającą się w głębi serca złamanego cierpieniem,

— O! biedna! nieszczęśliwa! zawołałem z rozpaczą. Cierpi przezemnie, moim obowiązkiem jest ją ratować. Znasz mnie, Michale! spodziewam się, że mi dopomożesz...

— W czém?

— A jużci w tém, żebym się przedzój mógł ożenić z twoją siostrą, bo ten tylko widzę środek ratunku.

— Pragnąłbym z całej duszy, ale mówiłem już o tém z matką, i powiedziała mi stanowczo: Róbcie sobie co chcecie, tylko nie proście mnie ani o pozwolenie, ani o błogosławieństwo, bez błogosławieństwa zaś matki, Kasia nigdy nie zgodzi się być twoją.

Nieśmy nie uradzili! Nieszczęśliwa znajduje się w najokropniejszym położeniu. Sam nie wiem co dalej począć. Straciłem zupełnie głowę. Błąkam się jak cień z moim smutkiem.

— Mój kochany! rzekł Henryk, czego tu się smucić? czego medytować? Żeń się.

— Mówiłem ci już, że bez błogosławieństwa matki Kasia nigdy mi nie odda ręki.

— Daj pokój! Już ja to biorę na siebie. Kocha ciebie zbyt mocno, żeby długo wytrzymała w postanowieniu. Sama marszałkowa może się da uprosić.

— Wątpię.

• — Powiadam ci, że już my z Michałem to zrobimy. Nie myśl więcej o téj sprawie.

— Dziwi mnie, że odrazu tyle obiecujesz. Zkąd ci się wzięła ochota płatać siebie w tę smutną historję?

— Oprócz przyjaźni, mam jeszcze drugą pobudkę osobistą.

— Jaka? na miłość Boga.

— Kto wie? może kiedyś będziemy w kolligacji?

— A to znów coś nowego.

— Tak, *mon cher!* Dziwne jest serce ludzkie! Z twojego opowiadania poczułem w sobie jakąś sympatję do téj salonowój Felicji. Byłbym prawdziwie szczęśliwy, gdyby mnie pokochała. Zostaję w Warszawie dla twojego i mojego interesu.

— Co się z tobą dzieje? Henryku! Co ci po sercu, które spustoszyła burza namiętnego szału?

— Właśnie to spustoszenie obudza moję sympatję. Cóż dziwnego, że młoda, niedoświadczona dziewczyna przywiąże się mocno do mężczyzny? Czasami dzieje się to dla tego, że najlepiej tańczy,

albo że nosi piękny mundur, albo że dowcipny w rozmowie. Rzadko to bywa prawdziwa miłość, i nieraz w tydzień po ślubie następuje rozczarowanie. Lecz kiedy kobieta, szukając szczęścia, gorzki kielich wypije, to jeżeli drugi raz się pokocha, można się spodziewać, że drugie uczucie będzie mniej gwałtowne, ale pewnie więcej trwale jak zwyczajne miłości.

— O, jakże się mylisz, mój filozofie! jak dziwaczne zdanie masz o kobietach! Wierz mi, że im prostsze i wolniejsze od szalu jest serce dziewczyny, im więcej ona zasługuje na nazwisko parafijanki, tём zdolniejszą jest czuć prawdziwą miłość, i być poczciwą, dobrą żoną.

— Masz swoje zdanie, a ja swoje.

II.

Smutny i cichy był ślub Wacława z Kasią. Michał, Henryk i kilku świadków składali cały orszak państwa młodych. Na żadnej twarzy nie było widać wesela. Z kościoła Kasia przyjechała do mieszkania, które Wacław bogato i z wysmienitym gustem przygotował. Widziała na każdym kroku przepych, ale nie ją nie cieszyło, bo na progu domu nie spotkała jój matka z chlebem i sołą, z błogosławieństwem i łzami radości; czekały ją tylko obojętne figury lokajów w błyszczącej liberji.

Nazajutrz napisała do matki list długi, czuły, pokorny, prosząc o przebaczenie i o błogosławieństwo. Wacław także, pisał, sądząc, że po ślubie staruszka da się łatwiej przebłagać. Obydwa listy zostały bez odpowiedzi, i to im zatrzęsnęło pierwsze dni małżeńskiego pożycia. Kasia płakała, Wacław się gniewał na matkę. Wkrótce potem marszałkowa z córką wyjechały za granicę, Henryk tą samą drogą pospieszył za nimi, Michał udał się do majątku dla objęcia ojcowskiego spadku i urzędzenia interesów siostry, młodzi małżonkowie zostali sami jedni.

Czas powoli wszystko zaciera, i Kasia uspokoiła się w swoich obawach. Postać jój nadobna rozkwitła nanowo wdziękami, jak po przejściu burzy prostują się zgięte kwiatki i świeżą błyszczą barwą. Kochając niewypowiedzianie męża, znajdowała w domowym pożyciu wszystkie rozkosze, o których kiedyś marzyła, wszystkie

blógie uczucia, których instynkt piastowała w niewinném sercu. Waclaw téz w niewyczerpanych skarbach jój miłości, w jój słodkim i pełnym uległości charakterze, w skromném i religijném życiu, widząc rękojmię najpomysłniejszej przyszłości, błogosławił chwilę, w której ostygł z namiętnego szału i temu aniołowi oddał swoje serce. Jednak właśnie dla tego, że widział w swojej żonie tyle pięknych przymiotów, niepodobna mu było przestać na cichém pożyciu domowém.

Szczęście upaja. Waclaw był dawniej światowym człowiekiem, był miłym gościem w pierwszych salonach Warszawy, przeto ożeniwszy się, nie chciał i nie mógł wyłączyć się z towarzystwa. Cieszyła go nawet dziecinna myśl salonowych tryumfów nadobnej swojej małżonki, i jakaś pociecha, że Kasia po tylu cierpieniach pozna nareszcie świat i zabawy tak właściwe osobom jój wieku. Opierała się jego zamiarom, ale widząc, żeby mu to było przykro, chętnie zezwoliła. Miała przeczucie, że życie światowe nie zadowolni ją, że go nigdy nie polubi, i nie omyliła się. Zabawy nie mogły zająć duszy nawyklėj do myśli smutnych i poważnych. Ciężko, duszno jój było w modnych salonach. Płaskie grzeczności męzczyzn, fałszywe uśmiechy kobiet, sarkastyczność słynąca dowcipem, obojętność na najpierwsze obowiązki, obmowa i intryki potoczne, oburzały ją i napełniały nudą, tęsknotą i boleścią. Bywała jednak w towarzystwach i przyjmowała u siebie, bo Waclaw tego żądał, bo wiedziała, że mąż jój przyzwyczajony od młodości do gwaru świata, nie mógł się bez niego obejść. Wybacziała mu chętnie tę słabość, bo tyle szlachetnych przymiotów ją wynagradzało, tylko boleśnie jój było patrzeć na stopniowo stygnący w nim zapal religijny, który kiedyś razem z miłością ożywił jego serce. Uważając religję za fundament wszelkiego szczęścia na ziemi i za ziemią, słusznie się lękała o swego Waclawa. Widziała, że ojciec jego nie omylił się. Waclaw istotnie zanadto zaufał trwałości swego zapalu. Na pustyni, albo na wsi, ziarno wiary przyniosłoby może w jego sercu plon obfity, ale wśród zgielku wielkiego świata, z przejściem dni cierpkich, z osiągnięciem celu swych zabiegów poczęło marnieć. Pierwsza egzaltacja, niepodtrzymywana gorliwą duchowną pracą, powoli stygła, i stopniowo coraz więcej zaniedbując obowiązki, które kościół nakazuje, wracał do dawniej lekkomyślności. To samo mogło się stać z jego miłością, a o tém nieszczęściu nie mogła pomyśleć bez trwogi. Przy usposobieniu do marzeń wyrobioném tyła troskami, przy tkliwém uczuciu, dość jój

było raz wpaść na tę smutną myśl, że Wacław może dla niej oziębnąć, żeby już nigdy z tą obawą się nie rozstać. Dowodziła sobie najwymowniej, że Wacław zbyt mocno ją kocha, aby kiedykolwiek mógł się przemienić; śmiała się z pustej swojej trwogi, a jednak ta trwoga mimowolnie coraz więcej wkorzeniała się w jej sercu, dręczyła ją i przybierała charakter jakby chronicznej moralnej choroby; śledziła każdy krok męża, w towarzystwie podsłuchiwała każde słówko, chwytiała ulotny uśmiech, i często zwyczajna jego grzeczność dla kobiet trucizną rozlewała się w jej łonie. Skutki tego niedługo trwały, to prawda; cierpienia jej kończyły się, jak tylko znów byli sami z sobą: bo Wacław, dostrzegłszy chmurkę tęsknoty na czole pocziwiej żony, obsypywał ją takimi pieszczotami, był dla niej tak dobry, tak czuły, tak niewyczerpany w oznakach tkliwego przywiązania, że Kasia, napawając się tą rozkoszą, oburzała się tylko na bezzasadną swoją podejrzliwość. Te skryte walki serca, w nieustannym utrzymując ją wzruszeniu, roznieciły w niej płomień miłości do niezwykłej potęgi, zamieniły go w egzaltację. Trzymać całe godziny wzrok utkwiony w miłą twarz Wacława, słuchać z zachwyceniem dźwięku słodkiej jego mowy, być zawsze gotową na każde jego skinienie — oto, czego jedynie pragnęła ta tkliwa istota, kiedy Wacław był w domu. Nieraz, kiedy po obiedzie drzemał na kanapie, Kasia siedziała przy nim jakby w gorączce poetyckiego zachwyty; i rozpatrując rysy śpiącego, nie mogła się nasycić tym szczęściem. W nieobecności męża wyobrażenia otwierała dla niej cały świat cudownych marzeń. Siedząc samotnie w swoim pokoju, jedyną rozkoszą jej było myśleć, dumać nieustannie o ulubionym, przedstawiać sobie jego postać, wywoływać z duszy echo ostatnich jego słów, prowadzić z nim tajemniczą rozmowę i bujać z nieobecnym po czarujących nadpowietrznych strefach fantazji. Nie przychodziło jej nigdy na myśl, żeby w tym błogim upodobaniu mogło być coś zdrożnego, żeby religja nawet potępiała tak daleko posunięte uczucia dla człowieka, choćby ten człowiek był mężem; przeciwnie zdało jej się, że tylko pełni obowiązek zaprzysiężony u ołtarza, i częściej obwiniała siebie o obojętność, jak była sobą zadowolniona. Pielęgnując w skrytości tę egzaltację, jako najdroższy skarb duszy, a nie mając przy sobie dobrej matki, coby odgadła tajemnicę, była pozbawiona wszelkiej rady rozumu, doświadczenia i religji. Uważała siebie za najszczęśliwszą z kobiet, a w istocie stan jej był smutny. Takim sposobem przeszedł prawie rok. Gdyby została matką, pierwsze dzie-

cię, ten najdziwniejszy fenomen w życiu białogłowy, co wywołując nową miłość w jej łonie, zapala razem nową pochodnię światła w jej umyśle, to dziecię możeby się stało narzędziem ratunku dla biednej kobiety. Ale Bóg odmówił jej tego błogosławieństwa.

Kiedy takim sposobem usposobienie z natury, długie pasmo przeszłych cierpień, delikatny skład ciała, miłość zbyt tkliwa i częsta samotność domowa, rozwijały w Kasi dziwną skłonność do egzaltowanych marzeń, Wacław, szczęśliwy powolnością żony i nie słysząc nigdy od niej żadnej wymówki, bujał sobie dawnym zwyczajem po salonach warszawskich. Kilka roztargnień żony zwróciło jednak jego uwagę. Przypisując wszystko samotnemu życiu, postanowił, mimo jej oporu, częściej w świat z nią wyjeżdżać. Kasia z westchnieniem zgodziła się.

Raz, kiedy zupełnie ubrana na wieczór, siedziała w swoim gabinecie, czekając męża, żeby z nim jechać, spokojna dumka, osunąwszy się na tło egzaltowanej miłości, przeszła stopniami w marzenie, zmieniła się w wizję. Obraz męża siłą wyobraźni wywołany z duszy, stanął przed nią tak jasno, że go przyjęła za żywego Wacława, i bez słów, tajemniczym głosem myśli zaczęła z nim rozmawiać.

— Mój drogi Wacławie! jestem dziś cokolwiek słaba, czy nie mógłbyś mi pozwolić zostać w domu?

— Moje serce! jeżeli żadnym sposobem nie możesz wyjechać, to zostań; ale zrobiłabyś mi wielką przyjemność, gdybyś była ze mną na tym wieczorze, bo oddawna śmieją się ze mnie, że cię ni by na klucz w domu zamykam.

— O, jeśli tylko pragniesz tej oznaki mego przywiązania, to najchętniej się zgadzam. Wszak ja dla ciebie wszystko w świecie gotowa jestem uczynić! Nie umiem ci okazać, nie potrafię wypowiedzieć, jak mi słodko pełnić twoją wolę, uprzedzać twoje życzenia, myśl twoją odgadywać! bo ty, mój miły, mój luby Wacławie, jesteś dla mnie wszystkim na ziemi: ojcem, matką, mężem, opiekunem, przyjacielem, kochankiem! na tobie spoczywają wszystkie moje nadzieje, całe szczęście moje na ziemi!

— O moja droga! kiedyż ja wątpiłem o twojej miłości? Wiem, że i ty jesteś pewną mego przywiązania. Może czasami boleśnie ci patrzeć na moją lekkomyślność, na zaniedbanie obowiązków religijnych, ale błagam cię, bądź cierpliwa, mój aniele! Jestem młody, zbałamucony światowem życiem, nie mogę się odrazu poprawić.

— Na miłość Boga! najmilszy mój Wacławie! nie usprawiedli-

wiaj się. Jestem zupełnie szczęśliwa. Nie wyobrażam sobie, czy może być szczęśliwszą kobieta; a choćbym miała jaką gorycz, nie do mnie należy sądzić twoje postęпки.

Słodkie marzenie biednej Kasi doszło do takiej potęgi złudzenia, wizja do takiego stopnia wydawała jej się rzeczywistością, że kiedy służący wysłany przez niecierpliwego Wacława, stukając zlekka w drzwi gabinetu, zawołał: — Pan czeka na panią w sali. — Kasia uśmiechnęła się tylko i rzekła: — Patrz, Wacławie, co to za śmieszny człowiek! — i zdało jej się, że mąż trzymał się za boki od śmiechu i mówił do niej: — Nasz Wojciech musi mieć w czubku, trzeba wziąć drugiego lokaja. Służący powtórzył jeszcze raz polecenie, a nie odbierając odpowiedzi, ze zdumieniem doniósł o tém panu, który z niecierpliwości wszedł był już na wschody. Wacław niespokojny pobiegł czémprędzej do żony, i gwałtownie drzwi otworzywszy, niespodzianie stanął przed nią. Kasia nagle zbudzona z marzenia, widząc jeszcze w wyobraźni ulubioną postać męża i spostrzegłszy przed sobą drugiego żywego Wacława, wydała przeraźliwy krzyk trwogi, pobladła i straciła przytomność w bolesnych histerycznych cierpieniach.

Wacław nie tego nie pojmując, nie wiedział czemu przypisać ten przestrah żony. Kiedy się nieco uspokoiła, pytał się o przyczynę; ale w dziwnie zmieszanych jej słowach przebijało się tyle obłąkania, że jeszcze więcej zawikłał się w swoich domysłach. Powtarzała mu nieustannie, że dziwne rzeczy dzieją się na świecie, że w tym samym czasie, kiedy z nim rozmawiała, drugi on, drugi Wacław wszedł do jej gabinetu i jakimś dzikim na nią spojrział wzrokiem. Wszystkie perswazje i dowody męża nie mogły ją wyprowadzić z błędu. Przytaczała mu to, co do niej mówił, i dziwiła się, jakim sposobem własnych swoich słów nie pamięta. Niezachwiana pewność Wacława, jego żarty, jego filozoficzne argumenta, mieszały jej rozum coraz widoczniej. Ogarnęło ją jakieś obłąkanie, wpadła w gorączkę, i mąż całą noc przesiedział przy jej łóżku w bolesnym zadumaniu. Ta scena z początku go przestraszyła; potem, kiedy Kasia miała się lepić, jej uporcezywe przekonanie, że istotnie widziała dwóch Wacławów w swoim gabinecie, przyprowadzała go do śmiechu. Żal mu było też cokolwiek wieczoru, który tak przyjemnie spodziewał się przepędzić; jednakże oplakany stan żony, i marzenie w czasie gorączki, pokazujące najtkliwszą jej miłość, wzbudziły w jego sercu żywą litość dla biednej Kasi. Przez cały czas jej choroby ani na krok nie oddalał się z domu; wszys-

tkie chwile z nią pędził; najczulój się nią zajmował. Lecz zaledwie przyszła do zdrowia, ciche pożycie domowe zaczęło go nudzić; świat, z całą uludą swych błyskotek, zaczął go nęcić do siebie. Kasia spostrzegła to, i sama błagała go, żeby z jój przyczyny nie odmawiał sobie przyjemności. Oburzył się z początku, potem ustąpił, i znów wszystko poszło dawnym trybem. On sobie bujał po Warszawie, ona siedziała w domu samotna i marzyła. Czasami jednak obowiązki towarzyskie i wola męża wyrzywały ją z cichój ustroni gabinetu i zmuszały do przykrych dla niój wizyt i zabaw. Te wycieczki w światowe koła salonów były nader ciężkie dla duszy sprzyjaźnionój z samotnością, tém więcój, że nigdy nie mogła się ustrzedz roztargnień, które uwagę wszystkich na nią zwracały i zasilaly zabawniwi anekdotami poboczne salonowe plotkarstwo. Waclaw ścigany grzecznóm, ale dla człowieka światowego bolesnóm szyderstwem kobiet, od którego nie masz żadnego ratunku, niechętnie widział w swojej żonie tę szczególniejszą wadę charakteru, wstydzil się często za nią, i nieraz zbyt ostro z niój żartował. Powoli zaczęto szeptać, że małżonka p. Waclawa z platonicznój miłości ku mężowi dostała fiksacji, i zepsute umysły ludzi światowych, dla których nie nie znaczy wyszodzić najszlachetniejsze uczucie, zaczęły puszczać w obieg dziwaczne gadki, wyrobione zawsze na tle egzaltowanój miłości małżeńskiej. Waclaw widział sarkastyczny uśmiech na ustach każdego ze swych znajomych. Kobiety szczególniej drwiły z niego nielitościwie, i nareszcie do tego stopnia doprowadziły ulana, że człowiek poczciwy, co się dawniej chlubił przywiązaniem żony, płaskim zwyczajem ludzi światowych poczał się wstydzic zbytniej czulości swojej towarzyszki. Spekułował biednym swoim mózgiem, jakby ten płomień serca nieco oziębić?

Spokojne, błogie dotąd pożycie młodój pary musiało się przez te spekulacje zachmurzyć. Kasia spostrzegła w mężu jakąś przymuszoność, nienaturalną, suchą grzeczość, nawet obojętność, i szukając przyczyny takiej zmiany, po długim namyśle rzekła sobie: Ma słuszność mój drogi Waclaw, ja go zamało kocham, albo raczej mało mu okazuję moję miłość. On taki dobry, taki zawsze otwarty ze mną! pod wpływem żalu nie śmie mi wyrzucać moje obojętne postępowanie, i tylko żartując niby z przesadzonych moich uczuć, daje mi poznać potrzebę poprawy. O mój Boże! dla czegoż ja wprzód nie domyśliłam się jego szlachetnej urazy? dla czego dotąd nie wyprowadziłam go z błędu?! Pojęła zupełnie przewrotnie

zmianę w postępowaniu Wacława; chciała go nieustannie pieścić; prosiła, żeby ją częściej woził do salonów; pragnęła w każdej chwili być przy nim. Ułan się przeląkł; uwierzył na prawdę, że żona jego dostała pomieszania. Nie śmiał z nią pomówić otwarcie, bo wiedział, że rozumowanie jego przyjęłaby za znak zupełnej obojętności i tkliwie jój serce nie wytrzymałoby tego ciosu; sprowadzał więc tylko doktorów z wielką ostrożnością, ale i ci nie uspokoili go. Każdy mówił, że jeśli umysł jój rozprzął się nieco, to taką moralną chorobę moralnemi téż wypadało leczyć środkami. Zresztą radzili spacer, zabawy i zimną wodę. Ułan był w desperacji, ale ta nie przeszkadzała mu wcale, nasmuciwszy się w domu, pomedytowawszy rano, bawić się potém dobrze całe wieczory. Zresztą był karnawał, pora zabaw, po której następuje długi post, wystarczający dla człowieka światowego na smutki całego roku. Na ostatni bal proszono go koniecznie z Kasią. Prosiła młoda piękna kobieta, która po żonie zajmowała w jego sercu drugie miejsce. Nie mógł żadnym sposobem odmówić.

Dwa dni przed tym balem umyślnie starał się być z żoną zimnym, obojętnym, niezmiernie poważnym, gniewał się za każdą żywszą oznakę przywiązania, perorował o nieprzyzwoitości pieszczot w pożyciu małżeńskim, stawiał jój za przykład miłość naszych prababek, malował z zapalem poety obraz dawnój polskiej białogłowy, kochającej męża, dzieci i krewnych, bez uniesień, bez exaltacji, bez powierzehownych oznak uczucia, a jednak daleko prawdziwiej i trwałej jak dzisiejsze kobiety, zepsute czytaniem romansów. Kasia martwiła się okropnie, ale nie pojęła zamiaru męża; przeciwnie smutek podsycał jój exaltację.

I tą razą lękając się, żeby niecierpliwý Wacław długo na nią nie czekał, ubrała się na bal wczesnie, i siadłszy sobie na kanapie, pograżyła się w dumanie. Myśli jój układały się na tle miłości w dziwnie piękne obrazy szczęścia jaśniejące niezmierną barwą, i nieopisaną rozkoszą napełniały jój serce. Wacław, nieodstępny anioł wszystkich jój marzeń, był przy niej czuły, dobry, zakochany, jak w pierwszych dniach znajomości; rozmawiał z nią o tym błogim czasie, i wyznawał z żalem, że się nieco przemienił; narreszcie, spojrzawszy na zegarek, rzekł do niej skwapliwie: Czas jechać, moja droga! — Jedźmy, odpowiedziała i poszła ku drzwiom. Ona naprzód, on za nią. Marząc i w marzeniu słysząc z tyłu za sobą stąpanie męża, przeszła przez pokoje, po wschodach, aż na ulicę, gdzie stała zaprzężona kareta. Służący odemknął drzwiczki,

i dziwił się; dla czego pani nie siada, a Kasia czekała póki mąż nie usiądzie. Po chwili, kiedy widmo jęj wyobraźni usiadło, i ona tęż weszła do karety i pojechała. Takim samym sposobem po przybyciu na miejsce, wystawiając sobie, że mąż idzie za nią, weszła do balowego salonu pełnego już gości. Przypadkiem pierwsza osoba, co ją spotkała, była właśnie gospodyni domu, ta dama, co miała drugie po nięj miejsce w sercu ułana. Po przywitaniu, spytała ją z widoczną ironją, czy nie na pokucie zostawiła męża w domu? Kasia, uśmiechnawszy się z zapytania, które jęj się wydało zabawném roztargnieniem tęj damy, i pewna będąc, że Waclaw tuż przy nięj stoi, rzekła jęj żartobliwie: Nie wytrzymałby tak ciężkięj pokuty! przywiozłam z sobą nieboraka, i oto mam honor zaprezentować go pani. Obróciwszy się, spostrzegła, że nikogo przy nięj nie było; odgadła natychmiast swoje zaślepienie, i zrozumiawszy, jak okropnie skompromitowała siebie i swego męża, zachwiała się od wstydu i trwogi, porwały ją spazmy, śmiech serdeczny, boleść, któręj skreślić nie podobna. W salonie powstało zamieszanie, szepty, domysły.... wtém wpadł Waclaw, niezmiernie zafrasowany, chciał wymyśloną historją wszystko zagładzić, ale już było zapóźno, popsuł rzecz jeszcze więcęj, i nakoniec, zabrawszy napół-martwą żonę, pojechał do domu.

Tą razą czuł więcęj gniewu jak litości. Wiedział, że podobna scena w wielkim świecie, zamiast jkliwego współczucia, wzbudza tylko szyderstwo i stadło małżeńskie podaje na żądło obmowy, którego nie nie zdoła uhamować. Postanowił wziąć dymissję i wyjechać z Warszawy.

Stało się inaczej. Prośba o uwolnienie od służby powoli przechodziła szczeble władz wojskowych, a tymczasem żona jego, znękana cierpieniem, wpadła w suchoty. Waclaw, mocno zmieniony w miłości, pędził najlekkomyślniejsze życie. Pojmując, jak wiele się przyczynił do nieszczęścia biednęj Kasi, dręczony wyrzutami sumienia, starał się widocznie głos ten wewnętrzny przytłumić w gwarze i odmgęcie świata; raz zaś wstąpiwszy na bezdroże, nie postrzegł jak zaszedł daleko. Nie dość mu było salonów; poprzyjaźnił się z szaloną młodzieżą, która go wciągnęła do hulatyki i szulerki. Grzęzł coraz głębięj w błoto. Czasami widok cierpiącęj suchotnicy, jęj anielska cierpliwość, oko lżę zamglone, zwracające się w milczeniu do góry, jakby w ślad za cichą modlitwą o kroplę łaski Bożęj dla męża, budziły w zbłąkanym gorzką rozpacz; ale potém mówił sobie: Cóż ja jęj pomogę? Niekiedy lżę uronił, lecz szedł

znów do swoich towarzyszków zapomnieć o wszystkim. Kasia, ofiara najczystszej miłości, nieoświeconej tylko błogosławieństwem matki, wiedła i usychała z każdym dniem. Dziwna rzecz! czego nie mogły dokazać żadne rady, żadne rozumowania, dokazała najskuteczniej choroba. Cierpienia fizyczne stały się lekarstwem dla choroby moralnej, i im więcej upadały siły ciała, tém jaśniejsze światło Opatrzność zlewała w jej duszę. Pokój wstąpił do jej serca; poznała swoje zaślepienie; exaltacja jej znikła, i zostało tylko słodkie chrześcijańskie przywiązanie do męża, oparte na fundamencie miłości Boga, tkliwe, ale poważne, wolne od wszelkiej gwałtowności jak każdy obowiązek religijny. Wacław dostrzegł tej zmiany, ale jej nie pojmował. Zdało mu się, że w chorobie i dawna miłość jej oziębla.

Pewną razą, kiedy przed wyjazdem na wieczór siedział sobie zamysłony w domu, służący oznajmił mu, że jakiś jegomość przyszedł go odwiedzić.

— Kto taki? spytał obojętnie.

— Mówi, że dobrze z panem znajomy, ale nazwiska swego nie powiedział.

Wacław wyszedł do salonu, spojrzął na gościa i krzyknął z radości:

— A! Henryku! cóż to tak prędko wracasz nam z za granicy.

— Nie chciało mi się, rzekł Henryk, ale cóż robić? *bon gré mal gré*, musiałem powrócić: teścia moja mocno zachorowała.

— Jaka teścia? Czyś się ożenił zagranicą? Pewnie z jaką namiętą włoską?

— O! nie! z polką, i znasz ją dobrze, *mon cher cousin!* — Ostatnie słowa wymówił dobitniej i uśmiechnął się.

— Co ty mówisz? warjacie!... z Felicją?... czy to może być? Żartujesz zapewnie?

— Powiadam ci, że tak jest w samą rzecz. Patrzaj, oto ślubny pierścionek z jej cyfrą i data mojego ślubu. Wesele miało być w Warszawie, bo chciałem, żebyś na moją intencję potańczył, ale choroba matki popsowała rachunki, i odebrawszy jej błogosławieństwo, pobraliśmy się w Dreźnie.

— Hm! wiesz! mruknął ułan, jak gdyby go ta nowina do żywego ubodła. Pewnie romans ciekawy? Opowiedz mi jak się to stało?

— Najprostsza historia. Z początku zwątpiłem, żeby mogła zapomnieć kogoś dobrze ci znajomego. Inny na mojem miejscu byłby

zwinął chorągiewkę: ja przeciwnie, poznawszy tę śliczną kobietę, nie mogłem się od niej oderwać. Wiedziałem zresztą, że za granicą serce kobiety łatwiej jakoś dawne miłości zapomina, tém bardziej, że oko nie widzi wiarołomcy kochanka. Postanowiłem umrzeć albo się ożenić, i nakoniec, wycierpiawszy Tantalowe męki, jak widzisz, nie umarłem, ale ożeniłem się. Oto cała moja powieść. Dodaj tylko do tego, żeśmy się za granicą doskonale bawili, i że najlepiej wojażować z osobą, którą człowiek kocha.

— Cóż? i masz nadzieję być z nią szczęśliwym? spytał Wacław zmięszany.

— Nie wątpię o tém, mój kuzynku! Zdaje mi się, żeś się szkaradnie omylił w jej charakterze.

— Dajże pokój. Nie wiem jak teraz, ale była wietrzną, kapryśną, upartą...

— Gdzie tam! Wesoła, to prawda, ale z gruntu dobra kobieta, tylko nie lubi nawet cienia moralów. Im więcej ją kto moralizuje, tém gorszą się staje. Już taka jej natura! Jeżeli chcesz jej co wpoić, albo ją ostrzedz, to nieinaczéj, jak żartem, albo zgrabnym sarkazmem, albo nareszcie doprowadziwszy ją w poufałej rozmowie do tego punktu, żeby sama spostrzegła swoje nieroztropność.

— Nie ma żadnej religji.

— Mylisz się. Ona tylko nie lubi mówić o swojej pobożności, i im więcej kto jej prawi o obowiązkach religijnych, tém mniej przyznaje się do swoich prawideł. Rzecz pewna, nie jest tak bogobojna, jak Kasia, bo lekkomyślność i upodobanie w błyskotkach świata wiele jej przeszkadza, ale wcale nie jest obojętną w wierze. Szkoda, żeś nie był świadkiem, jak przykładowie odbyła przedślubną spowiedź, z jaką czułością zalana łzami odebrała błogosławieństwo matki. Ręczę ci, żebyś się był zbudował.

— A czy dotąd jeszcze, jak dawniej, nienawidzi mojej żony?

— Zdaje mi się, że w tym względzie przemieniła się zupełnie.

— Dla czegoż dawniej tak jej dopiekle?

— Wyłączne przywiązanie matki do Felicji od dzieciństwa nie dozwoliło siostrze szczerze się kochać: potem rozum Kasi kształcony przez ojca, jej poważny charakter i skłonność do powtarzania ojcowskich moralów zupełnie je powaśniły; a najwięcej zapewne różniła je niezgoda rodziców. Felicja trzymała stronę matki, Katarzyna ojca.

— Wiem o tém, ale nie rozumiem, co tak mogło rozróżnić

rodziców. Starosławski przecie był najpocziwszy człowiek, łagodny jak gołębek...

— Powiedz: najszlachetniejszy człowiek! Ile mogę domyślić się z różnych okoliczności, plan wydania panny rezydentki za starego marszałka był ukartowany od matron na balu, i nie bez przyczyny. Żona moja nie jest rodzoną siostrą Kasi. Poźniej Starosławski dowiedział się o wszystkim, i chociaż nikomu o tém nie mówił, chociaż w testamencie nawet nie wspomniał, jednak żonie dał to uczuć, i ztąd zniweczyła się wszelka między nimi zgoda. Z tego powodu marszałkowa znenawidziła swoje młodsze dzieci. Szczególniej póki żył Starosławski, dzieci te pieszczone przez niego, kształcone, ubóstwiane, zawsze jój przypominały słabość przedślubną; teraz przeciwnie, osobliwie w chorobie, kilka razy już życzyła sobie je zobaczyć i pobłogosławić. Jak tylko będzie się miała lepiej, spodziewam się, że cała rodzina nasza przyjdzie nareszcie do zupełnej harmonji.

— Moja żona także słaba, i mocno słaba. Chodź, zobacz się z nią; tylko na ten raz nie jój nie mów ani o pokrewieństwie naszym, ani o matce. Przy jój czułym charakterze, te niespodziane wiadomości, a szczególniej wieść o chorobie mojej teści, mogłyby mieć najgorsze skutki. Poczekajmy pomyślniejszej chwili.

Nazajutrz rano Kasia kazała męża prosić do siebie, i kiedy usiadł przy łóżku, rzekła mu spokojnie:

— Wiesz, Waclawie, jaki sen miałam tej nocy?

— Znowu zapewne jakaś mistyczna wizja! zawołał Waclaw z niechęcią. Wierz mi, moje serce, że twoja skłonność do egzaltacji najwięcej ci szkodzi. Przyzwyczajwszy wyobraźnię do ciągłego natężenia, jesteś nieustannie otoczona fantastycznymi widmami, jakby w jakim śnie gorączkowym; nie żyjesz na ziemi, lecz w prawdziwej krainie duchów. Czasby już, moja duszo, pohamować w sobie nareszcie ten popęd do marzycielstwa.

— Bądź spokojny, Waclawie! Kiedyś miałam istotnie tę słabość, lecz od czasu, jak choroba przykuła mnie do pościeli, jestem zupełnie przytomną. Zdaje mi się, że jakaś zasłona spadła z moich oczu. Widzę wszystko w innem jak dawniej świetle. Wizje i marzenia ustąpiły z méj duszy, jak mgły poranku roztracone promieniami słońca. Czuję błogo pokój w sercu. Kocham ciebie czule, lecz spokojnie, bo myśl znalazła niezłomną pociechę i nadzieję w niewyczerpaném miłosierdziu Bożém. Nie wiem co mi sądzono,

czy żyć jeszcze z tobą, czy pójść do ojca? ale los mój w rękę Opatrzności, czegożbym się miała trwożyć?

Ulan zapłakał w milczeniu.

— Po co te łzy? Waclawie! rzekła cierpiąca łagodnym głosem i podała mu wyschlą swoją rękę. Przestań, mój drogi! Nie chciałabym, żeby twój smutek zakłucił mi tę jasną pogodę myśli, którą teraz używam. Posłuchaj lepij mego snu:

Widziałam nieboszczyka papę. Stał przy mojem łóżku, w szacie białej jak śnieg, z jakąś dziwną jasnością w około głowy, i smętnie na mnie patrzył. Ojciec mój! zawołałam, prędkoż znów będziemy razem? — i chciałam dłoń jego ucałować; lecz starzec usunął rękę i rzekł mi: Śpiesz się, córko, pojednać się z matką, bo chwile życia twego są policzone, a z każdą zdasz rachunek Sędziemu. O ja nieszczęśliwa! rzekłam, gdzie teraz znajdę moją matkę? Wszak ona za granicą. Gdybym ją choć na jeden moment ujrzeć mogła!... Patrz! zawołał ojciec i wskazał mi ręką w drugą stronę. Spojrzałam tam, i spostrzegłam pokój mojej matki, i ją samą leżącą w chorobie na łóżku, a przy niej była moja siostra, i nie wiem dla czego, Henryk...

— Boże! Boże! krzyknął przestraszony Waclaw, widać Henryk musiał nie dotrzymać słowa, i szepnął jej wczoraj, że matka przyjechała.

— Przepraszam! rzekł smutnym głosem Henryk wchodząc ostróżnie do pokoju Kasi, wczoraj nic nie mówiłem, ale teraz przyjeżdżam od staruszki z wyraźnym żądaniem, żeby Kasia natychmiast ją odwiedziła, bo ma się bardzo źle.

— O, jedźmy co prędzej do niej! zawołała biedna suchotnica. Waclawie! zaklinam cię na wszystko, nie odmawiaj mi tej ostatniej pociechy na ziemi, nie pozbawiaj mnie przebaczenia i błogosławieństwa matki! Wszakże ojciec mi powiedział, że chwile moje są policzone, i z każdą mam zdać rachunek Sędziemu. Wyciągnęła do męża drżącą rękę i z niemą boleścią oczekiwała zezwolenia. Waclaw nie mógł się sprzeciwić jej woli, chociaż widział, jak mało było już siły w ciele jej wycieńczonem chorobą. Posadzili ją tedy do karety, obłożyli poduszkami i ostróżnie pojechali.

Kiedy przybyli do mieszkania marszałkowej, cały dom był zebrany w pokoju staruszki; konająca trzymała w rękę śmiertelną gromnicę; ksiądz śpiewał nad nią psalmy pokutne; Felicja i wszyscy domownicy, płacząc, wtórzyli pieniom kapłana. Umierająca miała oczy nieruchomie ku drzwiom zwrócone; usta jej szeptały wewnę-

trzną modlitwę; ręka bezskutecznie usiłowała się podnieść z piersi, kiedy przytomni żegnali się znakiem krzyża świętego.

W tej chwili weszła Kasia podtrzymywana przez Wacława i Henryka. Staruszka nagle zerwała się, usiadła na pościeli i zawołała głośno: Pójdź sama, zbłąkana córko moja, na łono matki! i kiedy napółzemdłona Kasia klękała przy łóżku, przeżegnała ją złodowaciałą już ręką, mówiąc: Błogosławię cię i twego brata w imię Ojca, i Syna, i Świętego Ducha! Przebaczam wam, i wy mi przebaczcie. Potem upadła na pościel i Bogu ducha oddała.

Po kilku dniach, z dwóch różnych ulic dwa pyszne pogrzeby ciągnęły razem na Powązki. Wszakże na cmentarzu jedna tylko była mogiła, i w tej położono razem marszałkową i jej córkę Katarzynę.

Kiedy wszyscy wracali z pogrzebu, Wacław, ocierając ostatnie łzy, wziął Michała za rękę i rzekł:

— Jeszcze raz powtarzam ci, żem ja najwięcej winien śmierci twojej siostry.

— A ja ci mówię, odrzekł z westchnieniem Michał, że to jest palec Boży, nie ludzkie dzieło. Niemasz dla niewiasty szczęścia w małżeństwie bez błogosławieństwa matki! Kasia, przez przywiązanie do ciebie i pod wpływem cierpień domowych, pozwoliła sobie złamać ten zakon wspólny wszystkim religjom, Kasia padła ofiarą własnej winy. Miłość była źródłem jej błędu, miłość też stała się dla niej narzędziem kary.

Petersburg,
Lipiec, 1839.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

BIBLIOTEKI ZASADNIKOWA.

SPIS RZECZY

w tomie pierwszym zawartych.

	<i>Str.</i>
PANTOFEL. Historia mojego kuzyna	1
TRUPIA GŁÓWKA. Powiastka napisana przy kolebce mojego Leonka . . .	55
CZARNE OCZY	91
BŁOGOSŁAWIENSTWO MATKI.	169

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

203554

Biblioteka WSP Kielce



0067679